

II 1.512.763

ALEKSANDER DUMAS (OJCIEC).

CZTERDZIESTU PIĘCIU.

ROMANS HISTORYCZNY

W TRZECH TOMACH.

~~~~~  
**TOM III.**  
~~~~~

WARSZAWA.

NAKLAD BIBLIOTEKI ROMANSÓW I POWIEŚCI.

Ulica Złota № 23.

—
1887.

Defekt br. s. 245-255
uszkodzone s. 73-76

CZTERDZIESTU PĘCIN

ROMAŃS HISTORIOM

W WARSZAWIE

Дозволено Цензурою

Варшава, 14 Июля 1887 года.



II 1.512.763

Druk. C. Przybylskiego w Warszawie, ulica Marszałkowska № 116.

1993 9 573 / 13 b

CZTERDZIESTU PIĘCIU.

ROMANS HISTORYCZNY

PRZEZ

Aleksandra Dumas'a.

TOM TRZECI.

I.

Francuzi i Flamandzycy.

W chwili, kiedy cała rada wychodziła z ratusza, a oficerowie stawali na czele swoich oddziałów i wykonywali rozkazy nieznajomego wodza, którego zdawało się sama Opatrzność Flamandczykom zesłała, przeciągły szmer zdawał się obwiewać miasto, rozległ się i w krzyk przemienił.

W tym samym czasie, działa zagrzmiały.

Strzały powitały Francuzów w czasie ich nocnego pochodu, w tym czasie kiedy oni sami myśleli napaść niespodzianie na uspięne miasto. Lecz strzały zamiast opóźnić ich pochód, przyspieszyły.

Jeżeli nie można wiaść miasta podstępem jak mówiono w owym czasie, można, jak widzieliśmy króla.

Nawarry w Cahors, na faszynach przebyć fosy i petardami bramy wysadzić.

Działa wałowe grzmiały ustawicznie; ale wśród nocy prawie bezskutecznie; odpowiedziałwszy krzykiem na krzyk przeciwników Francuzi, w milczeniu postępowali naprzód ku wałom, z ową nieustraszoną, która jest ich zwyczajem w ataku.

Lecz nagle, bramy się otwarły i ze wszech stron wybiegli ludzie zbrojni, tylko nie z ową gwałtownością która ożywia Francuzów, lecz z pewnym rodzajem ciężkiego upojenia, które nie wstrzymuje ruchu wojownika, ale czyni z niego niezłomny mur ruchomy.

Wkrótce rozpoczęła się bitwa, miecze i noże się starły, głównie i włócznie zachrzęśły, strzały pistoletowe i z muszkietów oświeciły twarze krwią zczerwionione.

Ale nie słyhać ani krzyku ani jęku. Flamandzcy biją się wściekle, Francuzi szalenie. Flamandzcy gniewni, że bić się muszą, do czego ani ze stanu ani z upodobania nie czują popędu; Francuzi zaciekli, że ich napadnięto, gdy oni mieli spadać.

W czasie, kiedy przyszło do ręcznego spotkania, z ową zaciekłością, której niepodobna opisać, ciężkie strzały dały się słyszyć od strony Sainte-Marie, i światło wzniosło się nad miastem, jakby zawój z płomienia. To Joyeuse rozpoczął bitwę na morzu i zmusza do ustąpienia flotę broniącą Escaut, aby sam wdarł się do miasta.

Przynajmniej tego się spodziewali Francuzi.

Ale nie tak jest wcale.

Pędzony wiatrem zachodnim, to jest najprzyjaźniejszym podobnemu przedsięwzięciu, Joyeuse podniósł kotwicę i z galerą admiralską na czele, pozwolił unosić się fali. Wszystko było gotowe do walki i marynarze uzbrojeni w topory czekali w tyle, kanonierzy z zapalonymi lontami stali przy działach, mając pod ręką bomby i granaty; nakoniec, wyborowi majtkowie, uzbrojeni w siekiery, czekali tylko, żeby wskoczyć na nieprzyjacielskie okręty i poprzecinać łańcuchy i liny, tworzące niejako wał morski.

Postępowano w milczeniu. Siedm statków francuzkich uszykowanych w kąt, którego wierzchołek formowała galerą admiralska, zdawały się olbrzymiemi widziadłami ślizgającemi się po wodzie. Młodzieńiec, którego stanowisko było na jej ławie nie mógł pozostać na miejscu. Przybrany w wspaniałą zbroję na galerze zajął miejsce pierwszego porucznika i oczami chciał przebić mgłę rzeki i ciemność nocną.

Wkrótce, przez tę podwójną ciemność ukazała mu się tama, która ponuro ciągnęła się przez rzekę. Tą tamą były okręty, a zdawały się opuszczone i puste; w tej cichości i opuszczeniu było coś zatrważającego.

Pomimo tego wciąż postępowano; przybyto nareszcie do tamy bardzo blisko, a każda sekunda zbliżała się coraz bardziej; przecież żadne *qui-vive!* nie doszło uszu Francuzów.

Majtkowie w tem milczeniu widzieli niedbalstwo, z którego się cieszyli, młody admirał więcej przewidyjący, przewidujący, przenikał podstęp i trwożył się.

Nareszcie, przód galery admiralskiej dotknął

dwóch statków, formujących środek tamy i pchając je przed sobą, poruszył inne, powiązane łańcuchami tak, że wkrótce statki flamandzkie przybrały zupełnie podobne położenie co francuzkie i ostatnie sobą otoczyły.

Nagle w chwili, kiedy topornicy otrzymali rozkaz przecięcia zapory, mnóstwo haków rzuconych niewidzialnymi rękami czepiło się statków francuzkich.

Flamandczykowie przenikali zamiar Francuzów i uczynili co ci zamierzali.

Joyeuse sądził że nieprzyjaciel zapowiada zaciętą walkę. Przyjął ją. Rzucone z jego strony haki powiązały żelaznymi węzłami jego statki z nieprzyjacielskimi. Widząc ten stan rzeczy, pochwyił topór z rąk pierwszego lepszego majtka i poskoczył na statek, który mu się zdawał najsilniej przyczepiony wołając: na statki! na statki!

Cała osada szła za nim, oficerowie i majtkowie jednakowe wydając okrzyki; ale nic im nie odpowiadało, nic napadowi nie stawiało oporu.

Widziano tylko trzy łodzie, napelnione ludźmi cicho prześlizgujące się po rzece jak trzy ptaki opóznione na morzu.

Łodzie te uciekały silnie robiąc wiosłami, jak ptaki mocno rozpuszczając skrzydła.

Napastnicy osłupieli na statkach, zdobywając je bez walki.

Toż samo działo się na całej linii.

Nagle, Joyeuse usłyszał pod stopami stłumiony trzask i zapach siarki rozlał się w powietrzu.

Błyskawica oświeciła jego umysł; pobiegł do jednych drzwi, które uchylił, wnętrzości statku gorzały.

W tej samej chwili, krzyk: na okręty! na okręty! rozległ się na całej linii.

Każdy spieszniej powracał niż przyszedł: Joyeuse jak pierwszy wszedł, tak zeszedł ostatni.

Kiedy dosięgał ścian swojej galery, płomień objął pomost okrętu, który opuszczał.

Wtedy, jak dwadzieścia wulkanów wybuchnęły płomienie; każdy okręt, każda łódź, każdy statek był otwartym kraterem. Flota francuzka, ze znakomitego portu zdawała się panować nad przepaścią ognistą.

Dano rozkaz przecinać liny, rwać łańcuchy, łamać haki. Majtkowie rzucili się do pracy, jak ludzie przekonani, że od pośpiechu ich ocalenie zależy.

Ale praca była ogromna; może byliby się uwolnili od haków rzuconych przez Flamandczyków, ale trzeba było łamać haki rzucone na statki flamandzkie.

Nagle dwadzieścia wystrzałów dało się słyszyć. Statki francuzkie zadrżały we wszystkich członkach i jęły w głębiach.

Były to działa broniące tamy, nabite aż po paszcze i opuszczone przez Flamandczyków: strzelały one same, w miarę jak je ogień rozpałał niszcząc wszystko cokolwiek w ich było kierunku.

Płomienie wznosiły się jak olbrzymie węże, czepiając się masztów, ścian, boków i ostremi językami liżąc miedzią obite statki francuzkie.

Joyeuse w pysznej zbroi, zdobionej złotem, wydając spokojnym głosem, w pośród zniszczenia rozka-

zy, podobnym był do owych bajecznych salamander, które z milionów łusek, za każdym poruszeniem iskry sypią.

Wkrótce huk się powtórzył, ale mocniejszy i silniejszy; nie były to już wystrzały z armat, ale belki, które pękały, ale same statki, które waliły się. Dopóki Joyeuse spodziewał się przerwać śmiertelne więzy łączące go z nieprzyjacielem dotąd mężnie i uporeczywie walczył. Teraz widział, że nie ma ocalenia i stracił nadzieję; płomień ogarniał statki francuzkie i w miarę jak padał okręt nieprzyjacielski, deszcz ognia, podobny do fajerwerku, padał na jego pomost.

Tylko, że ten ogień był ogniem gregoryańskim, pożerającym i nieubłagany, który syci się tem co inne gasi i trawi swoją ofiarę aż na dnie wody.

Antwepskie statki waląc się, wolny zastawiły wychód; lecz francuzkie okręty, zamiast dalej postępować, cofały się całe w płomieniach, unosząc z sobą ogorzeliznę, jako znak serdecznego uścisku zgubnego żywiołu.

Joyeuse pojmował, że dłużej walczyć niepodobna, dał rozkaz łodziom wypłynąć i skierować się na lewy brzeg. Rozkaz przesłano tubami innym okrętom, te zaś, wśród trzasku dosłyszeć nie mogły instynktownie ten rozkaz wykonały.

Zabrano cały ekwipaż aż do ostatniego majtka, za nim Joyeuse opuścił pomost swojej galery.

Jego przytomność i zimna krew udzielała się wszystkim; każdy z jego marynarzy miał w ręce topór lub siekiere.

Zanim przybyli na brzeg rzeki, galera admirałska zawałiła się oświecając z jednej strony gmachy miasta, z drugiej ogromny horyzont rzeki, który ciągle się szerząc ginał w morzu.

W tym czasie artylerya wałowa ucichła, nie dla tego ażeby bitwa była mniej zacięta, ale że Francuzi i Flamandzycy starli się zbliska; nie można więc było strzelać do jednych, nie szkodząc drugim.

Kawaleria kalwińska cudów waleczności dokazywała; siecze przed sobą, tratuje kopytami, lecz ranieni Flamandzycy kordelasami platają brzuchy końskie.

Pomimo tej świetnej szarży kawaleryi, nieład wkrada się we francuzkie szeregi już tylko trzymają się, ale nie postępują, tymczasem bramami miasta coraz nowe przybywają posiłki i rzucają się na wojsko księcia Andegaweńskiego.

Nagle prawie pod samemi murami miasta wielki hałas daje się słyszeć i dobitnie odróżnić można wołania, Andegawęczycy! Francuzi! Krzyk ten rozlega się po szeregach antwerpskich, tysiąc pięćset ludzi uzbrojonych siekierami i kordelesami pod przywództwem Joyeusa, któremu opuszczonego od pana podano konia, nagle wpadło na Flamandzyków i mszczą się swojej floty w płomieniach, oraz potopionych i popalonych towarzyszy.

Nie szukali oni stanowiska w bitwie lecz napadli na pierwszy lepszy oddział, poznając go za nieprzyjacielski po mowie i ubraniu.

Nikt lepiej od Joyeusa długim nie władał mie-

czem; głównia jego jak wiatraczek kręciła się w powietrzu. Każde zaś uderzenie przecinało głowę, albo przesywało człowieka.

Oddział Flamandczyków, na których Joyeuse napadł, został pożarty jak garstka ziarn w mrowisku; upojeni pierwszym powodzeniem marynarze pędzą naprzód. O ile oni odnosili korzyści, o tyle kawalerya kalwińska otoczona murem ludzi traciła; piechota hrabiego de Saint-Aignan walczyła zęb za zęb z Flamandczykami.

Książę widział pożar floty jak dalekie światelko, słyszał strzały działowe i trzaskanie statków, nie myśląc jak tylko o uporczywej bitwie, która naturalnie zwycięstwem Joyeusa zakończyć się powinna, niepodobna, aby kilka statków flamandzkich walczyć mogło z flotą francuzką.

Z każdą więc chwilą liczył na wsparcie Joyeusa, kiedy nagle, doniesiono mu, że flota zniszczona i że Joyeuse z marynarzami walczy wśród Flamandczyków.

Odtąd, książę począł być niespokojnym; flota, to odwrót, tem samem bezpieczeństwo armii.

Książę posłał rozkaz kawaleryi kalwińskiej aby raz jeszcze poszła do szarży, a jeźdźcy i konie, jakkolwiek osłabieni, połączyli się aby uderzyć na Antwerpianów.

Słychać było głos Joyeusa wołający wśród zamieszania: „Trzymajcie się, Saint-Aignan, Francya!

I jako kosarz ścinający trawę, wywijał mieczem w powietrzu pokładając przed sobą stosy ludzi; słaby

ulubieniec, najdelikatniejszy sybaryta okryty zbroją, zdawał się posiadać siłę Nemejskiego Herkulesa.

A piechota słysząc ten głos wznoszący się nad wrzawą, widząc miecz błyszczący wśród nocy, odzy-skiwała odwagę i równie jak kawalerya z nowem wysileniem poszła do walki.

Lecz wtedy, człowiek, którego nazywano jego Książęcą Mością wyjechał z miasta na pięknym, karym koniu.

Miał czarną zbroję na sobie, to jest hełm, naramien-niki i pancierz z czarnej stali; za nim postępowało pięć-set jazdy, którą oddał pod rozkazy księcia Oranii.

Wilhelm Taciturne z swojej strony przeciwległą wyszedł bramą z wyborową piechotą, która jeszcze nie walczyła.

Rycerz w czarnej zbroi biegł spiesźnie; zdążył on na miejsce, w którym Joyeuse walczył ze swojemi marynarzami.

Flamandczykowie poznali go i rozstępowali się przed nim wołając radośnie: Jego Książęca Mość! Jego Książęca Mość! Joyeuse i jego marynarze czuli, że nieprzyjaciel łamie się: usłyszeli te wołania i nagle uj-rzeli się w obec nowego wojska, które nagle i jakby cudem się pojawiło.

Joyeuse spiął konia ku rycerzowi czarnemu i oba-dwa z ponurą spotkali się zaciętością.

Za pierwszym starciem się mieczy iskry syp-nęły.

Joyeuse ufny swojej zbroi i sztuce robienia bro-nią, ciężkie zadawał razy, które zręcznie odparto. Je-

dnocześnie, raz przeciwnika, dotknął jego piersi i poślizgując się po zbroi, wy dobył kilka kropli krwi z ramienia.

— Ah!—zawołał młody admirał czując ostrze żelaza — ten człowiek jest francuzem, a co więcej u jednego ze mną nauczyciela bronią robić się uczył.

Na te słowa, widziano, jak nieznajomy, odwrócił się, usiłował zwrócić na inny punkt.

— Jeżeliś francuzem — zawołał Joyeuse — jesteś zdrajcą; bo walczysz przeciw twojemu królowi, twojej ojczyźnie i twojej chorągwi.— Nieznajomy nic nie odpowiedział, ale zwrócił się i wściekle napadł na Joyeus'a.

Ale tym razem, Joyeuse wiedział z jakim mieczem ma do czynienia. Odbił więc kilka razy zadanych zrzęcznie i wściekle.

Tym razem, nieznajomy zrobił poruszenie odwrotu.

— Patrzaj—zawołał na niego młodzieniec—co się czyni, walcząc za swego króla i kraj; serce czyste i wierna ręka nie potrzebują hełmu i przyłbicy.

I zdzierając z głowy hełm, rzucił go, odsłaniając swoją piękną szlachetną głowę, której oczy błyszczały dumą i młodością.

Czarny rycerz zamiast odpowiedzieć głosem, lub iść za danym przykładem, jęknął ponuro i wznosił miecz nad gołą głową.

— Ah!—zawołał Joyeuse osłaniając się od zadania razu, dobrze powiedziałem, że jesteś zdrajcą i jak zdrajca umrzesz.

I nacierając na niego przyspieszał razy, z których jeden trafił w otwory przyłbicy.

— Ach! zabiję cię — wołał młodzieniec — zedrę hełm, który cię tak dobrze osłania, a następnie, powieszę na pierwszym drzewie, jakie napotkam.

Nieznajomy chciał nacierać, kiedy inny rycerz, należący do niego, zbliżył się i rzekł do ucha:

— Mości książę! na co ta walka, gdzieindziej jesteś potrzebniejszym.

Nieznajomy zwrócił się we wskazanym kierunku i ujrzał chwiejących się flamandczyków przed kawalerią kalwińską.

— W rzeczy samej — rzecze ponurym głosem — tam są ci, których szukałem.

W tym momencie masa kawaleryi rzuciła się na marynarzy Joyeusa, którzy utrudzeni nieprzerwaną walką, cofać się zaczęli.

Czarny rycerz korzystał z tego, aby zniknąć w zamieszaniu wśród cienia nocy.

W kwadrans potem, francuzi cofali się na całej linii i starali się uchodzić nie uciekając.

Pan de Saint-Aignan starał się wszelkiemi siłami w porządku prowadzić odwrot.

Ale ostatni oddział pięciuset koni i dwóch tysięcy piechoty świeżo wyszedł z miasta i wpadł na zwątpiałą i cofającą się armią. Były to stare hordy księcia Oranii; które z kolei walczyły z księciem Alby, Don Juanem, Requesens'em i Alexandrem Farnese.

Wtedy, potrzeba było opuścić pole bitwy i ładem rejterować; albowiem flota, na którą najwięcej liczono,

była zniszczona. Pomimo przytomności umysłu wodzów, pomimo największej odwagi, powszechna nastąpiła rozsypka.

Wtedy właśnie nieznajomy z całą kawaleryą wpadł na uciekających i w tylnej straży znowu spotkał Joyeusa z jego marynarzami, których dwie trzecie pozostało na polu bitwy.

Młody admirał już na trzeciego wsiadł konia, albowiem dwóch pod nim ubito. Miecz jego złamał się i z rąk poległego marynarza porwał jeden z ciężkich toporów, którym wywijał jak procą.

Kiedy niekiedy odwracał się i stawał frontem, podobnie jak dzik, który w ucieczce odwraca się i rani myśliwego.

Flamandzycy według rady tego, którego nazywano Jego Książęcą Mością walczyli bez zbroi, a będąc lekcy ścigali nieprzyjaciół nie dając im chwili odetchnienia.

Coś, jakby wyrzut sumienia, albo jakby litość odezwała się w sercu nieznajomego na widok takiej porażki.

— Dosyć, panowie — rzecze, czystą francuzczyzną — dzisiaj wypędzeni z Antwerpii, a w ośm dni będą wygnani z Flandryi; więcej od Boga broni nie żądamy.

— To francuz, to francuz! — zawołał Joyeuse. — Odgadłem cię, zdrajco! Bodajeś zginął śmiercią zdrajców!..

Ta straszna klątwa zdawała się trwożyć człowieka, który tysiąca mieczy skierowanych na siebie nie bał

się; zwrócił konia i zwycięzca uciekł jakby pokonany.

Ale odwrót jednego człowieka nie zmienił postaci rzeczy: strach jest zarazą, ogarnął on całą armią i pod ciężarem panicznej trwogi, żołnierze poczeli uciekać.

Konie pomimo utrudzenia siły nabrały, albowiem i one zdawały się być pod wpływem trwogi; ludzie zaczęli się rozpraszać szukając schronienia; w kilka godzin armii nie było.

Była to właśnie pora, kiedy według rozkazu Jego Książęcej Mości zrywano tamy i spuszczone upusty. Od Lierre aż do Fermonde, od Haesdonk aż do Malines, każda mała rzeczka, powiększona przyplywami, każdy kanał wylany posyłały na płaski ląd rozszalałą wodę.

Tak więc, kiedy uciekający francuzi zatrzymywali się zaczęli utrudziwszy swoich nieprzyjaciół: kiedy widzieli, że antwerpianie powracają do miasta, kiedy ci, którzy wyszli zdrowo z rzezi sądzili się ocalonymi i pragnęli chwilę odetchnąć, jedni się modląc, drudzy złorzecząc, w tej właśnie godzinie, nowy nieprzyjaciel, ślepy i nieubłagany wyrywał się na nich z szybkością wiatru i gwałtownością morza. Jednakże pomimo ogromu niebezpieczeństwa jakie ich zaczynało otaczać, nie domyślali się niczego.

Joyeuse pozwolił spocząć swoim marynarzom, przywiedzionym do liczby ośmiuset; pomiędzy nimi tylko po strasznej porażce był pewien rodzaj porządku.

Hrabia Saint-Aignan ziejący i ochrzypły, mówiąc

tylko groźnemi znakami, usiłował zebrać rozpierzchłe zastępy.

Książę Andegaweński na czele zbiegów jadąc na pysznym koniu, gdy drugiego służący wiódł za nim, sam pędził naprzód, nie myśląc o niczem.

— On nie ma odwagi—mówili jedni.

— Jaka krew zimna—mówili drudzy.

Kilka godzin spoczynku powróciły wojsku siłę do odwrotu.

Tylko brakowało żywności.

Konie zdawały się być więcej utrudzone jak ludzie; nie jedząc od wczoraj, wlec się nie mogły.

Kawalerya więc wlokła się na ostatku.

Myślano dostać się do Bruxelli, która należała do księcia i w której wielu miał stronników; przecież wątpliono nieco o jej dobrych chęciach; wszakże liczone na Antwerpią, jak dziś liczą na Bruxellę.

Tam, w Bruxelli, to jest o ośm mil od miejsca, w którym się znajdowano, spodziewano się uzupełnić wojsko, opatrzyć w amunicję i żywność i ztamtąd znowu zacząć kompanią w porze, jak można najstosowniej. Resztki prowadzonej armii miały służyć za podstawę nowej.

W tej jeszcze godzinie, nikt nie przewidywał strasznej chwili, kiedy ziemia miała ustępować pod ich stopami, kiedy bałwany wody miały się stoczyć na ich głowy, i kiedy resztki tylu walecznych miały się toczyć do morza, a potem ciałami swojemi upładniać grunta Brabanckie.

Książę Andegaweński kazał zastawić sobie śnia-

danie w chacie wieśniaczej, pomiędzy Haboken i Heckhout.

Chata była pusta i od wczoraj mieszkańcy z niej uciekli, ogień zapalony wczoraj tlał jeszcze w kominie.

Żołnierze i oficerowie chcieli naśladować wodza i rozsypali się po miejscach, któreśmy wymienili; ale przekonali się z trwogą, że wszystko było puste i że mieszkańcy żywność z sobą unieśli.

Hrabia de Saint-Aignan szukał szczęścia jak inni: obojętność Księcia Andegawńskiego, w chwili, kiedy tylu walecznych z głodu umierało, zniechęciła go i oddaliła od księcia.

Należał do tych, którzy mówili: „on nie ma serca!..“ Zwiedził dwa albo trzy domy, które znalazł pustymi zapukał do czwartego, w którym mu powiedziano, że na cztery mile w około, wszystkie domy takie.

Na te słowa Saint-Aignan zmarszczył brwi i skrzywił się jak zwykle.

— W drogę, panowie, w drogę — rzece do oficerów.

— Ale — odpowiedzieli — jesteśmy zmordowani i umierający z głodu.

— Ale jesteście żywi; jeżeli zaś godzinę tu pozostaniecie, pomrzecie; może i teraz będzie za późno.

Pan de Saint-Aignan nie mógł nic więcej powiedzieć; ale wielkie przenikał nieszczęście.

Zwinęto obóz.

Księżę Andegawński jechał na czele, Saint-Aignan w środku, a Joycuse tylne straże prowadził.

— Ale dwa, albo trzy tysiące ludzi jeszcze się oderwało, albo osłabieni ranami i trudem kładli się po drogach.

Z niemi, pozostała kawalerya nie mogąca się ruszać, jedne konie z głodu, drugie od odsednień.

Około księcia d'Anjou zaledwie pozostało trzy tysiące ludzi zdrowych i zdolnych do walki.

II.

Podróźni.

Kiedy klęska bitwy, przypowiednia większej jeszcze spełniała się, dwóch podróżnych, jadących na wybornych koniach wyjeżdżało bramą z Bruxelli, podczas świeżej nocy i udawało się w kierunku do Malines...

Jechali obok siebie, z płaszczami w tyle zwiniętymi, bez broni widzialnej; tylko szerokie noże flamandzkie, których miedziane rękojeście błyszczczały, wisiały im u pasa.

Podróźni ci jechali w milczeniu, każdy zajęty swoją myślą, może jedną i tą samą, ale dotąd nie przemówili słowa.

Postawy ich zapowiadały handlarzy pikardzkich, którzy w owym czasie ułatwiali handel francuzki z Flandryą; był to rodzaj komisantów podróżnych, za-

powiadających ówczesnie wielką dzisiejszą handlową propagandę.

Ktoby ich widział spokojnie jadących po drodze, oświetlonej światłem księżycy, wziąłby ich za poczciwych ludzi, szukających dobrego noclegu po dniu wesołym.

Jednak dosyć było posłyszeć kilka wyrazów z ich rozmowy, aby nie być w tem przekonaniu, jakim tchnęła ich powierzchowność.

A naprzód pierwszy wyraz wymówiony po wyjeździe z Bruxeli był dziwnym jak tylko być może.

— Pani — rzecze grubszy do wysmukłego towarzysza — miałaś słuszność wyjeżdżając dzisiejszej nocy; zyskujemy siedm mil odbywając tę drogę i przybędziemy do Malines w chwili, kiedy według wszelkiego podobieństwa do prawdy, rezultat bitwy pod Antwerpią będzie wiadomy. Po dwóch dniach drogi i odpoczynku, albowiem go pani potrzebujesz, przybędziemy do Antwerpii i to zapewne w tej godzinie, kiedy książę po wytrzeźwieniu z radości, raczy spojrzeć na ziemię zstąpiwszy z siódmego nieba.

Towarzysz, którego nazywano *panią* i który się o to zupełnie nie gniewał, pomimo męzkich sukien, odpowiedział głosem spokojnym, poważnym i łagodnym zarazem:

— Mój przyjacielu, wierzaj mi, Bóg sprzykrzy sobie wspierać tego niegodziwego księcia i strasznie go ukarze; pospieszmy więc z wykonaniem naszych zamiarów, bo nie należę do ludzi, wierzących w przeznaczenie, i sądę, że ludzie są panami swojej woli

i czynów. Gdybyśmy nie działali, a Bogu pozwolili działać, nie byłoby tak ciężko żyć, jak się żyje.

W tej chwili, powiew północno-zachodni zimny i gwizdzący dał się uczuć.

— Pani drżysz — rzecze starszy podróżny — weź zatem płaszcz.

— Dziękuję ci, Remy; wiesz, że nieczuję już ani boleści ciała, ani udręczeń ducha.

Remy wzniósł oczy w niebo i w milczeniu pozostał.

Niekiedy wstrzymywał konia, wspinał się na strzemionach i oglądał za siebie; tymczasem wyprzedzała go towarzyszka, milcząca jak posąg.

Po jednym z podobnych przystanków, kiedy się z nią połączył, rzekła:

— Czy nikogo nie ma za nami?

— Nikogo, pani.

— A tego jeźdźca, który nas dogonił w Valenciennes, który dowiadywał się o nas i tak silnie nas uważał?

— Już go nie widzę.

— Ale ja sędzę, że go znowu widziałam przed wjazdem do Mons.

— A ja widziałem go przed wjazdem do Brukselli.

— Do Brukselli mówisz?

— Tak; ale zatrzymał się w tem ostatniem miejscu...

— Remy—rzecze dama, zbliżając się do swego towarzysza, jakby się lękała, żeby jej kto na pustej nie

podstuchał drodze. — Remy, czy on nie zdawał ci się podobnym?..

— Do kogo, pani?

— Przynajmniej z postawy, bo nie widziałem twarzy tego nieszczęśliwego człowieka.

— Oh! nie, nie, pani—odpowiedział Remy — bynajmniej; prócz tego, skądby mógł wiedzieć, że opuściliśmy Paryż i udajemy się w tę drogę; nie ścigał nas, ani nie kazał ścigać, i jak pani dawniej mówiłem, widać zrobił rozpaczliwe postanowienie, ale względem samego siebie.

— Niestety! Remy. Każdy ma na tym świecie swoje cierpienia i niech jego Bóg pocieszy.

Remy odpowiedział westchnieniem na westchnienie swojej pani, i jechali dalej w milczeniu, że tylko tentent zakłócał ciszę.

Tak dwie godziny minęło.

W chwili, kiedy nasi podróżni mieli wyjeżdżać do Vilvorde, Remy szybko się odwrócił.

Usłyszał bowiem tentent galopującego konia po drodze. Przystanął i słuchał, ale nic nie widział.

Daremnie silił się oczyma przebić ciemność nocy; lecz ponieważ żaden szelest nawet nie przerywał ciszy uroczystej, wraz z towarzyszką, wjechał do miasteczka.

— Pani—rzecze jej — wkrótce dzień zajaśnieje; konie są zmęczone, ty sama potrzebujesz spoczynku i radzę zatrzymać się.

— Remy—odpowie pani—daremnie przedemną

swoję niespokojność ukrywasz. Remy, ty jesteś pomieszany i niespokojny.

— Tak, o zdrowie pani; wierzaj mi, kobieta nie może znosić trudów, które dla mnie samego...

— Czyń jak chcesz, Remy—odpowiedziała.

— A więc, wjedźmy na tę uliczkę, na rogu której postrzegam gasnące światełko; po tym znaku poznać można zajazdy. Spiesz pani, proszę.

— A więc coś słyszałeś?

— Tak, tentent konia, prawda, sądziłem, że jestem w błędzie. Lecz na wszelki wypadek zatrzymałem się, aby zbić, lub uzasadnić pozory.

Kobieta nie odpowiadając nic, ani robiąc uwag, udała się za koniem Remego, który wjechał w długą i wąską uliczkę.

Remy puścił ją naprzód zsiadł z konia i zarzucił na siodło lejce; koń poszedł za koniem jego towarzyski...

On zaś, schylony za ogromnym kamieniem czekał. Kobieta zapukała do drzwi zajazdu, gdzie według zwyczajów gościnności flamandzkiej, czuwała, albo raczej spała służąca szerokoramienna i barczysta.

Służąca ta zdala słyszała tentent konia po bruku i zbudzona, bez gniewu otworzyła drzwi dla przyjęcia podróżnego, czyli raczej podróźnej.

Następnie, otworzyła szerokie drzwi do stajni: w które wbiegły rumaki, poznając, że to stajnia.

— Czekam na mojego towarzysza—rzecze kobieta — pozwól mi spocząć przy ogniu; bo nie myślę kłaść się spać bez niego.

Służąca podesłała koniom, zamknęła stajnię i powróciła do kuchni; tam przystawiła kociołek do ognia, palcami objaśniła świecę i zasnęła.

Tymczasem, Remy, który został na czatach, uważał na podróżnego, o którym wspominał, że go słyszał galopującym.

Widział go jak wjeżdżał w miasto, i jechał powoli i bacznie nad słuchując: przybywszy do uliczki, jeździec ujrzał latarnię i zdawał się wahać, czy ma spojrzeć lub dalej jechać.

Zatrzymał się o dwa kroki od Remego, który w ramieniu czuł ciepły oddech konia.

Remy poniósł rękę do noża.

— To on—rzecze do siebie—on jeszcze nas ściga. I czegoż chce od nas?

Podróżny złożył ręce na piersi, koń zaś jego ciężko oddychał wyciągając szyję.

Nie rzekł i słowa, ale z ognistego spojrzenia, skierowanego to naprzód, to w tył, to znowu w uliczkę, łatwo odgadnąć, że się namyśla, czy ma powracać, czy jechać dalej, czy stanąć w zajęździe.

— Widać pojechali dalej — rzecze — i my jedźmy...

I puszczając lejce koniowi, pojechał.

— Jutro — rzekł do siebie Remy — trakt zmienimy.

I połączył się ze swoją towarzyszką, która go niecierpliwie czekała.

— A co—zapyta cicho—czy jedzie za nami?

— Bynajmniej, ja byłem w błędzie; zupełnie pani możesz spać spokojnie.

— Wiesz, mój Remy, że sypiać nie mogę.

— To może pani posiliz się, bo od wczoraj nie nie jadłaś.

— Dobrze—mój Remy.

Obudzono biedną służącą, która wstała powtórnie w tak dobrym jak dawniej humorze i dowiedziawszy się o co rzecz chodzi, wydobyla z bufetu szynkę, zająca i konfitury; następnie, przyniosła butelkę pieniacego piwa.

Remy usiadł ze swoją panią do stołu.

Wtedy, ona nalala pół szklanki piwa i umaczała w nim usta; następnie, ułamała kawaleczek chleba i zjadła kilka okruszyn; w końcu, przechyliła się na krześle i odsunęła chleb i piwo.

— Jakto, pani już nie jesz?—zapytała służąca.

— Skończyłam i dziękuję.

Służąca wtedy, poczęła patrzeć na Remego, który wziął chleb pokruszony przez panią, jadł go powoli i piwem popijał.

— A mięsa czy pan nie je?—zapyta.

— Nie, moje dziecko, dziękuję.

— Może nie dobre?

— I owszem, wyborne, ale nie jestem głodny.

Służąca złożyła ręce dziwiąc się tej nadzwyczajnej wstrzemięźliwości; albowiem nie tak widziała jedzących swoich współziomków.

Remy widząc to zadziwienie służącej, rzucił sztukę srebrnej monety na stół.

— Wiele panu dać reszty?—zapyta—możesz pan schować ten pieniądz, bo tylko sześć szelągów od dwóch osób.

— Schowaj ten pieniądz, moja kochanko — odezwie się podróżna — mój brat i ja mało jemy, ale dla tego nie chcemy zmniejszać twego zarobku.

Służąca zarumieniła się z radości, ale jednocześnie łzy litości potoczyły się z oczów, tak te wyrazy były wymówione boleśnie.

— Powiedz mi, moje życie—zapytał Remy — czy jest ztąd jaka boczna droga do Malines?

— Jest panie, ale bardzo zła; tymczasem wielka droga wyborna.

— Oh! wiem o tem; lecz chciałbym inną pojechać.

— Ale panie, ponieważ jedziesz z kobietą, uprzedzam cię, że bardzo zła, a obecnie podwójnie.

— A to dla czego, moja kochanko?

— Ponieważ tej nocy bardzo wiele osób udaje się do Bruxelli.

— Do Bruxelli?

— Nie inaczej; wyjeżdżają na jakiś czas.

— A to dla czego?

— Ja nie wiem, ale to ma być z rozkazu.

— Z rozkazu! czyjego?.. czy nie księcia Oranii?

— Nie, z rozkazu Jego Księżęcej Mości.

— Co to za Jego Księżęca Mość?

— Ah! pan mnie pytasz za wiele, a ja nic nie wiem; koniec końcem, powiadam panu, że mnóstwo osób wyjeżdża.

— A co to za osoby?

— Mieszkańcy wsi, wiosek, miasteczek, które nie mają tam i wołów.

— I my sami — odpowie dziewczyna — o świcie wyjedziemy, równie jak wszyscy mieszkańcy miasteczka. Wczoraj, o jedenastej godzinie, kanałami wyprowadzono wszystkie bydło pod Bruxellę: otóż dla czego powiadam państwu, wiele musi być na drodze wozów, koni i ludzi.

— Dla czegoż nie jadą gościńcem? gościńiec byłby dogodniejszym.

— Nie wiem, ale taki rozkaz.

Remy i jego towarzyszka spojrzeli po sobie.

— Ale my możemy jechać dalej, bo jedziemy do Malines.

— Ja myślę, że lepiej zrobić jak wszyscy, to jest udać się do Bruxelli.

Remy spojrział na swoją towarzyszkę.

— Nie, nie, natychmiast jedziemy do Malines — zawołała podróżna pani, podnosząc się. — Otwórz stajnię, moja kochanko.

Remy powstał równie jak jego towarzyszka, mówiąc półgłosem:

Niebezpieczeństwo za niebezpieczeństwem; wole te, które już znam... prócz tego ten młody człowiek wyprzedził nas... a gdybyśmy go przypadkiem spotkali... zobaczymy.

Ponieważ konie były nierozsiodlane, podał strzeżenie swojej towarzyszce, sam siadł na konia i przed świtem stanęli nad brzegami Dyle.



W y j a ś n i e n i e.

Niebezpieczeństwo, które Remy lekceważył, było rzeczywistem, albowiem nocny podróżny wyjechawszy z miasteczka i przybywszy ćwierć mili, gdy nie widział nikogo na drodze, domyślił się, że ci, za którymi jechał, spoczeli.

Nie chciał powracać, aby swojej pogoni nie czynić zbyt wyraźną; ale położył się na polu zasianem koniżyną, wprzódki konia umieściwszy w rowie, służącym za granicę pola.

Wynikło ztąd, że wszystko mógł widzieć, nie będąc od nikogo widzianym.

Młodzieniec, którego poznano, którego Remy wiedział nazwisko, a kobieta domyślała się, nazywał się Henryk du Bouchage, którego fatalizm raz jeszcze rzucił wobec kobiety, którą zaprzysiągł unikać.

Po rozmowie z Remym na progu tajemniczego domu, to jest po utracie wszelkich nadziei, Henryk powrócił do pałacu Joyeus'a, postanowiwszy, jak mówił, pozbyć się życia, które tak skąpo zaświeciło dla niego; jako szlachcie i dobry syn; albowiem pragnął imię ojca czystem zachować: chciał zginąć na polu bitwy.

Walczone we Flandryi, a że księżę Joyeuse brat jego, dowodził armją, ten więc wybrał środek pozby-

cia się życia. Nie wahał się wcale, wyjechał z pałacu o świcie, to jest: we dwadzieścia cztery godzin po wyjeździe Remego i jego towarzyszki.

Listy nadeszłe z Flandryi donosiły o stanowczej na Antwerpią wyprawie. Henryk więc sądził, że na czas przybędzie. Bawił się tą myślą, że umrze przynajmniej z bronią w ręce, na rękach brata i pod francuzkim sztandarem; że jego śmierć ogromnego narobi hałasu i że ten hałas przebije się do damy, mieszkającej w tajemniczym domku.

Szlachetne niedorzeczności! smutne ale pełne sławy marzenia! Henryk sycił się cztery całe dni boleścią, albo raczej nadzieją jej kresu.

W chwili, kiedy cały zajęty myślą o śmierci, spostrzegł wysoką wieżę Valenciennes i ósma godzina wybiła w mieście, ujrzał, że zamykają bramy; kolnął konia ostrogą i wpadając na most zwodzony, obalił człowieka.

Henryk nie należał do liczby owych zuchwalców, którzy depeczą nogami wszystko, co od nich niższe. Przejeżdżając, przeproszał tego człowieka, który na dźwięk jego głosu obejrzał się.

Uniesiony przez konia, którego nadaremnie wstrzymywał, zadrzał jakby zobaczył tego, którego nie spodziewał się widzieć.

— Jakimże głupi! — pomyślał — Remy w Valenciennes; Remy, którego cztery dni temu, zostawiłem przy ulicy Bussy, Remy bez swojej pani, bo mu tylko towarzyszy jakiś młodzieniec!.. Na honor, boleść od-

łbiera mi przytomność i zaćmiewa wzrok, że wszędzie widzę tylko przedmioty mojej myśli.

I jadąc dalej, przybył do miasta nie mając żadnego nawet podejrzenia.

Zatrzymał się w pierwszym zajęździe, jaki napotkał. oddał konia miejscowemu słuźącemu i usiadł przed bramą na ławie, gdy tymczasem sporządzano mu wieszczkę.

Kiedy tak zamysłony siedział, ujrzał dwóch podróżnych, jadących koło siebie i zauważył, że jeden z nich podobny do Remego, często się za nim oglądał. Drugiemu skrzydła szerokiego kapelusza twarz zasłaniały.

Remy mijając zajazd, widział Henryka na ławie i obejrzał się; właśnie przez to go poznał.

— Tym razem — mówił Henryk do siebie — nie mylę się. Krew mam zimną, oczy jasne i myśli świeże, przyszedłszy do siebie, mogę sobą władać, prócz tego, to samo zjawisko powtarza się i sędzę, że towarzyszy Remego jest słuźącym z domu na przedmieściu.

— Nie—mówił dalej, nie mogę być w takiej niepewności i natychmiast muszę się przekonać.

To postanowiwszy, powstał i udał się szeroką ulicą za podróżnymi; lecz czy zajęchali do jakiego domu, czy inną udali się drogą, nie znalazł ich.

Pobiegł on do bramy miasta; lecz była zamkniętą.

Podróżni wyjechać więc nie mogli.

Chodził więc po wszystkich zajazdach wypytywał

się, szukał i dowiedział, że dwaj podróżni skierowali się do lichego zajazdu przy ulicy Beffroi.

Gospodarz właśnie zamykał dom, gdy Bouchage przybył.

Kiedy ten człowiek zachęcony powierzchnością młodego podróżnego, ofiarowywał mu swoje usługi, Henryk zatapiał wzrok we wschodowy pokój, gdzie widział na wschodach Remego, prowadzonego przez służącą ze świecą.

Nie mógł widzieć jego towarzysza, który zapewne szedł pierwszy i już zniknął.

Na wschodach, Remy zatrzymał się. Tym razem, poznając go dokładnie, hrabia wydał okrzyk, a na dźwięk jego głosu; Remy się odwrócił.

Po bliźnie na twarzy i po niespokojności w niej wyrytej, Henryk upewnił się w swoim przekonaniu i za nadto wzruszony, przed oddaleniem, zapytał tylko z wyraźnym ściśnieniem serca, dla czego Remy opuścił swoją panią i dla czego znajduje się na tej samej co on drodze.

Mysli jego toczyły się z przepaści w przepaść.

Nazajutrz w godzinie otwierania bram miasta, kiedy sądził, że spotka się twarz w twarz z dwoma podróżnymi, zdziwiony dowiedział się, że w nocy obadwaj nieznajomi otrzymali pozwolenie wyjazdu, i że pomimo zwyczaju, bramę im otworzono.

Tym sposobem, ponieważ wyjechali o pierwszej po północy, wyprzedzili go o sześć godzin drogi.

Trzeba więc było stracony czas odzyskać; puścił konia galopem i dogonił naszych podróżnych w Mons.

Ujrzał znowu Remego; ale tym razem potrzeba było być czarownikiem, aby poznać Henryka, przywdział bowiem kaszkiet żołnierski i innego kupił sobie konia.

Oko przezornego slugi odgadło ten podstęp i towarzysza Remego, ostrzeżony po cichu, tak twarz odwrócił, że Henryk widzieć jej nie mógł.

Jednak młodzieniec nie zniechęcał się, wypytywał w pierwszym zajeździe, gdzie stanęli podróżni, a że natarczywie brał się do rzeczy, powiedziano mu, że towarzysz Remego był pięknym, młodym mężczyzną, lecz bardzo smutnym, wstrzemięźliwym i milejącym.

Jakieś światełko padło na jego myśli.

— Czy to nie kobieta?—zapytał.

— Być może — odpowiedział gospodarz—dzisiaj wiele kobiet przebiera się, udając się za kochankami do Flandryi; że zaś nasz stan nic nam widzieć nie pozwala, nic nie widzimy.

To wyjaśnienie ścisnęło serce Henrykowi.

Być może, że Remy towarzyszy swojej pani przebranej za mężczyznę.

Z tego wszystkiego, Henryk czegoś okropnego się domyślał.

Zapewne, jak mówił gospodarz, jejmość za kochankiem jedzie do Flandryi.

Remy więc kłamał, mówiąc o jej wiecznych stosunkach; ta bajka o miłości nieszczęśliwej, która na wieki ubrała w żałobę jego panią, zdawało mu się zręcznym wymysłem na oddalenie natrętnika.

A więc kiedy tak—mówił do siebie Henryk, wię-

cej udręczony tą nadzieją niż był rozpaczą—tem lepiej, przyjdzie czas, że będę mógł zbliżyć się do tej kobiety i wyrzucić wybiegi, które ją poniżyły w moich oczach, ją, którą tak wysoko stawilem; kiedy tak, ja, który ją marzyłem niebiańską istotą, widząc w jasnej powłoce, duszę zwyczajną, spadnę ze szczytu mojej miłości i wysokości moich marzeń.

I młodzieniec darł sobie włosy i piersi rozdzierał na tę myśl, że kiedykolwiek utraci miłość i złudzenia, które go zabijały. Lepiej mieć serce wdowie, niż puste.

Tak myślał, marząc o przyczynie, dla której udają się do Flandryi te dwie osoby nierozdzielne od siebie, gdy ujrzał ich znowu, wyjeżdżających do Bruxelli.

Wiemy jak znowu jechał za niemi.

W Bruxelli, Henryk stanowczo się dowiedział o planach wyprawy, projektowanej przez księcia d'Anjou...

Flamandcykowie zanadto byli nie przychylni księciu Andegaweńskiemu, aby dobrze przyjęli znakomitego Francuza; byli zanadto dumni powodzeniem, jakie ich sprawa otrzymała; albowiem to samo należy nazwać powodzeniem, że Antwerpia zamknęła bramy przed księciem, którego na tron przyzwano; byli zanadto dumni, aby nie chcieli upokorzyć Francuza, mówiącego najczystszyim akcentem paryzkim, który w każdej epoce śmiesznym się ludowi belgijskiemu wydawał.

Henryk pojmował więc odrazu trudne zagadnienie

wyprawy, w której brat jego tak znaczny miał udział; postanowił więc przyspieszyć swój przyjazd do Antwerpii.

Było więc dla niego nieodgadnionem, po co Remy jego towarzyszka, tą samą co on udają się drogą, a do itego nie chcą być poznanemi.

To dowód, że do jednego dążą celu.

Wyjechawszy z miasteczka, Henryk ukryty w koniczynie, gdzieśmy go zostawili, był pewnym tym razem przynajmniej ujrzeć twarz towarzysza Remego.

Tu widział koniec wszelkich niepewności. I wtedy, jakeśmy powiedzieli, rozdzierał piersi, lękając się utracić złudzenia, dla których żyć pragnął i dla których chciał umrzeć.

Kiedy dwaj podróżni przejeżdżali koło młodzieńca, nie spodziewając się, aby kto był w koniczynie ukryty, kobieta gładziła włosy nie mając czasu uczynić w zajezdzie.

Henryk ją ujrzał i poznał, o mało biedak nie stoczył się w rów, gdzie paśł się jego koń.

Podróżni przejechali.

Oh, wtedy, gniew opanował Henryka tak dobrego i cierpliwego, że mieszkańców domku tajemniczego sądził uczciwemi jak on sam.

Lecz po protestacyach Remego, po udanych smutkach kobiety, ta podróż albo raczej zniknięcie było pewnym rodzajem zdrady dla człowieka, który tak uporeczywie, ale zarazem z takim uszanowaniem oblegał bramę jej domu.

Kiedy raz, który ugodził w serce Henryka, nieco zobojętniał, młodzieniec odgarnął piękne, jasne włosy, otarł pot z czoła i wsiadł na konia postanowiwszy żadnych nie zachowywać względów wyjąwszy nakazywanych przez resztę uszanowania i dalej jechać.

Zrzucił płaszcz i kaptur i puścił się za podróżnemi myśląc, że droga wolna dla wszystkich; zastosował więc krok swojego konia do wyprzedzających jego.

Postanowił nie mówić ani do Remego, ani do jego towarzyski, tylko dać im poznać obojgu.

— Tak, tak—mówił do siebie—jeżeli mają cokolwiek serca, moja obecność chociaż przypadkowa, będzie dla nich ciężkim wyrzutem, którzy z przyjemnością rozdierają mi serce.

Zaledwie pięćset kroków postąpił, aż Remy go postrzegł.

Widząc go spokojnym, łatwym do poznania i śmiałym, Remy się zmięsział.

Kobieta spostrzegła to i odwróciła się.

— Ah!—rzecze—czy to nie ten młodzieniec?

Remy chciał ją jeszcze uspokoić.

— Nie sędzę, pani — odpowie — jest to zapewne jakiś młody żołnierz, udający się do Amsterdamu i na teatrze wojny szukający przygód.

— Mniejsza o to, ale ja jestem niespokojną.

— Uspokój się pani, gdyby ten człowiek był hrabią du Bouchage, zbliżyłby się do nas; wszak pani wiesz jak jest uprzejmy.

— Wiem, że pełen uszanowania i gdyby nie to,

byłabym ci dawno powiedziała: „Oddal go, Remy“ i nie troszczyła o więcej.

— A więc, jeżeli pełen uszanowania i jeżeli on, nie ma się czego obawiać tak samo na drodze z Brukselli do Antwerpii, jak w Paryżu, przy ulicy Bussy.

— Mniejsza o to—odrzekła kobieta, jeszcze w tył spoglądając—otóż jesteśmy w Malines, zmieńmy konie i spieszy do Antwerpii.

— Przeciwnie, pani, nie udajmy się do Malines, ale ponieważ konie nasze nie bardzo zmęczone, udajmy się do miasteczka, które widać na lewo a które sądzę, że Willebroeck nazywa; tym sposobem, unikniemy miasta, zajazdu, ciekawych i wszelkich pytań; prócz tego, unikniemy nieprzyjemności zmiany koni i sukien, jeżeliby zmienić je było potrzeba.

— Kiedy tak, Remy, jedźmy do miasteczka.

Wzięli się na lewo udając za ledwie dojrzaną ścieżką, która jednak widocznie do Willebroeck prowadziła.

Henryk w tem samym miejscu co oni zjechał z drogi i udał się tą samą ścieżką zachowując milczenie...

Niespokojność Remego objawiała się w ukośnych spojrzeniach, w niespokojnej postawie, a nadewszystko w ruchu, który stał mu się zwyczajem oglądania w tył.

Te rozmaite symptomy nie uszły uwagi jego towarzyszek.

Przybyli do Willebroeck.

Z dwustu domów, z których się składało miasteczko, żaden nie był zamieszkany; kilka psów i kotów zgłodniałych biegało po tej samotni, jedne wyjąc, drugie miaucząc i uciekając pod drzwi domów, gdzie się bezpiecznemi sądziły.

Remy pukał we dwadzieścia miejsc; nie widział, ani słyszał nikogo.

Henryk ze swojej strony, zdający się być cieniem dwojga podróżnych, zatrzymał się przy pierwszym domu, zapukał i nie znajdując nikogo, pojął że wojna tego wyludnienia przyczyną: zaczął więc, aby się przekonać co poczną ci, za którymi jechał.

Właśnie, Remy w opuszczonym zajeździe, znalazł nieco owsa i tym postanowił konie nakarmić.

— Pani — rzecze wtedy Remy — nie jesteśmy w kraju spokojnym, ani w położeniu zwyczajnem; nie należy nam więc narażać się jak dzieciom. Bez wątpienia, możemy wpaść w ręce Francuzów, albo Flamanńczyków nie mówiąc o Hiszpanach; albowiem w dziwnem położeniu, w jakim się Flandrya znajduje awanturników nie zbywa. Gdybyś pani była mężczyzną, innym językiem mówiłbym do ciebie; ale jesteś kobietą młodą i piękną, narażasz więc na niebezpieczeństwo i życie i honor.

— Oh! życie, życie! ono dla mnie jest niczem.

— Przeciwnie pani; życie jest wielką rzeczą, kiedy ma cele.

— A więc, powiedz co czynić, Remy, ty myśl i działaj za mnie, ty wiesz, że moje myśli nie są na tej ziemi.

— Kiedy tak, pani, pozostanmy tutaj, widzę wiele domów, które mogą za schronienie służyć; mam broń i możemy, albo się ukrywać, albo bronić, stosownie do potrzeby.

— Nie, Remy, muszę iść dalej, nie mnie nie zatrzyma — odpowiedziała, wstrząsając głową — lękałabym się tylko o ciebie, gdybym się lękać miała.

— A więc, jedźmy.

I popędził konia nie mówiąc więcej.

Nieznajoma jechała za nim, zaś Henryk du Bouchage, który się razem z nimi zatrzymał, razem wyruszył.

IV.

W o d a.

W miarę, jak podróżni postępowali, kraj przybierał coraz dziwniejszą postać.

Zdawało się, że pola równie są puste jak wieś i miasteczka.

W rzeczy samej, nigdzie nie było widać krów pasących się po łąkach, nigdzie kozy spinającej się po bokach góry, albo skaczącej po płotach za listkami tarni i winnej macicy, nigdzie trzody i pasterza, nigdzie pluga i oracza, nigdzie wędrownego z króbką na plecach kramarza, nigdzie woźnicy śpiewającego charakterystycznym głosem i strzelającego z biczka.

Jak tylko wzrok sięgał po tych pysznych równinach, nigdzie ludzkiej postaci, nigdzie ludzkiego głosu.

Wieczór zapadł; Henryk w zamyśleniu, instynktem zbliżony do podróżnych przed nim jadących, pytał powietrza, drzew i odległego horyzontu o wytłomaczenie tego smutnego zjawiska.

Na tle tego posepnego obrazu, przy purpurowym zachodzie słońca, jedyne żyjące istoty: Remy i jego towarzysza byli widzialnemi; dalej, o sto kroków za nimi, malowała się postać Henryka, zawsze w tej samej postawie i tem samym oddaleniu.

Remy zatrzymał swoją towarzyszkę kładąc rękę na lejcach jej konia.

— Pani—rzecze—wiesz czy jestem odważny, lub nie i czybym jeden krok zrobił w tył dla ocalenia życia; lecz dzisiaj coś dziwnego we mnie się dzieje, że czuję jak mnie przytomność odbiega i jak kroku naprzód uczynić nie jestem zdolny; nazwij to pani bojaźnią tchórzostwem, jak ci się podoba, ale powiadam... boję się.

Kobieta odwróciła się, być może, że te złowrogie przecucia były dla niej obcemi, być może, nie widziała.

— Czy jest za nami?—zapyta.

— Oh! to nie o nim mowa — odpowiedział Remy—nie myśl o nim, proszę cię, on jest sam, a i ja przecież stanę za mężczyzną; nie, niebezpieczeństwo, którego się obawiam, albo raczej przeczuwam, to które się zbliża i grozi nam, innego jest rodzaju; jest niewia-

domem i nieznanem; dla tego nazywam je niebezpieczeństwem.

Kobieta kiwnęła głową.

— Patrzaj pani — mówił Remy — czy widzisz te wierzby uginające czarne wierzcholki?

— Widzę.

— Obok tych drzew; spostrzegam domek, idźmy tam; jeżeli zamieszkały zażądamy gościnności; jeżeli pusty, zajmiemy go. Nie sprzeciwiaj się pani, błagam cię...

Wzruszenie Remego, jego głos drżący i wewnętrzne przekonanie skłoniło towarzyszkę aby uległa.

Zwróciła więc konia w kierunku przez Remego wskazanym.

W kilka minut potem, podróżni nasi pukali do drzwi domku, zbudowanego w cieniu wierzb.

Strumień płynący około domu oblewał wierzby i skrapiał murawę; za domkiem, murowanym z cegły a pokrytym dachówką, był mały ogródek, otoczony żywym płotem.

Nikt nie odpowiedział na pukanie podróżnych.

Remy nie wahał się; wydobył nóż, uciął gałązkę wierzby, włożył ją pomiędzy szpary drzwi, aby otworzyć.

Drzwi się otwarły.

Remy wszedł spiesźnie; od godziny, wszystko wykonywał z pośpiechem, jakby trawiony gorączką. Zamek niezgrabnie zrobiony uległ prawie bez oporu.

Remy wprowadził do domku swoją towarzyszkę,

zamknął drzwi za nią, zasunął na drewniany rygiel i odetchnął jakby życie odzyskał.

Zadowolony, że schronił swoją panią, umieścił ją w jedynej izbie na pierwszym piętrze, gdzie znalazł łóżko, stół i stołek.

Następnie, spokojniejszy o nią, zeszedł na dół przez otwór w ścianie zaczął uważać na poruszenia hrabiego, który widząc ich wchodzących do domku, niebawem się doń zbliżył.

Myśli Henryka były posępne i w zupełnej harmonii z myślami Remego.

— Zapewne — mówił do siebie — jakie nieznanne nam, ale wiadome mieszkańcom nieszczęście wisi nad krajem; wojna niszczy okolice, Francuzi wzięli Antwerpią, albo ją wezmą; wieśniacy strwożeni szukają w miastach schronienia.

Rozległe było to tłumaczenie, a jednak nie zadawało młodzieńca.

Przynajmniej na inne wprowadzało go myśli.

— Co robi Remy i jego pani w tej okolicy?—zapyta.—Jaka gwałtowna potrzeba pcha ich w straszne niebezpieczeństwo. Ah! muszę wiedzieć o tem; bo przyszła chwila, że raz skończę z tą kobietą. Jeszcze nigdy nie miałem tak pięknej sposobności.

I postępował ku domowi.

Lecz nagle zatrzymał się.

— Nie—rzecze z wahaniem tak zwyczajnem rozkochanemu—nie, będę aż do końca cierpiał. Prócz tego, czyż nie jestem panem swej woli? Czyż wie o tem wszystkim, co o niej mówił Remy? Oh! jego tylko

nienawidzę; bo on mnie zapewniał, że nie kocha nikogo. Ale bądźmy jeszcze sprawiedliwi, czyż ten człowiek, który mnie zaledwie zna, ma zdradzać tajemnice swojej pani? Nie, nie, moje nieszczęście jest pewne i co gorszego ja jemu tylko winien, i ciężaru na nikogo zwałać nie mogę. Teraz na domiar moich cierpień potrzeba tylko, abym ją widział przybywającą do obozu, wieszającą się u szyi jakiego rycerza i mówiącą: „Przekonaj się wiele wycierpiałam i jak cię Kocham!.. A więc, aż tam udam się za nią, zobaczę to, czego lękam się ujrzeć i umrę: oszczędzę trudu karabinowi albo armacie. O Boże, ty wiesz—dodał z głębi serca przepelnionego religią i miłością — że ja nie szukałem tych boleści konania, że z uśmiechem szedłem na śmierć pewną, spokojną i pełną chwały. Chciałem zginąć na polu bitwy z twojem imieniem na ustach i jej w sercu. Ale nie dozwoliłeś mi panie i skazałeś na śmierć rozpacz, złości i męczarni. Niech święci się wola Twoja, o Panie!

Następnie, przypominając sobie owe dni oczekiwania i cierpień, które przepędził patrząc na tajemniczy dom, porównywał, że jego boleści mniej były ciężkie w Paryżu, bo chociaż ją często widywał, chociaż słyszał jej głos i chodził za nią; to chociaż owa woń, wypływająca z kobiety, którą się kocha, zmieszana z powiewem wiatru twarz jego popieściła.

I mówił dalej wciąż patrząc na domek, w którym się znajdowała.

— Czekając śmierci, póki ona będzie w tym domu, w pośród tych drzew obieram moje schronienie,

alboż to nie szczęście mogąc słyszeć jej głos i widzieć jej cień przez okno. Oh! nie, nie, ja nie narzekam, ja teraz jestem szczęśliwy.

I położył się pod wierzbami, których gałęzie dom osłaniały, słuchając z uczuciem trudnej do opisania melancholii, szmeru wody, ciekącej w strumieniu.

Nagle zadrżał, huk armat odbił się ze strony północnej i uciekł uniesiony wiatrem.

— Ah!—rzecze—przybędę za późno, wezmą Antwerpią.

Henryk powstał i chciał wsiąść na konia, aby biegnąc za hukiem, udać się na pole bitwy; ale potrzeba było opuścić nieznaną i umrzeć w niepewności.

Gdyby jej nie napotkał na drodze, byłby pojechał dalej, nawet nie oglądając się, nie wzdychając za przeszłością, nie żałując przyszłości; ale kiedy ją spotkał, kiedy podejrzenie odezwowało się w sercu, postanowienia osłabły.

— Pozostał więc.

Przez dwie godziny leżał na ziemi, nadstawiając ucho na dochodzące do niego strzały, czyniąc tylko uwagę co sprawia silne a nieregularne wybuchy.

Był pewnym, że to brat jego wysadza w powietrze flamandzkie okręty.

Nakoniec, około drugiej, wszystko się uspokoiło, w pół do trzeciej wszystko umilkło.

Huk dział nie dochodził, jak się zdawało do wnętrza mieszkania, gdzie gdyby był słyszany, tymczasowi goście nie byli nań nieczuli.

— O tej godzinie—mówił do siebie Henryk—An-

twerpia jest wziętą i mój brat zwyciężcą. Ale po Antwerpii, przyjdzie Gand, po Gand, Bruges i zawsze znajdę sposobność z chwałą umierać. Ale przed zgonem, chcę widzieć po co ta kobieta do francuzkiego jeździe obozu?

Ponieważ po wzburzeniach powietrza, nastąpiła cichość, Joyeuse odziany płaszczem, pozostał spokojnym.

Wpadł w pewien rodzaj uspienia, któremu natura ludzka oprzeć się nie może, gdy jego koń, pasący się o kilka kroków od niego, postawił uszy i smutnie zarżał.

Henryk otworzył oczy.

Zwierzę stając na czterech nogach, z wyciągniętym łbem oddychało powiewem idącym z południa.

— Co tam, mój poczciwy rumaku?—rzecze młodzieniec, powstając i głaszcząc konia po szyi — zimno ci i żałujesz dobrej stajni.

Zwierzę jakby mowę rozumiało i jakby chciało odpowiedzieć, szybko zwróciło się w kierunku Lierre i z wlepionymi oczyma i otworzonymi nozdrzami słuchało.

— Ah!—rzecze Henryk—to coś gorszego jak mi się zdawało, zapewne gromada wilków włości się w okolicy, przeczuwając żer z trupów.

Koń zarżał i łeb spuścił; następnie, poruszeniem szybkim jak błyskawica, zaczął ku stronie zachodniej uciekać.

Uciekając, przechodził około swojego pana, który go pochwyił za grzywę i zatrzymał.

Henryk wskoczył na niego i jako dobry jeździec powstrzymał.

Za chwilę jednak to, co koń pierwszej posłyszał, doszło do uszu Henryka i ten sam dreszcz który przenikał konia przeszedł człowieka.

Długi świst, podobny do przeciągłego wiatru wznosił się z rozmaitych punktów półkolem, rozciągającym z południa ku północy. Kłęby mgły, jakby przesycone kroplami wody, zdawały się pędzić w powietrzu i huk jakby bałwanów rozlegać.

— Co to jest?—zapytał siebie Henryk—miałżeby to być wiatr? Nie, wiatr niesie odgłos i pędzi mgłę. Może armia w pochodzie? I to nie.—I znowu się położył na ziemi—będę słuchał chodu, lub komendy. Może to pożar? i to nie, nigdzie nie widać światelka i niebo pochmurne.

Huk powiększył się i stał wyraźnym; był on ustawiczny, stłumiony, jakby tysiące armat szło po bruku.

I Henryk tak sądził przez chwilę; lecz nagle zawołał:

— Niepodobna! bruku nie ma w tych stronach i tysiąca armat przy wojsku.

Huk coraz bardziej się zbliżał.

Henryk popędził konia galopem i dostał się na wzgórze.

— Co widzę?—zawoła, dosiegając szczytu.

— To, co widział młodzieniec, jego koń wprzód wypatrzył; kiedy go pędził w tę stronę, musiał użyć ostróg, a kiedy wyjechał na szczyt, zwierzę zaczęło wierzeć nogami i zdawało się, że powali jeźdźca.

To co widzieli i koń i człowiek, była ogromną, lśniącą płaszczyzną, rosnącą co chwila i pędzącą ku morzu.

Młodzieniec patrzył nie wiedząc co począć na to szczególne zjawisko; kiedy zwracając wzrok na miejsce, które dopiero opuścił, ujrzał łękę napelniającą się wodą i mały strumień występujący z brzegów tak dalece, że zalał dwa krzaki róż znajdujące się nad jej brzegiem.

Woda powoli zbliżała się do domku.

— Nieszczęśliwy! — zawoła Henryk — czemuż od razu nie zgadłem? To wylew!.. widać Flamandczykowie zerwali tamy.

I natychmiast popędził ku stronie domku, do którego przybiegłszy, silnie zapukał.

— Otworzyć! otworzyć! — krzyczał na całe gardło.

Nikt nie odpowiadał.

— Otwórz Remy — wołał wściekły młodzieniec — otwórz, to ja, Henryk du Bouchage, otwórz!

— Nie potrzebujesz pan wymieniać swojego nazwiska — odpowiedział Remy z wnętrza domu — ja cię oddawna poznałem, ale ostrzegam cię panie, że jeżeli gwałtem zechcesz tu wejść, znajdziesz mnie z pistoletami w rękach.

— Ty nic nie wiesz nieszczęśliwy! — wołał Henryk z rozpaczą — woda! woda!

— Panie hrabio, nie używaj wybiegów i nikczemnego podejścia, powtarzam ci, że chyba po moim trupie tu się dostaniesz.

— Choćby tak, przejdę w imię nieba, w imię Bo-

ga, w imię twojego i twojej pani zbawienia, czy chcesz otworzyć?

— Nie.

Młodzieniec spojrział około siebie i spostrzegł jeden z owych ogromnych kamieni, podobny do tych, które wyrzucił Ajax; podniósł ten kamień obudwoma rękami i biegnąc ku domowi, rzucił go we drzwi.

Drzwi rozleciały się w kawałki.

W tym samym czasie, kula świsnęła koło uszu Henryka nie dotknąwszy go.

Henryk poskoczył ku Rememu.

Remy z drugiego pistoletu wystrzelił, ale mu na panewce spaliło.

— Szaleńcze, ale ja jestem bezbronny — wołał Henryk—nie broń się przeciw człowiekowi, który cię nie napada, patrz tylko, patrz.

I pociągnął go ku oknu, które pięścią wybił.

— A co—rzecze—czy widzisz?

I pokazał mu palcem ogromny obrus, bielący się na horyzoncie, który huczał postępując jak czoło ogromnej armii.

— Woda—rzecze Remy.

— Tak, woda! ona nas zaleje, patrz na dół, strumień wezbrał i za pięć minut wyjść ztąd nie będzie można.

— Pani! pani!—zawołał Remy.

— Tylko nie krzycz i nieprzestraszaj. Przygotuj konie, lecz prędko.

— On ją kocha—pomyślał Remy—on ją ocali.

Remy pobiegł do stajni Henryk wpadł na schody.

Na krzyk i strzały kobieta drzwi otworzyła.

Młodzieniec porwał ją na ręce jak dziecko

Lecz ta, sądząc, że to jest gwałt, lub zdrada, bro-
niła się z całej siły.

— Powiedz Remy, powiedz—wołał Henryk—że
ja ocalę ją.

Remy usłyszał wołanie młodzieńca w chwili gdy
wyprowadził konie.

— Tak, tak—zawoła—on cię ocali, pójdź, pójdź!

V.

U c i e c z k a .

Henryk nie tracąc czasu na uspokojenie porwanej,
wyniósł ją z domu i chciał z sobą na swoim koniu
umieścić.

Lecz ona skutkiem niepokonanego wstrętu, wy-
śliznęła się i przyjeta przez Remego usiadła na swoim.

— Co pani czynisz—rzecze Henryk — i jak moje
serce pojmujesz? Wierzaj mi, nie idzie tu o mnie, ani
o przyjemność, abym cię miał w swoich objęciach
i przyciskał do piersi, chociażbym za to oddał moje ży-
cie, ale potrzeba spieszyć jak ptak uciekać. O patrzaj
pani jak i ptaki uciekają.

W rzeczy samej, wśród zaledwie wschodzącego
dnia, widać było chmary gołębi pospiesznie przerzy-

nających powietrze, co w porze zwyczajnej dla nietoperzy miało coś przerażającego.

Nieznajoma nic nie odpowiedziała; lecz ponieważ siedziała na koniu, popędziła go naprzód, nie odwracając się.

Lecz koń jej i Remego dwudniową drogą były strudzone.

Henryk odwracał się co chwila i widząc, że go dogonić nie mogą, mówił:

— Patrzaj pani jak mój koń twego wyprzedza, a jednak wstrzymuję go obudwoma rękami; zmiłuj się pani póki czas jeszcze, nie żądam abys jechała, ale weź mojego konia, a mnie oddaj twój.

— Bardzo dziękuję — odpowiedziała podróżna głosem spokojnym, tak, że nic nie zdradzało w niej obawy.

— Lecz pani—zawołał Henryk—rzucając ostatnie rozpaczliwe wejrzenie—woda nas porwie, rozumiesz pani!

W rzeczy samej, straszny huk w tej chwili dał się słyszeć; właśnie tamę w pobliskiej wsi zerwała; belki, pale, wał, wszystko pękło; podwójny rząd pali trzasnął jak piorun i woda hucząc po gruzach, zaczęła zalewać las dębowy, którego widziano chwiejące się wierzchołki i słyszano trzaskające gałęzie, jakby szatan z wiatrem nad nim przelatywał.

Drzewa wyrwane z korzeniem łamiąc się nawzajem, belki z rozwalonych domów, płynące po powierzchni wody, rżenie koni, krzyk ludzi w oddaleniu, ryk bydła i jęki, składały dziwny i okropny koncert, że

dreszcz, jaki przejmował Henryka, udzielił się nieporuszonemu sercu nieznajomej.

Popędziła swojego konia, a ten jakby pojmował ogrom niebezpieczeństwa, podwoił usiłowania, aby ująć go.

Lecz woda przybywała a przybywała ciągle i było widocznem, że za dziesięć minut dogoni naszych podróżnych.

Henryk zatrzymywał się co chwila, aby czekać na towarzyszy i wołał:

— Prędsiej! prędsiej, woda przybiera!

W rzeczy samej, piana i huczna przybierała niosąc z sobą jak piórko dom, w którym Remy schronił swoją panią; unosiła jak lekką słomianą łódkę, przywiązaną do brzegu rzeki i poważna, ogromna, tocząc swoje pierścienie, podobna do muru, przybyła w bliskości koni Remego i nieznajomej.

Henryk krzyknął z przestachu i przybiegł, jakby z wodą chciał walczyć.

— Czy pani widzisz, że jesteś zgubioną — ryknął z rozpaczą. — Dalej, może czas jeszcze, pójdź, pójdź zemną.

— Nie, panie—odpowie.

— Za minutę już będzie późno, patrzaj, patrzaj pani.

Nieznajoma spojrzała za siebie; woda była za nią zaledwie o pięćdziesiąt kroków.

— Niech się spełni moje przeznaczenie? — rze-
cze—uciekaj sam panie, uciekaj!

Zmęczony koń Remego potknął się na przednie nogi, i pomimo usiłowań jeźdźca powstać nie mógł.

— Ratuj ją, panie, ratuj—wołał—ratuj pomimo jej woli.

Jednocześnie kiedy się oswobadzał ze strzemion, woda stoczyła się ogromnym bałwanem na jego głowę...

Jego pani widząc to, wydała krzyk straszny i zeskoczyła ze swojego konia, postanowiwszy z Remym umierać. Lecz Henryk widząc ten zamiar, jednocześnie ku niej poskoczył, schwycił ją prawą ręką i sadzając na swojego konia, ruszył jak strzała.

— Remy! Remy!—wołała kobieta, ręce wyciągając ku niemu.

Krzyk jej odpowiedział; Remy wypłynął na wierzch wody i z niepokonaną nadzieją, która towarzyszy ginącemu aż do samego zgonu, pływał, utrzymywany na belce.

Obok niego szedł jego koń, bijąc przednimi nogami wodę; konia zaś jego pani woda uniosła, o dwadzieścia kroków dalej, trzeci koń unosił Henryka i jego towarzyszkę; Remy nie żałował życia, albowiem ginąc, miał nadzieję, że jego pani uratowaną zostanie.

— Żegnam cię pani—wołał—ja pierwszy się oddalam i powiem temu, który na nas czeka, że żyjesz dla...

Nie zdołał skończyć zdania, góra wodna pochłonięła go i rzuciła pod nogi konia Henryka.

— Remy! Remy!—wołała pani — Remy, ja chcę

z tobą umierać, panie, puszczaj mnie, w imię Boga, ja chcę tu zostać.

Wymówiła te wyrazy z taką siłą i powagą, że młodzieniec, pozwolił jej ześliznąć się na ziemię mówiąc:

— Dobrze, wszyscy troje tu zginiemy; dzięki że sprawiasz mi radość, której nigdy się nie spodziewałem.

Kiedy to mówił wstrzymując konia, woda zaskoczyła go jak zaskoczyła Remego; ale ostatniem wysileniem miłości, zatrzymał kobietę za rękę.

Woda porwała ich i z innymi przedmiotami pomięszała na chwilę.

Przytomność człowieka tak młodego i z takim poświęceniem, którego cały korpus wznosił się nad wodą, a ręce utrzymywały towarzyszkę, tworzyła wielki i wzniosły obraz; młodzieniec widząc ostatnie wysilenia ginącego konia, do samego kresu chciał być użytecznym.

Straszna to była chwila walki, podczas której, kobieta, utrzymywana prawą ręką Henryka, głową wznosiła się nad wodą, a on zaś lewą ręką odgarniał belki, trupy i inne przedmioty, których uderzenie mogłoby go zatopić.

Jedno z tych pływających ciał minęło ich wołając:

— Żegnam cię, pani.

— Na Boga!—zawołał młodzieniec—to Remy.—
A więc i ciebie uratuje.

I nie zważając na niebezpieczeństwo, na jakie się

narażał, pochwycił Remego, przyciągnął i pozwolił wolniej odetchnąć.

Tymczasem koń jego, pochylony potrójnym ciężarem, zanurzał się po szyję, później po oczy, nakoniec, zginając pod jeźdźcem kolana, znikł zupełnie.

— Trzeba ginąć — cicho rzekł Henryk. — Boże! oddaję Ci życie czyste i niepokalane. Ty zaś, Panie, przyjmij duszę, bo była Twoją.

W tej chwili Henryk uczuł jak mu się Remy wymyka: nie starał się utrzymać go, bo opór był daremnym.

Jedynem jego staraniem było utrzymywać nad wodą kobietę, aby przynajmniej, jeżeli ginąć potrzeba, ona umarła ostatnią i aby on sam mógł powiedzieć, że czynił wszystko co mógł, aby ją wyrwać śmierci.

Nagle, kiedy już sam myślał, że zginie, usłyszał krzyk radośny.

Odwrócił się i ujrzał Remego, ciągnącego łódź.

Łódź ta pochodziła z domku, któryśmy widzieli jak go woda unosiła; kiedy Remy wyratowany i utrzymywany przez Henryka ujrzał ją, wyrwał się i płynąc zadyszany, dogonił.

Łódź miała przy sobie przywiązane dwa wiosła i wewnątrz żerdź z hakiem.

Podał żerdź Henrykowi, który ją pochwycił i przyciągnął do siebie; następnie, wzniosłszy swój drogi ciężar nad głowę, podał Rememu.

W końcu sam, rękami czepiając się łodzi, dostał się pomiędzy Remego i panią.

Pierwsze promienie dnia zaświeciły ukazując wo-

daż zalane okolice i łódź kołyszącą się jak prosięk na owym oceanie, pokrytym rozbitkami.

Prawie o dwieście kroków na lewo, wznosił się mały pagórek, który oblany w około wodą, zdawał się małą pośród morza wysepką.

Henryk pochwycił ster i robił wiosłem od strony pagórka, ku któremu sama woda ich niosła.

Remy ujął żerdź i stając na przodzie, odgarniał belki i drzewo, o które łódka mogłaby trącić.

Dzięki sile Henryka i zręczności Remego zbliżono się i wylądowano na wzgórzu.

Remy pierwszy wyskoczywszy, pochwycił za łańcuch i łódź do brzegu przyciągnął.

Henryk postąpił, aby wzięść kobietę w swoje objęcie, lecz ona wyciągnęła rękę podnosząc się i sama wyskoczyła z łodzi.

Westchnął; przez jakiś czas myślał rzucić się w przepaść i zginąć w jej oczach; lecz jakieś niepokonane uczucie przywiązywało go do życia w obec kobiety, z którą oddawna pragnął być razem, a nigdy tego dostąpić nie zdołał.

Wyciągnął łódkę na brzeg i usiadł o dziesięć kroków od damy i Remego, blady, siny i zmoczony.

Ocaleni więc byli z niebezpieczeństwa największego, z powodzi; bo jakkolwiekby zalew mógł być wielkim, nigdy nie doszedłby do wysokości wzgórza.

Teraz mogli przypatrywać się gniewowi żywiołu, nad który chyba gniew Boga silniejszy być może.

Henryk patrzył na wodę, unoszącą ciała francuzów i ich konie i broń.

Remy uczuwał silny ból w ramieniu, albowiem kiedy koń jego tonął, belka go uderzyła.

Jego to warzyszka, oprócz przemoknięcia nie nie doznała zlego. Henryk osłaniał ją od wszelkiej przygody ile było w jego możności.

Henryk dziwił się mocno, widząc że te dwie istoty cudownie uszły od śmierci, nie dziękowały jemu ani Bogu, pierwszemu zbawcy.

Młoda niewiasta pierwsza powstała; ona pierwsza postrzegła, że od strony zachodniej przez mgłę okazywał się jakiś płomień.

Nie trzeba mówić, że ten ogień świecił na wzniezionym punkcie, wolnym od wylewu.

O ile sądzić było można, wśród niepewnego jeszcze poranku, ogień był odległym przeszło o milę.

Remy wszedł na szczyt wzgórza, który przeciągał się od strony ognia i powrócił mówiąc, że najdalej o tysiąc kroków od miejsca, w którym się znajdowali, widać pokład idący w prostej linii ku ogniowi.

To co Rememu zdawało się pokładem, albo przynajmniej drogą, w rzeczy samej było podwójnym rzędem drzew, w prostym kierunku ognia wysadzonych.

Henryk zrobił swoje uwagi, które były zgodne z uwagami Remego; przecież w tym przypadku nie wiele narażać się było potrzeba.

Woda wylawszy na pochyłość płaszczyzny wyrzuciła ich na lewe drogi opasując kąć znacznej otwartości; to oddalenie, połączone z nierozumnym biegiem koni, odjęło im środki zorientowania się. Prawda, że dzień zajaśniał, lecz był mglisty i pochmurny;

w czasie pogody ze wzgórza, widzieć byłoby można dzwonnice w Malines, które tylko o dwie mile najwięcej mogło być odległe.

— Co panie hrabio myślisz o tym ogniu? — zapytał Remy.

— Ten ogień, który wam się zdaje gościnnem miejscem schronienia, mnie się nie podoba i nie ufam mu...

— A to dla czego?

— Remy — rzecze Henryk, zniżając głosu — patrz na te trupy; wszyscy to są francuzi, a ani jednego holendra; to wszystko wielką zapowiada nam klęskę; zerwano widać tamy, aby dokonać zniszczenia naszej armii, jeżeli jest pokonaną. Ognie, które widzicie mogą być także zapalone przez nieprzyjaciela, aby zwabić uciekających.

— Jednakże — rzecze Remy — tu nie można pozostać: głód i zimno zabije moją panią.

— Masz słusność, Remy — odrzekł hrabia — zostań tutaj, a ja dotrę do pokładu i przekonam się co takiego.

— Nie, panie — odezwała się kobieta — sam się narażać nie możesz, wszyscyśmy się uratowali i wszyscy razem zginiemy. Remy, podaj mi rękę, jestem gotowa.

Każdy z wyrazów tej niepojętej istoty miał urok powagi, któremu się oprzeć było niepodobna.

Henryk skłonił się i pierwszy postąpił.

Wylew nieco był spokojniejszym i pokład, który miał się kończyć przy wzgórzu, był pewnym rodzajem

koryta, w którym woda spoczywała. Wszyscy troje weszli w łódź, która znowu wypłynęła pomiędzy unoszone trupy.

W kwadrans zbliżyli się do pokładu.

Przytwierdzili łódkę do drzewa i wysiadłszy na ląd, po pokładzie, w godzinę, przybyli do gromady chat flamandzkich, wśród których na placu, wysadzonym lipami, przy wielkim ognisku, siedziało dwustu, albo trzechset żołnierzy, a w pośród nich, powiewał sztandar francuzki.

Warta postawiona o sto kroków od ogniska, złożyła się do muszkieta, wołając:

— Kto idzie?

— Francuzi—odpowiedział du Bouchage.

Później odwracając się do kobiety dodał:

— Teraz pani jesteś ocaloną; poznaję żandarmów d'Aunis, szlachetny pułk, w którym mam znajomych.

Na krzyk warty i odpowiedź hrabiego, kilku żandarmów wybiegło na przeciw nowo przybyłych, dwukrotnie milszych wśród kłęski powszechnej, raz, że przeżyli kłeskę, powtóre, że byli współziomkami.

Henryk dał się poznać i osobiście i wymieniając swojego brata. Pytany, opowiedział jak cudownym sposobem on i jego towarzysze uszli śmierci i na tem poprzestał.

Remy i jego pani w kącie usiedli w milczeniu. Henryk przyszedł do nich zachęcając, aby się zbliżyli do ognia.

Z obojga strumieniem woda się lała.

— Pani— rzecze — tu będziesz poszanowaną jak

we własnym domu; pozwoliłem sobie powiedzieć, że jesteście moją krewną, zatem przebacz mi.

I nie czekając na podziękowanie tych, którym ocalił życie, Henryk oddał się do oficerów, którzy na niego czekali.

Remy i jego towarzyszka spojrzeli po sobie, a w tem spojrzeniu tyle było wyrazu, że gdyby go był Henryk widział, stanąłby mu za wszelkie podziękowania.

Żandarmi u których nasi podróżni gościnności ządali, cofnęli się z bitwy i popłochu w najlepszym porządku.

Wszędzie, gdzie jest jednakowość położenia, jednakowość uczuć i nawyknięcia do życia razem, znajduje się zawsze jedność w wykonaniu, jak była jedność myśli.

To właśnie przytrafiło się dzisiejszej nocy żandar-mom d'Aunis.

Widząc, że ich opuszczają dowódcy i że rozmaite oddziały wojska szukają ocalenia, połączyli się razem, ścisnęli swoje szeregi i puścili galapem pod przywództwem wachmistrza, którego bardzo dla jego waleczności i rodu kochali, wszyscy udali się ku Brukseli.

Jak wszyscy aktorowie tej okropnej sceny, patrzyli na postępy wylewu, który ich zaciekle ścigał; lecz szczęście chciało, aby na drodze spotkali wieś, o której wspomnieliśmy, a która była silnem stanowiskiem tak przeciw ludziom jak przeciw rozszalałemu żywiołowi.

Mieszkańcy wiedząc, że są bezpieczni, nie opu-

czali swoich dómów, oprócz kobiet, dzieci i starców, których wysłali do miasta; żandarmi więc, przybywając, znaleźli opór. Jednakże, widząc śmierć za sobą, uderzyli z rozpaczą, pokonali trudności, i chociaż stracili dziesięciu ludzi, wyparli flamandczyków a sami się obozem rozłożyli.

W godzinę potem, wieś była wodą zalana prócz miejsca, które sobie obrali.

Takie opowiadanie Henryk od nich posłyszał.

— A reszta wojska?—zapyta Henryk.

— Patrz pan — odpowiedział wachmistrz — co chwila płyną trupy, które odpowiadają na to pytanie.

— A mój brat?—odważył się zapytać głosem słumionym.

— Niestety! panie hrabio, nie możemy ci o nim pewnych udzielić wiadomości: walczył jak lew i po trzykroć wynosiliśmy go z ognia. To pewna, że przeżył bitwę, ale wylewu zaręczyć nie możemy.

Henryk spuścił głowę i w gorzkich zatopił się myślach; później, nagle zapyta.

— A księżę?

Wachmistrz schylił się do Henrykowi i cicho odrzekł:

— Hrabio, J. Książęca mość pierwszy uciekł. Jechał na koniu białym, bez żadnej odmiany, oprócz gwiazdki na czole. Niedawno widzieliśmy jak woda niosła takiego konia; jedna noga jeźdźca była w strzemionach i pływała nad siodłem.

— Wielki Boże!—zawołał Henryk.

— Wielki Boże!—powtórzył Remy, który na wy-

raz „Książę“ powstał i przybył słuchać opowiadania, często spoglądając na swoją towarzyszkę.

— A potem co?—zapytał hrabia.

— Tak, a co potem?—powtórzył Remy.

— Na zakręcie, jaki tworzyła tama — mówił wachmistrz—jeden z moich ludzi ośmielił się pochwycić za lejce pływającego konia, doścignął go, ale koń nie żył. Widzieliśmy wtedy, ukazujący się biały bót i złotą ostrogę; ale woda, jakby się upominała o swoją zdobycz, w tej chwili porwała konia, a żandarm musiał sam się ratować. Tak więc nie możemy nawet po chrześcijańsku pogrzebać naszego Księcia.

— Zginął! zginął! następca tronu, jaka szkoda!..

Remy zwrócił się ku swojej towarzyszcze i z wyrazem trudnym do opisanego, rzecze:

— Przekonaj się pani że zginął.

— Boże, dzięki Ci, żeś mi zbrodni oszczędził—odpowiedziała powstając i na znak wdzięczności składając ręce oraz oczy wznosząc do góry.

— Tak, ale nam zemsta uciekła—dodał Remy.

— Bóg pamięta, a zemsta nie należy do człowieka, kiedy Bóg zapomina.

Hrabia z pewnym rodzajem trwogi patrzył na uniesienia dwóch obcych osób, które uratował od śmierci; patrzył na nich z daleka i nadaremnie się silił odgadnąć prawdziwą myśl z ich poruszeń i wyrazów twarzy.

Głos wachmistrza przerwał jego zamyślenie.

— Ale ty, panie hrabio — zapyta — co robisz tutaj?

Hrabia zadrżał.

— Ja?—rzecze.

— Tak, ty.

— Będę tu czekał, aż ciało brata mojego nadpły-
nie—odparł młodzieniec 1 tonem ciężkiej rozpaczy—
wtedy, sam go na brzeg wyciągnę i po chrześcijańsku
pogrzebię; zaręczam ci, że kiedy go dostanę, nie 1 pu-
szczę.

Remy słyszał te smutne wyrazy i spojrział na
młodzieńca z czułym wyrzutem.

Co zaś do nieznamojem, kiedy wachmistrz powie-
dział o śmierci Księcia Andegaweńskiego, nic nie sły-
szała, ale modliła się.

VI.

P r z e m i a n a.

Po modlitwie, towarzyska Remego powstała tak
piękna i promieniająca, że hrabia nie mógł się wstrzy-
mać od okrzyku podziwu i uwielbienia.

Zdawało się, że przebudziła się z długiego snu,
w którym mary zmęczyły jej nmysł i zasepiły pogodę
twarzy, ze snu ciężkiego, który na wilgotnem czole
śpiącego wyciska piętno męczarni.

Albo raczej była to dziewica Jaira, obudzona ze
snu śmiertelnego na swoim grobie i powstająca czysta,
aby się unieść do nieba.

Młoda niewiasta wyszedłszy z tego letargu, spojrziała w około siebie tak łagodnie i przyjemnie, tak była ubrana w anielską piękność, że Henryk łatwowierny jak wszyscy kochankowie, widział ją litującą się jego cierpieniem i budzącą w sobie jeżeli nie uczucie, to przynajmniej wdzięczność i litość.

Kiedy żandarmi po skąpym posiłku, spali po różnych kątach, kiedy Remy strudzony, opuszczał głowę i skłaniał ją do snu, Henryk przyszedł usiąść przy młodej kobiecie i głosem łagodnym i cichym przemówił:

— Więc pani żyjesz... Oh! pozwól mi wylać moją radość, która napelnia serce widząc cię teraz bezpieczną, gdyś była prawie nad grobem.

— Prawda, panie—odpowiedziała kobieta— żyję za twojem staraniem i pragnęłabym ci powiedzieć, że jestem wdzięczną.

— Nakoniec pani—odpowie Henryk z wysileniem zaprzania się—cieszy mnie, że cię uratowałem, aby powrócić tym, których kochasz.

— Co pan mówisz?—zapyta.

— Tym, z którymi się połączysz, gdy wyjdiesz z niebezpieczeństwa—dodał.

— Panie, ci, których kochałam, pomarli, ci z którymi się mam połączyć, nie żyją.

— Ah! pani—odezwie się młodzieniec, padając na kolana—spójrz na mnie, który tyle cierpiełem i który tyle kochałem ciebie. Ah! nie odwracaj się; jesteś młodą i piękną jak aniołowie z nieba. Czytaj w sercu, które ci otwieram i przekonaj się, że w niem nie ma

kropki miłości, jak ją pojmują ludzie. Ty mi nie wierysz; ale policz ubiegłe godziny, zważ je jedna po drugiej, która mi sprawiła radość, lub nadzieję? A jednak nie upadałem. Kazałaś mi płakać i piłem łzy moje; kazałaś mi cierpieć i karmiłem się boleścią, pchnęłaś mię ku śmierci i szedłem na nią odważnie.

W tej samej chwili, kiedy się odemnie odwracasz, kiedy każdy mój wyraz, jakkolwiek ognisty, zdaje się jak kropla zamarzła padać na twoje serce, moja dusza tobą jest przepelniona i żyje dla tego, że ty żyjesz. Niedawno, czyż nie miałem umrzeć przy tobie? czy czego więcej pragnąłem? Twojej ręki; lecz czyż jej kiedy dotknąłem? Nigdy, tylko aby cię wywieść z niebezpieczeństwa. Trzymałem cię w moich objęciach, aby cię wyrwać bałwanom, lecz czyś czuła pierś moją? Oh! nie, ja jestem tylko duszą, bo wszystko we mnie oczyściła miłość.

— Oh! panie, miej litość nademną i przestań.

— Przeciwnie, ja błagam litości, nie potępiaj mnie. Mówiono mi, że nie kochasz nikogo, powtórz to samo; szczególna łaska, nieprawdaż, dowiedzieć się, że nie jest kochanym kto kocha? Lecz przekładam to, ponieważ powiesz, że dla wstystkich zarówno jesteś nieczułą. Oh! pani, która jesteś przedmiotem mojego uwielbienia, odpowiedz.

Pomimo nalegań Henryka, westchnienie było odpowiedzią młodej kobiety.

— Więc pani nic nie mówisz—zaczął znowu hrabia;—Remy miał przynajmniej więcej litości od ciebie, on chciał mnie pocieszać. Nie chcesz mi odpowiedzieć,

bo widzę żeś się udała do Flandryi dla połączenia z kimś szczęśliwszym odemnie; chociaż ja młody jeszcze, chociaż nadzieję mogę w piersiach nosić; szczęśliwszym odemnie, który konam u twoich stóp, a ty mi nie powiesz: „kochałam, ale nie kocham“ albo „kocham ale przestanę.“

— Panie hrabio—odparła młoda kobieta z poważną uroczystością—nie mów mi o tem, o czem się mówi kobiecie; jestem z innego świata istotą i na tym wcale nie żyję. Gdybym cię widziała mniej szlachetnym, mniej dobrym i mniej wspaniałym; gdybym nie miała dla ciebie w głębi duszy czułego uśmiechu brata dla siostry, powiedziałabym: „wstań panie hrabio i nie udrezczaj moich uszów wyrazami miłości,“ albo wiem boleję nad twojem cierpieniem. Co więcej powiem: teraz kiedy cię znam, wezmę twoją rękę, położę na mojem sercu i powiem: zobacz moje serce jak bije, żyj przy mnie, jeżeli chcesz, żyj przy mnie, jeżeli ci to sprawia radość, ale i tej ofiary chociażbyś ją przyjął z radością..

— Oh! tak, z największą—zawołał Henryk.

— I tej ofiary muszę ci odmówić od dzisiaj, skoro zaszła zmiana w mojem życiu; albowiem nie mam prawa opierać się na żadnej ręce na świecie, nawet na ręce tego szlachetnego przyjaciela, który tutaj spoczywa i który doznał chwilowego szczęścia zapomnienia. Niestety! biedny Remy—mówiła dalej nadając swojemu głosowi wyraz czułości, jaką w niej Henryk zauważał—biedny Remy i twoje przebudzenie smutnem będzie; ty nie czytasz postępu moich myśli, ty nie wiesz,

że po przebudzeniu się sam zostaniesz na ziemi, bo ja muszę iść do Boga.

— Co pani mówisz?—zawołał Henryk—czy znowu myślisz umierać?

Remy obudzony bolesnym krzykiem hrabiego, podniósł głowę i słuchał.

— Widziałeś mnie pan modlącą się?—mówiła dalej młoda kobieta.

Henryk potwierdził.

— Ta modlitwa była pożegnaniem ze światem, ta radość, którąś widział na mojej twarzy, to wesele, które gości we mnie całej, jest tą samą, gdyby anioł śmierci przyszedł mi powiedzieć: „Powstań Dyanno i idź za mną do stóp Boga“

— Dyanno! Dyanno!—mówił Henryk, wiem teraz imię twoję, imię najdroższe i najgodniejsze uwielbienia...

I nieszczęśliwy upadł do stóp młodej kobiety, powtarzając to imię w upojeniu niepojętego szczęścia.

— Ah! pani, teraz, gdy wiem twoję imię, nie mów o śmierci.

— Ja tego nie mówię—odparła młoda kobieta głosem poważnym—mówiłam, że opuszczę ten świat łez, nienawiści, namiętności, interessów i żądz bez liku; mówiłam, że nie mam co czynić pomiędzy stworzeniami Boga mnie podobnemi; albowiem nie mam już łez do wylania, krwi, aby biła w sercu, głowy, coby miała nad czem myśleć, od chwili, jak myśl napelniająca mnie zamarła; jestem bez wartości ofiarą, bo nic nie poświęcam, ani żądz, ani nadziei, wyrzekając się te-

go świata; ale nakoniec, taką, jak jestem poświęcam się Bogu: on sądzi, ulituje się nademną, on który tyle cierpień na mnie zesłał i nie dozwolił mi upaść pod ich ciężarem.

Remy, który słuchał tych słów, powstał powoli i prosto przyszedł do swojej pani.

— Pani, ty mnie opuszczasz?—rzecze głosem ponurym.

— Dla Boga—odpowiedziała, wznosząc do góry rękę białą i wychudłą jak ręka Magdaleny.

— Prawda—odpowiedział Remy opuszczając głowę na piersi—prawda.

A ponieważ Dyanna opuściła rękę, ujął ją i przycisnął do serca, jakby relikwie.

— Czemże jestem przy tych dwóch sercach?—westchnął młodzieniec ze drżeniem przestachu.

— Pan jesteś jedyną ludzką istotą—odpowiedziała Dyanna — na którą po dwakroć zwróciłam oczy, przeznaczone na wieczne zamknięcie.

Henryk ukląkł.

— Dziękuję ci, pani — rzecze—całaś mi się objawiła; dziękuję ci, widzę jasno moje przeznaczenie; od tej chwili ani jeden wyraz, ani jedno westchnienie nie zdradzą serca, które cię kochało; pani przeznaczasz się Bogu, i wolę twoję szanować należy.

Skończył i podniósł się, przejęty owym odradzającym wdziękiem, który towarzyszy każdemu wielkiemu i niewzruszonemu postanowieniu, gdy w dolinie pokrytej mgłą, która co chwila więcej się rozjaśniała, rozległ się odgłos odległych trąb.

Żandarmi poskoczyli do broni i przed dowódcą byli na koniach.

Henryk słuchał.

— Panowie—zawoła—to trąby admiralskie, poznaję je.

— Oh! panie, oby one zwiastowały mi brata!

— Widzisz więc pan, że jeszcze czegoś żądasz, że jeszcze kogoś kochasz na ziemi; dla czegoż obierasz rozpacz, jak ci, co niczego nie pragną i nie kochają nikogo.

— Konia!—zawołał Henryk—niechaj przygotowują mi konia.

— Ale którądy pan wyjedziesz?—zapytał wachmistrz—kiedy woda ze wszystkich stron nas otacza.

— Ale przez równinę dostać się można; widzisz, że oni idą, skoro ich trąby słychać.

— Wyjdź panie hrabio na górę; czas się wyjaśnia i może co zobaczysz.

— Dobrze—odpowiedział młodzieniec.

Henryk w rzeczy samej wyszedł na wskazaną wysokość; trąby odzywały się w pewnych peryodach, nie zbliżając się, ani oddalając.

Remy zajął swoje miejsce przy Dyannie.

VII.

D w a j b r a c i a .

W kwadrans potem, Henryk powrócił; widział, a każdy mógł się o tem przekonać, na wzgórzu, które mgła zasłaniała, znaczny oddział wojsk francuzkich odciętych.

W bok szerokiego dołu wody, który otaczał wieś zajmowaną przez żandarmów d'Aunis'a, równina zaczęła się wychylać i wznioślejsze punkta ziemi, jakby po potopie odsłaniać.

Blotnisty muł pokrył wszystkie pola i przykro było patrzeć, jak w miarę wysychania i opadania wody na równinie, okazywało się mnóstwo powięzłych w błocie, pragnących dostać się do wsi, miasta, albo chociaż na wzgórze.

Z pagórka słyszano ich wołania i otóż dla czego trąby odzywały się ustawicznie.

Skoro wiatr mgłę rozpędził, Henryk na bliskiej wzniosłości spostrzegł chorągiew francuzką, pysnie rozwijającą się na niebie.

Żandarmi także powiewali swoją chorągwią, z jednej i z drugiej strony strzelano na znak radości.

Okolo jedenastej godziny, słońce oświeciło tę scenę zniszczenia, osuszając niektóre części równiny i czyniąc możebnem przebycie.

Henryk, który dawniej patrzył, pierwszy ujrzał tę

i chciał jej spróbować, a że nikt nie ubiegał się o to niebezpieczeństwo, polecił wachmistrzowi Remego i jego towarzyszkę, a sam w niebezpieczną puścił się drogę.

W tym samym czasie, kiedy ze wsi wyjeżdżał, widziano jeźdźca, zstępującego ze wzgórza i probującego dostać się do wsi.

Cała pochyłość wzgórza od strony wsi pokryta była patrzącami żołnierzami, którzy wznosili ręce do nieba i chcieli zatrzymać śmiałego towarzysza swemi prośbami.

Szeroki pas wody wypływający z rowu, jakby z umysłu obmywał błotnistą drogę, która pokazywała się kamienną i dobrze urządzoną szosą; nią obadwaj jeźdźcy zbliżali się do siebie i zaledwie o dwieście kroków jeden od drugiego byli oddaleni.

— Francuz—zawołał jeździec przybywający ze wzgórza.

I podniósł kapelusz ocieniony białem piórem.

— Ah! to ty—zawołał Henryk z wykrzyknieniem radości—oh! to ty, Mości Książę!

— To ty, Henryku, mój bracie — zawołał drugi jeździec.

I nie myśląc, że można zboczyć na prawo albo na lewo, obadwaj puścili się galopem kierując ku sobie; wkrótce, w pośród uniesień radości obudwóch wpadli w swoje objęcia i poczęli długo i czule się ścisnąć.

Natychmiast i wieś i wzgórze opróżniły się; zandarmi i lekka jazda, szlachta katolicka i hugonocka, rzucili się na drogę otwartą przez dwóch braci.

Niedługo dwa obozy złączyły się: otwarły się ra-

miona, i na drodze, na której wszyscy śmierć znaleźć spodziewali się, widziano trzy tysiące francuzów, dziękujących Bogu i wołających: „wiwat francuzi!“

— Panowie—zawoła nagle jeden z hugonockich oficerów—wołajcie: niech żyje admirał! albowiem księciu Joyeuse winniśmy życie i to, że ściskamy naszych rodaków.

Z niezmiernym okrzykiem przyjęto te słowa.

Dwaj bracia mówili z sobą po cichu, zalewając się łzami, następnie Henryk zapytał:

— A książę?

— Zginął zdaje się—odpowiedział drugi.

— Czy pewno?

— Żandarmi d'Aunis'a widzieli utopionego jego konia i poznali go. Koń ten ciągnął za sobą trupa, którego noga była w strzemionach, a cały korpus w wodzie.

— Smutny dzień dla Francyi—rzecze admirał.

I odwracając się do swoich ludzi, dodał:

— Dalej, panowie, nie traćmy czasu, kiedy woda opadnie, niezawodnie nas zaatakują, ściśnijmy się aż nam przybędą wieści i żywności.

— Ale moi książę—jeden głos odpowiedział—kawalerya iść nie może; konie nie jadły od czwartej godziny po południu i biedne z głodu zdychają.

— Mamy zboże w obozie—odezwał się wachmistrz—ale co z ludźmi zrobimy?

— Jest zboże?—zapytał admirał—więcej nie żądam, i ludzie i konie żyć niem mogą.

— Mój bracie — przerwał Henryk — proszę cię, abyśmy chwilę z sobą pomówić mogli.

— Muszę wieś zająć — odpowiedział Joyeuse — wybierz tam dla mnie mieszkanie i czekaj mnie.

Henryk poszedł odszukać swoich towarzyszy.

— Otóż jesteśmy wśród armii—rzecze do Remego — wierzajcie mi, ukryjcie się w mieszkaniu, które wam wskażę, nie przystoi bowiem dla pani, aby od wszystkich była widziana. Wieczorem, kiedy wszyscy zasną, możecie być wolniejsi.

Remy wraz z Dyanną zajął więc mieszkanie ustapione przez wachmistrza żandarmów, który za przybyciem Joyeusa został oficerem do rozkazów admirała.

Okolo drugiej, książę Joyeuse, wjechał do wsi przy dźwięku trąb, rozlokował wojsko i porządek zalecił..

Następnie, kazał rozdzielić jęczmień pomiędzy ludzi, owies pomiędzy konie, dla rannych zaś przeznaczył kilka beczek wina i piwa, które znaleziono w piwnicach. Sam, w obec wszystkich zjadł kawałek chleba czarnego i popił wodą, a następnie, objechał stanowiska.

Wszędzie, przyjmowano go jak zbawcę okrzykami miłości i wdzięczności.

— Niechaj — rzecze, powracając do brata — niechaj przyjdą Flamandzycy, a pokonam ich; a nawet jeśli tak dłużej potrwa, zjem żywcem, bo mi jeść się chce okropnie — i dodał cicho do Henryka, rzucając chleb, który zdawało się, że je ze smakiem—przebrzydła strawa.

Następnie, rzucił się na szyję brata, mówiąc:

— Teraz rozmawiajmy, a najprzód, powiedz mi jakim sposobem znajdujesz się we Flandryi, gdyś być powinien w Paryżu.

— Mój bracie—rzecze Henryk do admirała—życie nieznośnem mi się stało w Paryżu i wyjechałem, aby się z tobą połączyć we Flandryi.

— Ale zawsze z miłości?—zapytał Joyeuse.

— Bynajmniej, ale z rozpaczy. Teraz, przysięgam ci, nie jestem zakochany; moją namiętnością jest smutek.

— Mój bracie—zawołał Joyeuse—pozwól mi sobie powiedzieć, żeś na piekielną trafił kobietę.

— Jakto?

— Tak Henryku, trafia się, że pewien stopień złości lub cnoty istot stworzonych przechodzi wolę Stwórcy, że stają się zabójcami, albo katami; i tak, jeżeli przez zbytek cnoty, pozwalamy na cierpienia drugiego, jest to barbarzyństwo, jest brak chrześcijańskiej miłości.

— Oh! mój bracie—zawołał Henryk—jakże możesz cnotę potwarzać.

— Ja nie potwarzam cnoty, Henryku, ale obwiniam występki, powtarzam ci, to piekielna kobieta i jej posiadanie, jakkolwiek może być pożądane, nie warto tylu cierpień; mój Boże! ile to potrzeba sił, aby odpędzić pokusy!.. Jak cię kocham, Henryku, gdybym był na twojem miejscu, szturmem wziąłbym i dom i kobietę, a ponieważ zwyczajna, że pokonany pokornym jest przed zwycięzcą, jestem pewny, że nie dłu-

gobym słyszał: „Henryczku, ja cię uwielbiam; ale wtedy, powiedziałbym jej, dosyć kochanko cierpiałem dla ciebie, cierp ty teraz.“

Henryk chwycił brata za rękę.

— Nie myślisz co mówisz—rzecze.

— Na honor.

— Ty tak dobry, łaskawy?

— Łaskawość i dobroć z ludźmi bez serca, to głupstwo.

— Oh! Joyeuse, Joyeuse, ty nie znasz tej kobiety.

— Ja jej znać nie chcę.

— Dla czego?

— Bobym dla niej popełnił to, co inni nazywają zbrodnią, a cobym ja nazywał tylko sprawiedliwością...

— Oh! mój bracie—odpowie młodzieniec z anielskim uśmiechem—jakżeś szczęśliwy, że nie kochasz. Ale jeżeli łaska, Jaśnie oświecony admirał, porzućmy miłość, a mówmy o wojnie.

— Dobrze; mówiąc o twoich dzieciństwach gotowem zgłupieć.

— Wiesz, że nie mamy żywności.

— Wiem o tem i myślę o środkach jej dostania...

— I masz je?

— Tak sędzę.

— Jakże?

— Nie mogę się ztąd ruszyć, dopóki nie dostanę wiadomości od armii, z uwagi, że pozycya jest dobra

i pięć razy liczniejszemu wojsku oprzeć się mogę; ale muszę wysłać korpus dla odkrycia maruderów, wyszukania miejsc zdalnych do obozów i dla znalezienia żywności. Prawdę mówiąc, Flandrya pięknym jest krajem.

— Nie bardzo mój bracie.

— Nie mówię, że ziemia, jaką ją Bóg stworzył, ani taka jaką przekształcili ludzie, którzy zawsze psują dzieła Boga. Czy wiesz Henryku, jaką niodorzeczność księżę popełnił? i zarazem co stracił? Jak duma i pośpiech prędko zniszczyły tego nieszczęśliwego Franciszka... Bog go osądzi i nie mówmy o tem więcej... Wprawdzie mógł zarobić na nieśmiertelną sławę, przysporzyć najpiękniejszą Francyi prowincję... ale o cóż mu chodziło? O Wilhelma le Sournois. Zresztą czy wiesz, że Antwerpianie tego się bili.

— I ty także mój bracie.

— Tak był to jeden z moich pięknych dni, a przysporzył mi, jedna rzecz mnie podniecała. Wierząc, że przy-
 erając ludzi,

— Jaka?

— Na polu bitwy spotkałem armię.

— Francuza?

— W Flamandzkich tylko każesz wziąć żywno-

— Na czele, oto to dla ludzi na dzień. Pamiętaj, aby rozwiązać resztki i pewne wiadomości. Placu de Grève, mój bracie, może masz jak

— Nakoniam; słuchaj wielką radość z wiadomości o śmierci, lecz tyłczegoś dokonać że jest w moim obozie, wyborcu lecz

— A co e sily, i jeżeli znajdziesz cia

— Powierz mi dowództwo oddziału, który wysłać zamierzyłeś.

— Nie, bo to niebezpieczne, Henryku. Tego nie powiedziałbym ci przy obcych; ale nie chcę, abyś umierał w kącie, to jest śmiercią szkaradną. Oddział ten może spotkać Flamandczyków, którzy wojują cepami i kosami; zabijesz ich tysiąc, a jeden przyjdzie i przetnie cię na dwoje, albo na wieki zeszepeci. Nie, Henryku, jeżeli chcesz koniecznie umierać, coś innego chowam dla ciebie.

— Mój bracie, daj mi to o co cię proszę, będę postępował roztropnie i zaręczam że wrócę.

— Rozumiem o co chodzi.

— Co rozumiesz?

— Chcesz spróbować czy odgłos jakiego świetnego czynu nie zmiękczy serca okrutnej, wyznaj, że dla tego nalegasz.

— Jeżeli tak chcesz koniecznie.

Ale jeżeli łaska, słuszność. Kobiety często opierają się miłości, a mówmy o trochę szumu je nęci.

— Dobrze; mówiać zę. —
wem zgłupieć. — Jesteś, jeżeli chcesz się narażać

— Wiesz, że nie mamy Henryku, nie szukaj innej

— Wiem o tem i myślę jak tylko w tem, że nie

nia... — I masz je? — Co, mój bracie?

— Tak sądzę. — Wz.

— Jakże? — Wz.

— Nie mogę się ztąd ruszyć, dopóki że tu długo wiadomości od armii, z uwagi, że pozycya

— Wielu mi dasz ludzi?

— Stu lub więcej. Nie mogę osłabić pozycyi, to dobrze rozumiesz, Henryku.

— Mniej, jeżeli chcesz, mój bracie.

— Nie, jabym chciał dać ci dwa razy tyle. Tylko daj mi słowo honoru, że jeżeli spotkasz trzystu nieprzyjaciół, nie będziesz szukał bitwy.

— Mój bracie — rzecze Henryk z uśmiechem — drogo sprzedajesz sławę, której jeszcze nie widzę.

— Kiedy tak, mój drogi Henryku, ani ci ją daję ani sprzedam; kto inny poprowadzi ten rekonesans.

— Mój bracie wydaj rozkazy, a ja wypełnię je.

— Nie wejdiesz w zapasy ze zbyt przeważnym nieprzyjacielem.

— Przysięgam.

— Bardzo dobrze, lecz jakie wojsko mieć zadasz.

— Pozwól mi bracie wziąć stu żandarmów d'Aunis'a; wielu znam w tym regimencie i wybierając ludzi, uczynię z nimi co zechcę.

— Dobrze niech będą żandarmy.

— Kiedyż mam jechać?

— Chociażby zaraz. Tylko każesz wziąć żywności dla koni na dwa dni, a dla ludzi na dzień. Pamiętaj, że chcę mieć spieszne i pewne wiadomości.

— Wyjeżdżam; mój bracie, może masz jak^o mne zlecenie?

— Nie rozsiewaj wiadomości o śmi^ętku, lecz ty^lko pozwól wierzyć że jest w moim obozie^o wyboru lecz w mowie moje sily, i jeżeli znajdziesz cia^o

ciaż to był nędzny wódz, pochodził z familii królewskiej, każ je więc zachować w trumnie dędowej, i dostaw je tutaj, aby go można pochować w Saint Denis.

— Dobrze, mój bracie, czy już wszystko?

— Wszystko.

Henryk chciał brata w rękę pocałować; lecz ten otworzył mu ramiona.

— Jeszcze raz przyrzeknij mi Henryku, że nie dla tego, abys zginął wyjeżdżasz?

— Mój bracie, ze złą myślą przybywałem do ciebie; lecz teraz nie mam jej wcale.

— I od jakiego czasu cię opuściła?

— Od dwóch godzin.

— Z jakiego powodu?

— Przebacz mi mój bracie.

— Idź, Henryku, idź zostawiam ci twoje tajemnice.

— Ah! jakże jesteś dobrym, mój bracie!

I młodzi ludzie powtórnie rzucili się w swoje objęcia i rozdzielili następnie, oglądając za sobą, żegnając się i uśmiechając.

nia...

— I

— Tak

— Jakże!

— Nie mo
wiadomości od a.

VIII.

W y p r a w a.

Henryk uniesiony radością pospieszył do Dyanny i Remego.

— Bądźcie za kwandrans gotowi — rzecze — jedziemy, znajdziecie osiodłane konie przy drzwiach tego kurytarza; złączycie się z wojskiem i jedźcie za mną.

Następnie, ukazując się na balkonie domu, zawołał:

— Zatrąbić na osiodłanie koni.

Wkrótce odgłos trąbki rozległ się po całej wsi i wachmistrz ze swemi ludźmi stanął przed domem.

Za nimi stało kilka mułów i kilka wołów. Remy i jego towarzyszka, według danej rady, wmięszali się pomiędzy nich.

— Żołnierze—rzecze Henryk — mój brat admirał powierzył mi chwilowe dowództwo waszej kompanii i rozkazał udać się na wyszukanie rozbitków naszej armii, stu z was ma towarzyszyć mi; posłannictwo niebezpieczne, lecz działać mamy dla dobra wszystkich. Kto z was na ochotnika?

Trzystu ludzi się przedstawiło.

— Panowie—rzecze Henryk—dziękuję wam; słusznie powiedziano, że jesteście wzorem wojska, lecz tylko stu z was wzięść mogę, nie chcę robić wyboru lecz

niech los rozsądzi!.. Panie—odezwie się do wachmi-
strza—proszę cię, każ ciągnąć losy.

Kiedy odbywano ciągnięcie, Joyeuse dawał ostat-
nie bratu rozkazy.

— Uważaj, Henryku — mówił admirał — pola
z wód opadają i musi być, jak zapewniają krajowcy,
komunikacya pomiędzy Contich i Rupelmonde, bę-
dziesz więc szedł pomiędzy rzeczką i rzeką Rupel
i Escaut. Na Escaut, znajdziesz pod Rudelmonde statki
przyprówdzone z Antwerpii; Rupel niekoniecznie
przebywać trzeba. Sądzę że nie będziesz potrzebował
udawać się aż do Rupelmonde dla znalezienia żywno-
ści, lub młynów.

Henryk, po wysłuchaniu, już chciał odjeżdżać.

— Zaczekaj—rzecze mu Joyeuse—o najważniej-
szej zapominasz rzeczy; moi ludzie ujeli trzech wieśni-
ków i z tych jednego oddaję ci za przewodnika. Żad-
nej dla niego litości i na pierwszy znak zdrady kula lub
sztylet.

Te dawszy instrukcye, czule uściskał brata i kazał
ruszyć.

Stu ludzi wyciągniętych losem, z Bouchag'em na
czele, udało się w drogę natychmiast.

Henryk umieścił przewodnika pomiędzy dwoma
żandarmami, mającymi odwiedzone pistolety.

Remy i jego towarzyszka jechali w tyle; Henryk
żadnego dla nich nie okazywał względu, myśląc że cie-
kawość co do nich obudzona, może stać się szkodliwą.

Sam, nie trudząc ich nawet spojrzeniem po wyje-
ździe ze wsi, jechał na skrzydle orszaku.

Pochód był bardzo powolny, bo nieraz konie drogi znaleźć nie mogły i w błocie brodziły.

Ponieważ nie znaleziono szosy, której szukano, musieli po najgorszej jechać drodze, a nawet po bezdrożach.

Niekiedy tententem koni poruszone straszydła uciekały po dolinie, byli to wieśniacy, zawczasie powracający do domów i obawiający się wpaść w ręce nieprzyjaciół, których zniszczyć usiłowali.

Niekiedy także spotykano francuzów zziębniętych i zgłodniałych, niezdolnych do walki, którzy lękając się wpaść w ręce nieprzyjaciół, woleli czekać dnia, niż w niepewną puszczać się drogę.

Zrobiono dwie mile w trzech godzinach; te dwie mile prowadziły awanturniczy patrol aż na brzeg Rupel; lecz po trudnościach nastąpiły niebezpieczeństwa; kilka koni po niepewnej stąpając drodze potchnęło się i wraz z jeźdźcami wpadło w bystro płynącą rzekę.

Wielekroć ze statku stojącego u brzegu padały strzały, które raniły dwóch ciurów i jednego żandarma...

Jeden z ciurów raniony był przy boku Dyanny; objawiła ona litość nad nieszczęśliwym, bez żadnej obawy o siebie.

Henryk w trudnych okolicznościach pokazał się dla powierzonych mu ludzi i godnym dowódcą i prawdziwym przyjacielem; jechał pierwszy i cały oddział wiódł za sobą, nie powierzając się instynktowi konia, ale własnej przezorności; zgoła, tak prowadził

wojsko, że tylko o jego myślał ocaleniu, a sam się narażał.

O trzy mile od Rupelmonde, żandarmi napotkali kilku żołnierzy francuzkich, zgromadzonych około ognia; nieszczęśliwi gotowali ćwierć konia, jako jedyne pożywienie, które od kilku dni znaleźć mogli.

Zbliżanie się żandarmów sprawiło pomiędzy nimi wielkie zamieszanie; dwóch z nich chciało uciekać, lecz jeden powstał i zatrzymał mówiąc:

— Jeżeli nieprzyjaciele i zabiją nas, to raz rzecz się skończy.

— Francuzi! francuzi! — zawołał Henryk, który słyszał ich mowę—zblźcie się do nas biedaki.

Nieszczęśliwi, poznając ziomków, przybiegli do nich; dano im płaszcze, po kieliszku wódki i pozwolono zabrać się na wozach.

Tym sposobem szli za oddziałem.

Nakoniec, ściągnięto na brzegi Escaut'u; noc była ciemna; żandarmi spotkali tam dwóch ludzi, którzy w złej flamadczyźnie żądali przewiezienia ich na drugi brzeg.

Ten nie chciał i groził.

Wachmistrz mówił po holendersku. Wychylił więc głowę i posłyszał te wyrazy.

— Jesteście Frauczami i zginąć musicie.

Jeden z dwóch ludzi przyłożył mu sztylet do gardła i nie trując się obcą mową, rzekł najczyściejszą francuzczyzną:

— Owszem, ty zginiesz, choćbyś był sto razy flamandczykiem, jeżeli nas nie puścisz natychmiast.

— Trzymaj go, trzymaj—zawołał wachmistrz, za pięć minut będziemy przy tobie.

Lecz kiedy dwaj francuzi zastanawiali się, co znaczą te wyrazy, Holender odwiązał łódkę i oddalił się, obcych zostawiając na brzegu.

Żandarmi pojmując jak użyteczną łódź być może, wyprawili jednego, aby strzałem pistoletowym powalił przewoźnika.

Łódź pozostawiona bez przewoźnika, zwróciła się na powrót, i kiedy dotykała brzegu, dwaj ludzie opanowali ją.

Ten pośpiech zadziwił sierżanta.

— Panowie coście za jedni?—zapyta.

— Jesteśmy oficerami z marynarki, a panowie zdaje się żandarmami d'Aunis'a.

— Nie inaczej i cieszy nas, że możemy być wam użyteczni; czy nie zechcecie nam towarzyszyć?

— Najchętniej.

— Siadajcie zatem na wozy, jeżeli pieszo iść nie możecie.

— Czy mogę panów zapytać, gdzie się udajecie?—zapytał jeden z marynarzy, ten który dotąd milczał.

— Mamy rozkaz dotrzeć aż do Rupelmonde.

— Ostrożnie panowie—odparł ten sam — wcześniej nie przebywaliśmy rzeki, bo dzisiaj rano przeszedł oddział Hiszpanów z Antwerpii; po zachodzie słońca, prędzej chcieliśmy się zryzykować, bo dwóch ludzi nie wznieca podejrzeń, ale taki oddział...

— Prawda — rzekł wachmistrz — przywołam do wódce.

Henryk zbliżył się, pytając o co rzecz chodzi.

— Ci panowie dzisiaj rano spotkali oddział Hiszpanów, którzy tą samo, co my, udali się drogą—mówił wachmistrz.

— A wielu ich było?—zapyta Henryk.

— Z pięćdziesiąt ludzi.

— A więc to nas ma zatrzymać?

— Nie, panie hrabio; jednakże myślę, że byłoby roztropniej zapewnić sobie łódź na wszelki wypadek; dwudziestu ludzi może się w niej pomieścić i jeżeliby śpiesznie potrzeba przebyć rzekę, w pięciu przewozach na tamtej stronie będziemy.

— Dobrze, zachować statek, musi tu być dom przy zejściu się Rupel i Escaut.

— Jest wieś—jakiś głos odpowiedział.

— A więc idźmy do wsi; kąt zawarty między dwoma kątami jest wyborną pozycją. Żołnierze, marsz! Niech dwóch ludzi w łódź wsiądzie i płyń rzeką, my pójdziem brzegiem.

— My będziemy kierowali łodzią—odezwał się jeden z oficerów marynarki.

— Dobrze—odpowie Henryk—ale nie spuszczać nas z oczów i łączcie się z nami jak tylko do wsi przyjdziemy.

— A jeżeli nam zostawiony statek, kto zabierze?..

— O sto kroków, od wsi, znajdziecie dziesięciu ludzi, którym statek oddacie.

— Wybornie—odpowiedział oficer.

I silnem pchnięciem odparł łódź od brzegu.

— To szczególniejsza — rzecze Henryk, w dalszy puszczając się pochód, zdaje mi się, że głos ten znam.

W godzinę potem znalazł we wsi oddział Hiszpanów, o którym mówiono; napadnięci niespodzianie, nie stawili nawet oporu.

Henryk kazał rozbroić jeńców i zamknął ich w najmocniejszym domu we wsi, oddając pod straż dziesięciu swoim ludziom.

Inny oddział dziesięciu przeznaczono do pilnowania łodzi.

Innych dziesięciu wysłano po rozmaitych punktach.

Henryk postanowił następnie odbyć posiłek pod dwudziestu ludzi w domu, przeciwległym temu w których jeńców zamknięto, pożywienie na sześćdziesiąt osób było gotowe; oddziały wysłane miały się potem posilać.

Henryk wybrał na pierwszym piętrze pokój dla Dyanny i Remego, którym wspólnie nie dozwolił się posilać.

Przy stole umieścił wachmistrza z siedmnastu ludźmi, polecając mu, aby zaprosił dwóch oficerów marynarki.

— Następnie, oddalił się, aby zwiedzić rozmaite stanowiska.

W pół godziny powrócił. Ten czas był dostatecznym dla zapewnienia żywności ludziom i wydania potrzebnych rozkazów na wypadek napadu Holendrów.

Oficerowie pomimo zalecenia, aby byli o niego

spokojni, czekali z wieczerzą, tylko zasiedli za stołem i niektórzy z nich z utrudzenia zasnęli.

Wejście hrabiego przebudziło śpiących i poruszyło obudzonych. Henryk spojrział po sali.

Miedziane lampy zawieszono u sufitu oświetlały dymnym i gęstym blaskiem.

Stół zastawiony chlebem pszennym i wieprzowiną oraz butelką piwa na osobę, zachęcającą miał powierzchnią osobliwie dla ludzi, którzy od dwudziestu czterech godzin nie jedli.

Henrykowi przeznaczono honorowe miejsce.

Usiadł.

— Jedzcie panowie—rzecze.

Po danem pozwoleniu, szcęk noży, widelców i talerzy dowiódł Henrykowi, że czekano z niecierpliwością i zaproszenie z radością przyjęto.

— A co panowie — zapytał Henryk wachmistrza—czy znaleziono naszych dwóch oficerów marynarki?

— Są panie.

— A gdzie?

— Tam, patrzaj na koniec stołu.

Nie tylko że siedzieli na końcu, ale w najciemniejszym miejscu.

— Panowie—zawoła Henryk—nie tylko że nie jecie, jak widzę, ale nadto w najgorszym miejscu siedzicie.

— Dzięki ci panie hrabio za pamięć — odpowiedział z nich jeden — ale więcej potrzebujemy snu, jak pożywienia, tak jesteśmy strudzeni; właśnie mówiliśmy

to panom, lecz powiedzieli, że rozkazałeś, abyśmy z nimi wieczerzali. Wykonaliśmy twoje zlecenie, lecz teraz oczekujemy, aby nam dano spokój...

Henryk słuchał z wielką uwagą, lecz widoczna była, że więcej zważał na głos, jak na wyrazy.

— Czy to jest zdaniem pańskiego towarzysza także?—zapyta, kiedy skończył mówić.

I spojrział na tego towarzysza, mającego kapelusz nasunięty na oczy z taką uwagą, że wielu spojrzenia na niego się zwróciły.

Ten zmuszony do odpowiedzi, wybąknął dwa wyrazy zaledwie dosłyszane.

— Tak, panie hrabio.

Na te dwa wyrazy młodzieniec zadrżał.

Wtedy, powstawszy, pobiegł na róg stołu, a za nim wszystkich oczy, pobudzone ciekawością nadzwyczajnego wzruszenia.

Henryk stanął przed oficerami.

— Panie—rzecze do tego, co mówił pierwszy—uczyn mi jedną łaskę.

— Jaką panie hrabio?

— Powiedz mi, czy nie jesteś bratem pana Aurilly, albo nim samym?

— Aurilly,—zawołali wszyscy obecni.

— A twój towarzysz niech raczy uchylić kapelusza, jeżeli nie chce, abym go nazwał Jego książęcą mością i nie skłonił przed nim.

Jednocześnie wyraził swoje uszanowanie.

— Nieznajomy wznosił głowę.

Jego wysokość ksiązę Andegaweński! — zawołali oficerowie.

— Książę żyje!

— Na honor! panowie, ponieważ poznajecie waszego księcia, pokonanego i zbiegłego, nie mogę dłużej ukrywać mego nazwiska, nie mylicie się, jestem ksiązę d'Anjou.

— Niech żyje książę!—zawołali wszyscy.

IX.

Paweł Emiliusz.

Wszystkie te okrzyki, jakkolwiek szczerze, oburzyły księcia.

— Ciszej, ciszej! panowie—rzecze—nie ciescie się więcej odemnie szczęściem, jakie mnie spotyka. Kontent jestem że żyję, to prawda, ale gdybyście mnie nie poznali, pierwszybym się nie odezwał, że żyję.

— Jako! Mości Książę—rzecze Henryk—poznałeś mnie, widziałeś, że jesteś wśród wojska francuzkiego, patrzyłeś na naszą rozpacz o ciebie i pozwoliłeś nam cierpieć?

— Panowie—odpowiedział książę—pomimo wielu przyczyn, które mi ukrywać się nakazywały, ponieważ sądzono, że zem zginał, przyznaję, że nie gniewałbym się o to żebyśm słyssał moją mowę pogrzebową.

— Ah! Mości Książę.

— Nie inaczej — odparł Franciszek — jestem jak Alexander Macedoński człowiekiem, prowadzę wojnę i według sztuki, zatem jak artysta, mam miłość własną...

Otóż wyznając prawdę, błąd popełniłem.

— Mości Książę — rzecze Henryk spuszczać oczy — nie mów podobnych rzeczy.

— Dla czego?.. powiadają, że tylko papież mylić się nie może, a i ta nieomylnosć od Bonifacego VII poszła w powątpiewanie.

— Mości Książę, dajesz nam uczuć jakby ktokolwiek poważał się dawać zdanie o tej wyprawie i jakby to zdanie było niekorzystnem.

— A dla czego nie?.. Czy sądzicie, że ja sam mało sobie czynię wyrzutów, nie żem przyjął bitwę, ale żem ją przegrał?

— Mości Książę, ta dobroć nas zatrważa i pozwól sobie powiedzieć, że wesołość ta nie jest naturalną. Niech wasza wysokość raczy nas zapewnić, że nie cierpi.

Straszna chmura przeszła po czole księcia i pokryła je złowrogim wyrazem.

— Bynajmniej, wcale nie. Dawno nie byłem zdrowszy, Bogu dzięki i czuję się, że mi pomiędzy wami wybornie.

Oficerowie skłonili się.

— Wielu masz ludzi pod twemi rozkazami du Bouchage? — zapytał książę.

— Sto pięćdziesięciu, Mości Książę.

— Ah! ah! stu pięćdziesięciu z dwunastu tysięcy! To porównać można z klęską pod Kannami; wiecie panowie, że posła do Antwerpii z korzec pierścieni, tylko wątpię, żeby piękności flamandzkie użyć ich mogły, chyba że obciosą palce kordelasami mężów. Oh djabło ćwiczyły te kordelasy!..

— Mości Książę — odparł Joyeuse — jeżeli nasza bitwa podobną pod Kannami, to my szczęśliwsi od Rzymian, bośmy zachowali naszego Pawła Emiliusza...

— Na honor panowie—odparł Książę.—Pawłem Emiliuszem z pod Antwerpii jest Joyeuse i zapewne, nie posuwając przypuszczeń do nieprawdopodobieństwa, twój brat du Bouchage musiał zginąć.

Henryk uczuł ból serca z przyczyny obojętnego wyrażenia.

— Nie, Mości Książę—odpowie—żyje.

— Tem lepiej—rzecze z zimnym uśmiechem—jako! waleczny Joyeuse przeżył klęskę. Gdzież on jest, niech go uściskam.

— Niema go tutaj, Mości książę.

— Ah! zapewne raniony.

— I owszem, cały i zdrow.

— Ale zbieg równie jak ja, błędzący, głodny, zawstydzony biedaczek!.. Niestety! słuszne przysłowie: dla sławy miecz, z niego krew, a z krwi łzy.

— Mości książę, nie wiedziałem o tem przysłowiu i mimo jego prawdy, miło mi powiedzieć waszej książęcej mości, że mój brat miał szczęście ocalić trzy tysiące ludzi, z którymi zajmuje wielką wieś o siedm mil

zład, i że ja jestem wysłany przez niego dla wyszukania żołnierzy.

Książę zbladł.

— Trzy tysiące ludzi—rzecze—i to Joyeuse ocalił trzy tysiące ludzi. Czy wiesz, twój brat jest Xenofontem! Na honor, szczęście, że mój brat przysłał mi go, bo sam musiałbym do Francji powracać. Niech żyje Joyeuse! on ocalił dom Walezyuszów, który słusznie powinien nosić godło *Hilaryter*.

— Ah, Mości książę—mówił du Bouchage dusząc się z bólu, albowiem widział, że wesołość księcia pokrywa zawiść.

— Na honor, prawda, a co Aurilly? powracamy do Francji podobni do Franciszka I-go po bitwie pod Pawią. Wszystko stracone, oprócz honoru. Ah! znalazłem dewizę dla mego domu.

Ponure milczenie przyjęło te dowcipy.

— Mości książę — przerwał Henryk — racz nam powiedzieć, jakim sposobem Bóg ocalił dla Francji twoją osobę?

— Kochany hrabio, to rzecz bardzo prosta. Bóg opiekuńczy widać ważniejszą był w tej chwili zajęty sprawą i mnie samemu sobie zostawił, ja sam siebie ocaliłem.

— Jaktó, mości książę?

— Uciekałem.

Ten żart nie obudził najmniejszego uśmiechu, któryby zapewne Książę srogo ukarał.

— Tak, nie inaczej, a co prawda, jakeśmy uciekali, poczciwy Aurilly?

— Każdy wie o odwadze i ma zdolności Waszej Książęcej Mości—rzecze Henryk—prosimy cię więc, nie rozdieraj naszego serca wyrzutami, na które nie zasłużyłeś. Najlepszy wódz pokonanym być może, samego nawet Hannibala zbito pod Żama.

— Tak—odpowiedział książę—lecz Hannibal wygrał bitwę pod Trebią, Trazymeną i Kannami, ja zaś tylko pod Coteau, Cambrésis, co jest za mało, aby porównanie wytrzymać.

— Wasza Książęca Mość żartuje, mówiąc, że uciekał.

— Bynajmniej, Bouchage, alboż jest z czego żartować?

— Albo można było zrobić co lepszego panie hrabio—odezwał się Aurilly, sądząc, że potrzeba przyjść w pomoc swojemu panu.

— Milcz Aurilly—rzecze książę—zapytaj cienia Saint-Aignan, czy mógł nie uciekać?

Aurilly skłonił głowę.

— Nie znacie historyi Saint-Aignana, to prawda, muszę wam ją opowiedzieć; dzieli się ona na trzy grymasy.

Na ten żart, który w obecnych okolicznościach miał coś przykrego, oficerowie zmarszczyli brwi nie myśląc, że się mogą narazić swojemu panu.

— Wyobraźcie sobie panowie—mówił Książę, nie zważając na znaki niezadowolenia—że w chwili, kiedy można było za przegraną uważać, zebrał pięćset koni i zamiast uciekać jak inni, przyszedł do mnie mówiąc:

— Trzeba się bronić, Mości Książę.

— Jakto bronić? odpowiedziałem, czyś oszalał, Saint-Aignan, ich jest stu przeciw jednemu.

— Chociażby było tysiąc, odparł okropnie się skrzywiwszy, ja będę nacierał.

— Nacieraj mój drogi, odrzekłem, ale ja nie myślę!..

— Jednak, Mości Książę, daj mi twojego konia, który już chodzić nie może, a weź mojego silnego: dla mnie, który uciekać nie myślę, każdy koń dobry.

I w rzeczy samej, wziął mojego konia białego, a dał karego, mówiąc:

— Książę, to biegun, który jeżeli zechcesz, z wiatrami poleci.

I odwracając się do swoich zawoła:

— Dalej panowie za mną! za mną ci, którzy nie chcą uciekać.

I popędził ku nieprzyjacielowi powtórnie, ale gorzej jeszcze skrzywiwszy się. Myślał, że spotka się z ludźmi, a on spotkał wodę. Saint-Aignan i ci co z nim poszli, zostali; to było do przewidzenia. Gdyby mnie był słuchał i zamiast próżnej junakieryi, uciekał, byłby siedział teraz przy stole i nie zrobił trzeciego grymasu, zapewne szkaradniejszego od dwóch innych.

Dreszcz przebiegł koło obecnych.

— Ten człowiek nie ma serca — pomyślał Henryk. — I dla czegoż jego nieszczęście, jego hańba, a na dewszystko ród osłaniają go przeciw wszelkiej sprawiedliwości?

— Panowie—rzecze cicho Aurilly, który uczuwał ile książę swoją mową złego wpływu wywierał, widzicie jak Jego Książęca Mość jest wzruszony i nie zważajcie na to, co mówi. Od chwili doznanego nie-szczęścia, są chwile w których obłąkania doznaje.

— Otóż, odezwie się książę, wypróżniając swoją szklanekę, jakim sposobem zginął Saint-Aignan i jak, ginąc, ostatnią zrobił mi przysługę: ponieważ mojego miał konia, sądzono, że ja zginąłem, a wieść ta rozeszła się nietylko w wojsku francuzkiem ale i we flamandzkim, które mnie ścigać przestało. Ale bądźcie spokojni moi panowie, flamandzycy nie długo cieszyć się będą powodzeniem; przyjdzie czas odwetu, a nawet krwawego, skoro uformuję straszną armię, o której właśnie myślę.

— Tymczasem Mości Książę, rzecze Henryk, racz przyjąć dowództwo nad powierzonym mi oddziałem: nie wypada mi zwyczajnemu szlachcicowi wydawać rozkazy tam, gdzie znajduje się książę z krwi królewskiej.

— Niech i tak będzie, odpowie książę: rozkazuję więc wszystkim wieszczerzać, a szczególniej tobie panie du Bouchage, boś jeszcze nie zbliżył się do talerza.

— Mości książę, jeść mi się nie chce.

— Kiedy tak, panie du Bouchage, objeżdż stanowiska. Oświadczyć dowódczom, że żyję i proszę, aby się głośno nie cieszyli póki nie zajmę twierdzy, w której waleczny Joyeuse dowodzi! bo powiem szczerze, teraz, kiedy uszedłem przed ogniem i wodą, więcej niż kiedykolwiek lękam się być wzięty.

— Mości Książę, rozkazy twoje ściśle będą wypełnione i nikt o tobie wiedzieć nie będzie, oprócz osób tutaj znajdujących się.

— A czy ci panowie zachowają tajemnicę?—zapytał książę.

Wszyscy skłonili się.

— A więc hrabio wypełniaj moje rozkazy.

Du Bouchage wyszedł z sali.

Jak widzimy, książę potrzebował jednej chwili tylko, aby z pokonanego i zbiega, stał się dumnym, przykrym i rozkazującym.

Czy stoma, czy stu tysięcy ludzi dowodzić, to zawsze znaczy rozkazywać; książę Andegaweński to samo uczynił z Joyeusem, nie zwykł on nigdy pytać na co kto zasłużył, ale pamiętał o swoich prawach.

Kiedy du Bouchage z największą skrupulatnością wykonywał rozkazy, Franciszek wypytywał pozostałych i Aurilly ten wierny cień pana, czynił to samo.

Książę dziwił się, że człowiek takiego znaczenia, jak du Bouchage przyjął dowództwo garstki ludzi i podjął się tak niebezpiecznej wyprawy.

W rzeczy samej było to stanowisko wachmistrza, a nie brata wielkiego admirała.

U Franciszka wszystko było przedmiotem podejrzeń, a każde podejrzenie musiało być wyjaśnione.

Badał więc i dowiedział się, że wielki admirał, stawiając brata na czele tego małego oddziału, uległ tylko jego silnym prośbom.

Dającym księciu te objaśnienia, a dającym bez za-

dnego złego zamiaru, był wachmistrz żandarmów d'Aunisa, któremu du Bouchage na chwilę odebrał dowództwo, jak obecnie hrabiemu.

Książę zauważył lekki cień nieukontentowania na czole wachmistrza, i dla tego badał go po szczególe:

— Jakiż w tem interes miał hrabia—rzecze—że tak usilnie żądał dowództwa?

— Pragnął najprzód zrobić armii przysługę—odpowie—o tem wątpić nie można.

— A potem dla czego?

— Już nie wiem Mości Książę.

— Albo mnie w błąd wprowadzasz, albo sam w nim jesteś.

— Tylko co się tyczy mojej służby mogę dokładnie Waszej Książęcej Mości.

— Przekonajcie się panowie—rzecze książę, zwracając się do kilku oficerów siedzących jeszcze przy stole—miałem słuszną ukrywać się, bo w mojem wojsku są tajemnice, od których mnie wyłączają.

— Wasza Książęca Mość źle sobie tłómaczy moją dyskretność—odpowie wachmistrz—jeśli jest jaka tajemnica, to chyba ona dotyczy pana du Bouchage; może być, że służąc ogólnej sprawie, chciał być użytecznym jakiemu krewnemu lub przyjacielowi i przeprowadzić go.

— Któż taki jest krewnym, albo przyjacielem hrabiego?.. powiedźcie mi, niech go uściskam.

— Mości Książę — rzecze Aurilly, mieszając się do rozmowy ze zwyczajną poufałością—ja odkryję część tajemnicy, która przecież nie powinna obudzać

nieufności Waszej Książęcej Mości. Ten krewny, którego pan du Bouchage przeprowadza...

— I cóż dalej, kończ Aurilly.

— Ten krewny jest kobietą.

— Ah! ach! czegoż mi tego zaraz szczerze nie powiedziano?.. Kochany Henryczek!.. ale to jest rzecz bardzo naturalna. Dobrze, dobrze, zamknijmy na to oczy i nie mówmy więcej o tem.

— Wasza Książęca Mość najlepiej tak uczyni, albowiem to jest wielka tajemnica.

— Jakto?

— Kobieta, którą nazywano *Bradamant*, której ze dwadzieścia razy opiewałem historję W. Książęcej Mości, ukrywa się w męzkich sukniach.

— Ah! Mości Książę, zaklinam cię, pan Henryk jest z wielkiem uszanowaniem dla tej kobiety i według wszelkiego podobieństwa do prawdy, na niedyskretnych mocno byłby obrażony.

— Zapewne, zapewne, bądź spokojnym! panie wachmistrzu, będę milczał jak grób, jak *Saint-Aignan*; tylko kiedy zobaczę ją, nie będę się krzywił. Ah! Henryk ma z sobą krewną i to pomiędzy żandarmami?.. I gdzież Aurilly, ta krewna?

— Tam, na górze.

— Jakto na górze, w tym domu?

— Nie inaczej; ale cicho, oto du Bouchage.

— Cicho — zawołał książę, śmiejąc się do rozpuku.

X.**Jedno ze wspomnień Księcia Andegaweńskiego.**

Młodzieniec, wchodząc, mógł słyszeć głośny śmiech księcia; lecz nie żył przy Jego Wysokości, aby umieć poznać groźby osłonięte tak wesołym objawem.

Mógł także zauważyć z pomieszczenia kilku twarzy, że w czasie jego nieobecności jakaś nieprzyjazna rozmowa miała miejsce i tylko jego powrotem została przerywana.

Ale Henryk nie podejrywał, aby mógł zgadnąć, o co rzecz chodzi; nikt tyle mu nie sprzyjał, aby mu to powiedzieć w obecności księcia.

Prócz tego Aurilly dobrze uważał i księżę zapewne dobrze plan ułożył, zatrzymując Henryka przy sobie, aż wszyscy oficerowie odejdą.

Księżę zrobił niejaki zmiany w stanowiskach.

Tak więc, kiedy był sam Henryk, osądził stosownem w sobie uczynić środek, a ponieważ był głównodowodzącym, w domu Dyanny założył główną kwaterę.

Następnie, na najważniejsze po tem stanowisku, nad rzekę posłać wachmistrza. Zostawszy dowódcą w miejscu Henryka, księżę zajął jego miejsce, a samego posłał tam, gdzie on miał posłać wachmistrza.

Henryk niczego się nie domyślał. Księżę uważał, że ten punkt najważniejszy i jemu go powierzył; było to tak naturalnem, że nikt, a tem bardziej Henryk, nie zdołał odkryć prawdziwego zamiaru.

Sądził tylko swoim obowiązkiem wydać zlecenie wachmistrzowi i zbliżył się do niego. Było to naturalnem, że jemu chciał polecić dwie osoby, nad którymi czuwał, a które, chociaż na czas niejaki, musiał opuścić.

Lecz pierwszym wyrazom, jakie Henryk chciał do wachmistrza przemówić, książę przeszkodził.

— Tajemnice!—rzecze z uśmiechem.

Żandarm pojął, chociaż nierychło, nieroztropność, jaką popełnił. Żałował tego i chciał przyjść na pomoc hrabiemu.

— Nie, mości książę—odpowie—pan hrabia pyta mnie tylko wiele mamy suchego prochu; zdatnego do użycia.

Ta odpowiedź dwa miała cele, jeżeli nie dwa następstwa: pierwszy, aby odwrócić podejrzenia księcia, jeśli miał jakie, drugi aby dać poznać hrabiemu że w nim ma przychylnego, na którego liczyć może.

— To co innego—odparł książę, zmuszony wierzyć i nie chcąc zdradzić swej roli.

Wachmistrz, kiedy widział, że książę się oddala, rzekł cicho:

— Jego wysokość wie, że panu ktoś towarzyszy...

Du Bouchage zadrżał, ale to było za późno. Wzdrygnięcie to nie uszło uwagi księcia, który chcąc się przekonać, czy jego rozkazy wszędzie są wykonane, żądał, aby go hrabia na swoje stanowisko prowadził, czego odmówić było niepodobna.

Henryk chciał uprzedzić Remego, aby się miał na ostrożności i na wszelki wypadek przygotować odpo-

wieść, lecz nie było już środka, jak tylko pożegnać wachmistrza temi wyrazy:

— Pomiętaj o prochu; pamiętaj, jakbym ja sam nad nim czuwał.

— Dobrze, panie hrabio — odpowiedział wachmistrz.

W drodze ksiązę zapytał hrabiego:

— Hrabio, gdzie jest ten proch, któryś polecał wachmistrzowi?

— W domu, w którym założyłem główną kwartę.

— Bądź spokojny, wiem jak to jest ważny przedmiot w położeniu, w jakim się znajdujemy; nie wachmistrz, ale ja sam będę nad nim czuwał.

Na tem się skończyła rozmowa. Przybyli, nie mówiąc więcej, nad zbieg rzeczki z rzeką: ksiązę zalecił hrabiemu, aby nie opuszczał stanowiska i—odjechał.

Znalazł Aurillego w tej samej sali, co jedli, odzianego w płaszcz i śpiącego na ławie.

Ksiązę uderzył go po ramieniu i obudził. Aurilly przetarł oczy i spojrzał na księcia.

— Czy słyszałeś?—zapytał go.

— Tak, mości ksiązę—odpowiedział.

— Czy wiesz, o czem chcę mówić?

— Ah! dla Boga, o nieznamomej damie, o krewnej pana du Bouchage.

— Jak widzę wino z Louvain i piwo Bruxelskie—nie odebrały ci pamięci.

— Rozkaż tylko mości książe, a przekonasz się, że nigdy nie byłem przytomniejszy jak w tej chwili.

— Zaraz przekonamy się o tem; przywołaj twoje wyobraźnię na pomoc i zgadnij.

— A więc zgaduję, że wasza książęca mość jesteś ciekawy.

— To zależy od temperamentu; idzie o to, co podnieca moją ciekawość w tej chwili.

— Chcesz wiedzieć mości książe, co to są za waleczne istoty które idą za panem Joyeuse przez ogień i wodę.

— Per mille periculla Martis! jak mówiła moja siostra Margot. A propos, czyś do niej pisał Aurilly?

— Do kogo, mości książe?

— Do mojej siostry Margot.

— Czy miałem pisać do Jej Królewskiej mości?..

— Nie inaczej.

— O czym?

— O tem, żeśmy zwyciężeni, zgubieni i że powinna mieć się na ostrożności.

— Dla czego mości książe?

— Dla tego, że Hiszpanja uwolniona odemnie z północy, spadnie jej na kark od południa.

— Ah! prawda.

— Więc nie pisałeś?

— Szkoda mości książe.

— Widać spałeś?

— Prawda, spałem; ale choćbym chciał był pisać, nie miałem czem i na czem. Tutaj niema ani piór, ani papieru.

— Postaraj się o to. Quacre et invenies, powiada pismo.

— Co u licha! wasza książęca mość chce, abym to wszystko znalazł w chacie wieśniaczej, w której można iść sto przeciw jednemu, że nikt pisać nie umie.

— Szukaj, staraj się, a może...

— Może co?..

— Może co innego znajdziesz.

— Ah! jakżem głupi!—zawołał Aurilly, uderzając się w czoło—na honor, Wasza Książęca mość ma słuszność, głowa mi się zawraca. Ale to wszystko pochodzi ztąd, że jestem niewyspany.

— Wierzę ci, ale odpędź na chwilę od siebie tę chęć snu; albo jeżeli ty pisać nie chcesz, to ja sam napiszę; postaraj mi się tylko o materyały piśmienne. Idź Aurilly i nie powracaj z próżnemi rękami. Idź, ja tu zostaję.

— Idę, mości książę.

— A jeżeli szukając... czekaj... jeżeli szukając, znajdziesz co malowniczego w domu... wiesz, jak lubię wnętrza flamandzkie.

— Dobrze mości książę.

— Więc zawołasz mnie!

— Natychmiast, bądź wasza wysokość o to spokojny. Aurilly powstał i lekki jak ptaszek, skierował się ku sąsiedniemu pokojowi, gdzie były wschody.

Aurilly, powtarzamy był lekki jak ptaszek; zaledwie więc słychać było stąpanie jego po pierwszych wschodach; żaden szelest nie objawił jego skradania się?..

W pięć minut powrócił do swojego pana, który, jak powiedzieliśmy, usadowił się w wielkiej izbie.

— A co?—zapyta księżę.

— Mości Księżę — odpowie Aurilly — dom zdaje mi się cudownie malowniczym.

— Dla czego?

— Bo nie można doń wchodzić, jak się podoba.

— Co mówisz?

— Powiadam, że jakiś dragon go strzeże.

— Co za głupie żarty, mój kochany.

— To nie żarty, ale rzeczywista prawda, skoro jest w pokoju na pierwszym piętrze, za drzwiami, przez które widać światło.

— Cóż dalej?

— Wasza Wysokość zapewne chce wiedzieć, co pierwszej.

— Aurilly!

— Przed drzwiami na progu leży człowiek, szarym płaszczem odziany.

— Ho! ho! ho! jak widzę, du Bouchage pozwolił sobie postawić żandarma przed drzwiami swojej kochanki.

— To wcale nie żandarm, Mości Księżę, to lokaj tej pani, albo samego hrabiego.

— Jaki to rodzaj lokaja?

— Niepodobna widzieć jego postaci, ale co postrzegać dokładnie się daje, to nóż flamandzki za pasem, na którym silną opiera rękę.

— To apetyczne...—rzecze księżę—Aurilly, obudź mi tego hultaja.

— Boję się, Mości Książę.

— A to czego?

— Nie licząc, że może dostać mi się po skórze, nie chciałbym sobie z panów Joyeuse śmiertelnych zrobić nieprzyjaciół, którzy bardzo dobrze są widziani na dworze. Gdybyśmy to byli panami Holandyi, to jeszcze mniejbym dbał o to; ale w położeniu naszym grzecznymi być wypada, osobliwie dla tych, którzy nas ocalili. Ostrożnie Mości Książę, żeby nam tego nie przypomnieli.

— Masz słuszność Aurilly—rzecze Książę, tupiąc nogą, masz słuszność, a przecież...

— Rozumiem... przecież Wasza Książęca Mość od piętnastu dni nie widziałeś twarzy kobiecej; albowiem nie można uważać za ludzi ten rodzaj istot dwunożnych, zamieszkujących równiny; są to tylko samce i samice.

— Chcę widzieć kochankę pana du Bouchage; Aurilly, chcę widzieć, rozumiesz?

— Rozumiem Mości Książę.

— A więc, odpowiedz.

— A więc, odpowiadam, że ją może zobaczysz, ale nie przez drzwi.

— Mniejsza o to—odpowiedział Książę—jeżeli nie mogę widzieć przez drzwi, to zobaczę przez okno.

— Ah! wybornie! jedna myśl mi przychodzi, a myśl wyborna, pójdę, poszukam drabiny.

Aurilly wszedł na dziedziniec domu i wszedł pod wystawę, gdzie żandarmi pomieścili konie.

Tam znalazł to, co prawie zawsze pod wystawą gospodarską znaleźć można—drabinę.

Tyle dokazywał, że ją wywłókł wśród ludzi i z pośrodku koni, nie budząc uwagi pierwszych i unikając kopyt drugich; wywłókszy, przystawił ją do muru zewnętrznego od ulicy.

Potrzeba było być możliwym i zuchwale pogardzać zwyczajami świata i przyzwoitości, aby wśród dnia i w obec stojącego na warcie żołnierza, poważnie się spełnić czyn ubliżający kobiecie i człowiekowi, który ją swoją osłaniał opieką.

Aurilly zwrócił uwagę księcia na wartę, która nie wiedząc kto taki poważa się napaść, o mało nie zawołał: „*Qui vive?*“

Franciszek ruszył ramionami i poszedł prosto do żołnierza.

Aurilly mu towarzyszył.

— Mój przyjacielu—rzecze—to miejsce jest punktem, najbardziej wzniesionym, nieprawdaż?

— Tak, Mości Książę—odpowiedział żołnierz na straży, który poznając księcia, czynił mu wojskowe honory—i gdyby nie lipy, które zasłaniają widok, ztąd możnaby widzieć daleko.

— Tak myślałem. i dla tego kazałem przynieść drabinę, aby ją do muru przystawić. Wejź więc Aurilly, albo mnie wejść pozwól; Książę wszystko własnemi oczyma widzieć powinien.

— Gdzież mam postawić drabinę?—zapytał obłudny lokaj.

— W pierwszym lepszym miejscu przy murze, tu na przykład:

Po przystawieniu drabiny, Książę wszedł na nią.

Czy domyślając się zamiaru Księcia, czy przez wrodzoną grzeczność, służalec odwrócił głowę w przeciwną stronę.

Książę doszedł do szczytu, Aurilly stał na dole.

Pokój, w którym Henryk umieścił Dyannę, był wybity rogózkami i miał w sobie łóżko dębowe za frankami, stół i kilka krzeseł.

Młoda kobieta, której sercu nieco ulżyło, gdy dowiedziała się o śmierci księcia, zażądała od Remego nieco pożywienia, które ten z nieopisaną dostarczył radością.

Wtedy po raz pierwszy od chwili, gdy się dowiedziała o śmierci swojego ojca, użyła posilniejszych aniżeli cbleb pokarmów, pierwszy raz wypła kilka kropel wina reńskiego, które żandarmi znaleźli w piwnicach i przynieśli panu du Bouchage.

Po tym skromnym posiłku krew Dyanny, wzburzona gwałtownymi wzruszeniami i niesłychanym utrudzeniem, gwałtownie napłynęła do serca, do którego zdawało się, że dróg zapomniała. Remy widział jak jej oczy mgłą zachodzą i głowa skłania się na ramiona.

Wszedł po cichu i jakśmwy widzieli, położył się na progu drzwi, nie żeby miał jakie podejrzenie, lecz że tak od wyjazdu z Paryża zwykł czynić.

Wśród takich usposobień, które zapowiadały spokojność nocy, Aurilly zastał Remego przed drzwiami.

Dyanna spała przy stole, oparta na łokciu.

Ciało jej szczupłe i delikatne przechyliło się na poręcz krzesła; mała lampka żelazna, stojąca na stole, przy talerzu prawie pełnym, oświetlała wnętrze izby, która na pierwszy rzut oka zdawała się spokojną, a nad którą jednak wznosiła się burza, która miała wkrótce zahuczyć.

W kryształach błyszczało wino reńskie, zaledwie dotknięte ustami Dyanny; wielka szklanka, mająca formę kieliszka, stała pomiędzy lampą i Dyanną, łagodząc światło i rzucając cień na lice śpiącej.

Dyanna, mając zamknięte oczy, osłonięte powiekami, mającemi z żył niebieskie cienie, z ustami w pół rozwartemi, z włosami spadającemi w tył na grube męzkie ubranie, zdawała się cudownem zjawiskiem dla oczów, które gotują się przeniknąć jego tajemnice.

Książę, postrzegając ją, nie mógł się wstrzymać od podziwiania; oparł się w oknie i rozbierał szczegóły tej idealnej piękności.

Lecz nagle, wśród tego cichego rozważania, zamknął oczy i po dwa szczeble, spiesźnie począł zstępować z drabiny.

W tem położeniu nie będąc więcej narażonym na blask pochodzący z okna, przed którym zdawało się, że uciekał, oparł się o mur, złożył ręce na piersi i marzył...

Aurilly, który nie spuszczał go z oczów, patrzył jak człowiek, który wywołuje dawne i ubiegłe wspomnienia.

Po dziesięciu minutach marzenia książę znowu wszedł na drabinę i znowu w okno zatopił swoje spoj-

zenia; nie widać jednak nie odkrył, bo zeszedł znowu z chmurą na czole, i tą samą niespokojnością w oczach.

I znowu wszedł.

Patrzył, gdy Aurilly spiesznie zbliżył się do drabiny.

— Schodź, Mości Książę—rzecze—słyszę tentent na końcu ulicy.

Pomimo tego ostrzeżenia, książę schodził powoli, nie tracąc ze swojego zamyślenia.

— Prędeż—rzecze Aurilly.

— Z której strony słyhać tentent? — zapytał książę.

— Z tej — odpowie Aurilly i wyciągnął rękę w kierunku ciemnej ulicy.

Książę słuchał.

— Ja nic nie słyszę—rzecze.

— Jadący zatrzymał się, widać szpieguje nas.

— Odejmij drabinę—rzecze książę.

Aurilly wypełnił rozkaz, a książę usiadł na jednej z ławek, stojących przy wchodzie do domu.

Tentent nie powtórzył się i nikogo nie było widać...

Aurilly powrócił.

— A co, Mości Książę—rzecze—czy piękna?

— Bardzo—odpowiedział Książę ponuro.

— Dla czegoś taki smutny. Mości książę, wszak ją widziałeś?

-- Śpi.

— I cóż cię tak troszczy?

Książę nic nie odpowiedział.

— Czy brunetka, albo blondynka?

— To dziwna, Aurilly—mówił książę—ja tę kobietę gdzieś widziałem.

— Więc ją Książę poznałeś?

— Nie, bo nie mogę żadnego dać imienia, tylko widok jej mocno mię w serce ugodził.

Aurilly zadziwiony spojrział na księcia; później z uśmiechem, którego nie ukrywał, dodał:

— A widzisz Mości książę...

— Nie śmiej się, proszę — sucho odparł Franciszek—czy nie widzisz, że cierpię?

— Czy podobna!—zawołał Aurilly.

— Nie inaczej, sam niewiem co się ze mną dzieje; jednak mi się zdaje, że źle uczynilem, zagładając.

— Pomimo tego, dla samego wrażenia, jakie na W. Książęcej Mości uczyniła, potrzeba dowiedzieć się, kto jest ta kobieta.

— Zapewne—odpowiedział Franciszek.

— Poszukaj Książę w pamięci; może ją na dworze widziałeś?

— Nie, nie sędzę.

— We Francyi, w Flandryi, Nawarze?

— Nie.

— To może Hiszpanka.

— Nie sędzę.

— Angielka? jaka dama królowej Elżbiety.

— Bynajmniej, ona jest więcej do mnie zbliżoną; sędzę, że ją widziałem w jakimś okropnem zdarzeniu.

— Zatem łatwo ją Książę możesz poznać, albowiem, Bogu dzięki, życie Waszej Książęcej Mości nie

wiele miało podobnych okoliczności, o jakiej mówisz obecnie.

— Czy tak?—rzecze Franciszek z smutnym uśmiechem.

Aurilly skłonił się.

— Widzisz—rzecze Księżę—teraz mam dosyć siły, abym rozebrał doznane wrażenie, ta kobieta jest piękną i piękną, ale ma coś śmiertelnego, piękną jak cień, piękną jak te postacie, które we śnie widzimy: dla tego, zda mi się, że ją we śnie widziałem, a miałem dwa, czy trzy razy w życiu okropne sny, które mnie dreszczem przejmowały. Oh! tak, jestem pewny, że we śnie widziałem tę kobietę.

— Mości Księżę!—zawołał Aurilly—pozwól sobie powiedzieć, że rzadko dałeś się słyszeć co do marszynych; serce Waszej Księżęcej Mości mocno jest zahartowane, a umarli mniej dokuczają jak żywi. — Za pozwoleniem, gdybym wiedział, że nikt nie patrzy, przystawiłbym jeszcze drabinę i przekonał się o śnie, dreszczu i widziadle Waszej Księżęcej Mości.

— Na honor, masz słuszość, Aurilly; idź po drabinę, przystaw ją i wejdź, co cię obchodzi że kto patrzy? patrzaj Aurilly, patrzaj.

Aurilly zrobił kilka kroków, aby wykonać rozkazy pana, gdy nagle rozległ się głos.

— Alarm! Mości Księżę, alarm!

Aurilly spiesznie połączył się z księciem.

— Ty tutaj panie hrabio? — rzecze księżę. — Jak poważyleś się opuścić twoje stanowisko?

— Mości Książę—odparł Henryk ze stałością. — Jeżeli Wasza Książęca Mość uznasz mnie godnym kari, ukarz. Tymczasem, obowiązkiem moim było powracać i przybyłem.

Książę ze znaczącym uśmiechem spojrzął na okno.

— Obowiązek, hrabio? wytłomacz mi to — rzecz...

— Mości Książę, kawalerya ukazała się od strony Escaut; nie wiadomo, czy przyjacielska lub nie.

— Czy liczna? — zapytał książę z niespokojnością...

— Bardzo liczna, Mości Książę.

— Dobrze uczyniłeś, hrabio, powracając, każ obudzić żandarmów. Zwiniemy obóz, to najroztropniej, pójdziemy brzegiem rzeki.

— Zapewne, Mości Książę, ale sądzę, że nagle i konieczna potrzeba uwiadomić o tem mojego brata.

— Na to dosyć dwóch ludzi.

— Kiedy dwóch dosyć, to ja udam się z jednym żandarmem.

— Oh! nie—odparł żywo Franciszek—ty pójdiesz ze mną. Co u licha!.. w podobnych zdarzeniach, nie mogę się pozbawiać najlepszego obrońcy.

— Czy wasza Książęca Mość poprowadzi cały oddział?

— Cały.

— Czy wolno zapytać, jak prędko Wasza Książęca Mość wyruszy?

— Natychmiast.

— Hola! jest tam kto!—zawołał Henryk.

Wachmistrz wyszedł z uliczki, udając, jakby nie słyszał wołania.

Henryk wydał mu rozkazy i prawie natychmiast widziano żandarmów, ściągających się na plac z różnych części wsi i robiących przygotowania do pochodu.

W pośrodku nich ksiązę rozmawiał z oficerami.

— Panowie—rzecze—jak zdaje się, ksiązę Oranii chce mnie ścigać; lecz nie przystoi aby ksiązę domu królewskiego dał się wzięść do niewoli pod pozorem bitwy jak pod Poitiers, lub Pawią. Ustąpmy przemocy, cofajmy się do Bruxelli. Będę pewny mojego życia i wolności, gdy będę pomiędzy wami.

Następnie, odwróciwszy się do Aurillego.

— Ty tutaj pozostaniesz—rzecze.—Ta kobieta nie może iść z nami, prócz tego znam panów Joyeuse i wiem, że żaden z nich nie pozwoli, aby prowadzono jego kochankę przy mnie. W ostatku nie idziemy na bal i nasz pochód mógłby utrudzić kobietę.

— Gdzie się Wasza Książęca Mość udaje?

— Do Francyi, bo sądzę, że tam moje interesa źle idą.

— Ale w którą część Francyi? Czy Wasza Książęca Mość sądzi stosownem na dwór powracać?

— Bynajmniej; według wszelkiego do prawdy podobieństwa, zatrzymam się w jednym z moich majątków, w Château-Thierry naprzykład.

— Czy Wasza Książęca Mość to postanowiłeś?

— Tak, Château-Thierry pod każdym względem jest mi najdogodniejszym, jako w umiarkowanej od

Paryża, bo dwudziestu mil odległości; ztamtąd będę mógł uważać na panów Gwizyuszów, którzy połowę roku bawią w Soissons. Do Château-Thierry więc zaprowadzisz piękną nieznajomą.

— Lecz ona może prowadzić się nie pozwoli?

— Dziecinny! Ponieważ du Bouchage towarzyszy mi... ona za nim idzie, samo z siebie wypada.

— Ale ona może zechce udać się gdzieindziej, skoro domyśli się, że ją prowadzę do Waszej Księżęcej Mości.

— Ale nie do mnie, powtarzam ci, tylko do hrabiego. Dalej do dzieła. Mógłby kto powiedzieć, że pierwszy raz używam cię w podobnej okoliczności. Czy masz pieniądze?

— Mam dwa rulony złota, które mi Wasza Księżęca Mość dałeś, wyjeżdżając z P.

— Udaj się więc naprzód i wszelkimi środkami, rozumiesz, przyprowadź mi piękną nieznajomą do zamku Thierry; może poznam ją, patrząc na nią zbliska.

— Czy i jej lokaja mam przyprowadzić?

— Jeżeli ci nie będzie na zawadzie.

— A jeżeli będzie zawadzał.

— Uczyn z nim to, co czynisz z kamieniem, który ci zawadza na drodze, wrzuc go w dół.

— Dobrze, Mości Księżę.

Kiedy dwóch złośliwych ludzi układało plany w cieniu nocy, Henryk wszedł na pierwsze piętro i obudził Remego.

Remy umówionym znakiem, zapukał do drzwi natychmiast otworzyła je młoda kobieta.

Za Remy postrzegła Bouchage'a.

— Dobry wieczór—odezwała się pierwsza, z uśmiechem niezgodnym z jej twarzą.

— Ah! przebacz mi pani—spiesznie odpowiedział hrabia — nie przychodzę być ci natrętnym, ale tylko pożegnać.

— Pożegnać? zatem odjeżdżasz, panie hrabio?

— Do Francyi, pani.

— I nas zostawiasz?

— Muszę; pierwszym moim obowiązkiem jest wykonywać rozkazy księcia.

— Księcia; księżę jest tutaj?—zapytał Remy.

— Jakiego księcia?—dodała blednąc Dyanna.

— Księcia Andegaweńskiego, o którym mówiono, że zginął, a który cudownie ocalał i z nami się połączył.

Dyanna wydała krzyk straszny, a Remy pobladł, jakby go nagle śmierć miała schwycić.

— Powtórz mi pan — jękała Dyanna — że księżę żyje i jest tutaj.

— Gdyby go tutaj nie było i gdyby mi nie rozkazywał, towarzyszyłbym ci pani aż do klasztoru, do którego oświadczyłaś chęć udania się.

— Tak, tak, pani, klasztor, klasztor — mówił Remy.

I położył palec na ustach.

Kiwnięcie głową Dyanny dało poznać, że ten znak zrozumiała.

— Tem chętniej towarzyszyłbym pani — mówił Henryk—że możesz być niepokojoną od ludzi Księcia.

— Jakto?

— Tak; wszystko każe mi wierzyć, że wie, iż jakaś kobieta mieszka w tym domu i sądzi, że jest moją przyjaciółką.

— I zkąd ta myśl?

— Nasz wachmistrz widział go przystawiającego drabinę do muru i patrzącego przez okno.

— Ah! mój Boże, mój Boże! — zawołała Dyanna.

— Bądź pani spokojną, wachmistrz słyszał, jak mówił do swojego towarzysza, że was nie zna.

— Mniejsza o to — rzekła młoda kobieta, spoglądając na Remego.

— Nie trwóż się pani — mówił Henryk — książe natychmiast wyjeżdża; kwadrans czasu, a będziesz sama i wolną, pozwól mi więc pożegnać cię z uszanowaniem i powiedzieć raz jeszcze, że aż do ostatniego tchnienia, serce moje dla ciebie będzie biło. Żegnaj cię, pani.

I ukłoniwszy się z uszanowaniem, dwa kroki naprzód postąpił.

— Nie, nie—zawoła Dyanna z gorączkowym obłąkaniem—nie, Bóg na to nie pozwoli. Bóg zabił tego człowieka i nie wskrzesi go, mylisz się pan, on nie żyje!

W tej samej chwili, jakby odpowiedź na wezwanie litości nieba, głos księcia rozległ się na ulicy.

— Czy słyszysz go pani? — rzecze Henryk — żegnaj cię raz ostatni.

I uściskawszy rękę Rememu, wybiegł na wschody. Dyanna zbliżyła się do okna drżąc jak ptaszek, który zobaczył węża. Ujrzała twarz księcia oświetloną pochodniami, które trzymali żandarmi.

— Żyje ten szatan, żyje!—zawołała Dyanna z tak straszonym^k wyrazem, że sam Remy przeląkł się — on żyje i my żyjemy, on udaje się do Francyi i my tam dążmy.)

XI.

U w i e d z e n i e.

Przygotowania do wyjścia żandarmów zrzuciły w całej wsi zamieszanie; po ich wyjściu, nastąpiła głęboka cisza.

Remy zgiełkowi gasnąć dozwolił i zginąć zupełnie; kiedy sądził, że dziedziniec domu zupełnie jest pustym, zeszedł na dół, aby się zająć wyjazdem swojej pani.

Ale wychodząc z izby ździwił się, gdy zobaczył człowieka, siedzącego przy świetle, z twarzą ku niemu zwróconą.

Człowiek ten czatował na wyjście Remego, a chociaż spostrzegł go, zupełną udął obojętność.

Remy zbliżył się według zwyczaju krokiem wolnym i niepewnym, odkrywając czoło łyse, podobne do czoła starców, obciążonych latami.

Ten, do którego się zbliżał, miał za sobą światło, tak, że Remy rysów jego twarzy nie mógł rozpoznać.

— Przebacz pan — rzecze — sądziłem, że sam tu jestem.

— I ja także—odrzekł wyzwany—lecz z przyjemnością widzę, że będę miał towarzyszy.

— Tak, smutnych towarzyszy — mówił Remy — bo wyjąwszy chorego, którego prowadzę do Francji...

— Ah! — westchnął Aurilly, udając dobroduszną litość—rozumiem co pan chcesz powiedzieć.

— Czy tak?—zapytał Remy.

— Tak; chcesz pan mówić o młodej kobiecie.

— O jakiej kobiecie?—odparł Remy.

— Nie gniewaj się mój przyjacielu—mówił Aurilly—jestem intendentem de Joyeuse i przybyłem z rozkazu mojego pana do jego brata; hrabia wyjeżdżając, polecił mi młodą damę i jej starego służącego, którzy mają powracać do Francji.

Ten człowiek mówił, zbliżając się do Remego z twarzą usmiechającą się i przychylną. Stał przed nim, w środku promienia lampy tak, że cała jasność nań padała.

Remy wtedy mógł go zobaczyć.

Lecz zamiast postępować ku niemu, Remy cofał się w tył i jakby trwoga malowała się na jego twarzy.

— Nie odpowiadasz, przyjacielu, rzekłby kto, że mnie się boisz?—zapyta Aurilly z uśmiechniętą twarzą.

— Panie—odrzekł Remy, udając głos roztropny—przebacz biednemu starcowi, którego nieszczęścia i rany uczyniły nieufnym i trwożliwym.

— Tem bardziej, mój przyjacielu, potrzebujesz pomocy i wsparcia uczciwego towarzysza; prócz tego przybywam od pana, który w tobie ufność budzić powinien.

— Zapewne, panie.

I jeszcze w tył się cofnął.

— Opuszczasz mię.

— Idę poradzić się mojej pani; sam nic działać nie mogę.

— Bardzo słusznie; albo pozwól żebym się sam jej przedstawił i wyjaśnił moje posłannictwo we wszystkich szczegółach.

— Dziękuję panu; ona pewne śpi jeszcze, a jej sen dla mnie jest święty.

— Jak ci się podoba; prócz tego, nie mam nic więcej do powiedzenia jak to, co mi mój pan polecił.

— Mnie?

— Tobie i twojej pani.

— Pan du Bouchage?

— On sam.

— Dziękuję.

Kiedy drzwi zamknął za sobą, wszelkie oznaki starości, wyjąwszy łysiny i zmarszczków na twarzy, znikły natychmiast i wszedł na wschody z takim pośpiechem i siłą, jakby miał dwadzieścia kilka lat, on, co wyglądał na sześćdziesiąt.

— Pani! pani!—zawołał Remy głosem pomieszonym, skoro postrzegł Dyanę.

— A co tam Remy? czy księżę jeszcze nie odjechał?

— Odjechał pani, ale jest tutaj szatan sto razy gorszy, którego stokroć więcej jak jego obawiać się należy; szatan, na którego od sześciu lat codziennie zem-

sty nieba przyzywam, jak pani przyzywasz na jego pana.

— Może Aurilly?—zapytała Dyanna.

— On sam, nikczemnik, jest tu na dole, zapomniany jak wąż z gniazda przez swojego piekielnego współnika.

— Zapomniany! mówisz Remy, oh! jesteś w błędzie; ty, co znasz księcia, wiesz, że on na traf nie zostawia starania źle czynienia; oh! nie, nie, Remy. Aurilly nie jest zapomniany tutaj, ale zostawiony w pewnych zamiarach.

— Pani, do wszystkiego sędzę go zdolnym.

— Czy on mnie zna?

— Nie sędzę.

— A ciebie poznał?

— Oh! mnie pani poznać nie łatwo—odrzekł ze smutnym uśmiechem.

— Może odgaduje, kto jestem?

— Nie, bo żądał, aby cię mógł widzieć.

— Ja tobie mówię, Remy, że jeżeli mnie nie poznał, to domyśla się.

— W takim razie najprostsza rzecz — rzecze Remy ponuro—i dzięki Bogu, że nam tak prostą wskazał drogę, wieś pusta, nikczemnik sam... widziałem u niego sztylet u pasa; a ja mam nóż...

— Chwilę cierpliwości Remy—mówiła Dyanna—nie ochraniam ja życia nikczemnika, ale nim go uderzysz, potrzeba wiedzieć, czego żąda i w jakim położeniu jesteśmy; czasem innych środków można użyć. Jakże ci się przedstawił, Remy?

- Jako intendent pana du Bouchage.
- Kłamie więc, a ma interes kłamania. Dowiedzmy się, czego żąda?
- Towarzyszyć pani.
- W jakim charakterze?
- Intendenta hrabiego.
- Powiedz mu, że dobrze.
- Oh! pani.
- Dodaj, że wyjeżdżam do Anglii, gdzie mam krewnych i że się waham; kłam jak on, aby pokonać niegodziwca; walczmy jednakową bronią.
- Ale on panią zobaczy.
- A moja maska!.. prócz tego, ja myślę, że on mnie zna...
- Kiedy zna panią, zastawi sidła.
- Najlepiej się ich ustrzeże, udając, że się wpada.
- Jednakże?..
- Czego się lękasz?.. czy znasz co gorszego nad śmierć?
- Nie znam.
- A więc czy nie jesteś przygotowany umrzeć dla spełnienia naszych życzeń.
- Ale nie umrzeć bez zemsty.
- Remy, Remy— rzecze Dyanna ze spojrzaniem gorejącem dziką odwagą—pomścimy się, bądź spokojny i nad panem i nad sługą.
- Boże daj, pani.
- Idź idź, mój przyjacielu.
- Remy zeszedł ze wschodów, lecz wahając się jeszcze. Waleczny młodzieniec uczuwał na widok Au-

rilego owego nerwowego dreszczu, jaki się uczuwa na widok gadu: chciał go zabić, bo go się lękał.

Jednakże, wolno zstępując, nabierał odwagi i czynił postanowienia, badać Aurillego, zmięszać go, i jeżeliby znalazł w nim zamiary, zakłócić na miejscu.

Remy tak pojmował dyplomacyą.

Aurilly czekał go niecierpliwie, otworzył okno, aby za jednym rzutem oka, widzieć wszystkie wyjścia...

Remy przyszedł do niego uzbrojony niewzruszonym postanowieniem; mowa więc jego była łagodna i spokojna.

— Panie—rzecze do niego — moja pani nie może przyjąć tego, co jej przedstawiasz.

— A to dla czego?

— Ponieważ nie jesteś intendentem pana du Bouchage.

Aurilly zbladł.

— A kto ci o tem powiedział?—zapyta.

— To rzecz bardzo prosta. Pan du Bouchage opuścił mnie polecając osobę, której towarzyszę, a opuszczając nic mi o panu nie mówił.

— Bo cię później przyjacielu nie widział.

— Kłamstwo, panie, kłamstwo.

Aurilly wyprostował się; powierzchowność Remygo przedstawiała mu starca.

— Szczególniejszym przemawiasz tonem, mój poczciwczu—rzecze Aurilly brwi marszcząc.—Ostrożnie, bo jesteś stary, a ja młody, ty słaby, a ja silny.

Remy uśmiechnął się, ale nic nie odpowiedział.

— Gdybym chciał tobie, lub twojej pani krzywdę wyrządzić, dosyćby było rękę podnieść.

— Ha! może się mylę i pan nie myślisz nic złego—rzecze Remy po chwili namysłu.

— Zapewne.

— A więc, powiedz pan, czego żądasz?

— Mój przyjacielu — rzecze Aurilly — chcę cię uszczęśliwić, jeżeli mi dobrze posłuszysz.

— A jeżeli nie posłużę?

— W takim razie, ponieważ pytasz szczerze, szczerze ci odpowiem: w takim razie zabiję cię.

— Zabijesz mnie! ha! ha! — odrzekł z ponurym uśmiechem.

— Tak, mam do tego władzę zupełną.

Remy odetchnął.

— Ale żebym panu mógł usłużyć, powinienem znać pańskie zamiary.

— Oto są, zgadłeś, mój poczciwce, ja nie należę do hrabiego du Bouchage.

— A do kogo?

— Do pewnego wielkiego pana.

— Zważaj pan, że już raz skłamałeś.

— A to dlaczego?

— Bo mało większych domów nad panów Joyeuse.

— Ale większy jest dom książąt francuzkich.

— Ha!

— I tak ten dom płaci—dodał Aurilly, podając rulon złota Rememu.

Remy podskoczył za dotknięciem ręki i cofnął się.

— Pan należysz do króla?—zapyta z naiwnością, którądy najpodstępniejszy mógł się poszczycić.

— Nie, ale do jego brata, księcia Andegaweńskiego.

— A więc jestem najniższym sługą Jego Księżęcej Mości.

— Wybornie.

— Cóż dalej?

— Jaktó cóż dalej?

— Czego żąda Jego Księżęca Mość?

— Mój kochanku — rzecze Aurilly, zbliżając się do Remego, i powtórnie chcąc mu w rękę wcisnąć rublon złota—Jego Księżęca Mość kocha się w twojej pani.

— A więc ją zna?

— Widział ją.

— Widział ją!—zawołał Remy, dotykając swojego noża—i kiedy ją widział?

— Dziś wieczorem.

— Niepodobna, moja pani nie wychodziła z pokoju.

— Zupełna prawda—ale książe postępował jak student, co jest dowodem, że prawdziwie zakochany.

— Jakże więc postąpił? powiedz pan.

— Przystawił drabinę do okna.

— Ach!—zawołał Remy, wstrzymując swoje oburzenie—otóż jak postąpił.

— Zdaje się, że jest bardzo piękną—dodał Aurilly.

— Czy jej pan nie widziałeś?

— Nie, ale z tego co książe mówił wnoszę, że jest bardzo piękną i dla tego pragnę ją widzieć. A więc kochanku, zgoda, do nas należysz.

I po raz trzeci chciał wcisnąć Rememu rulon złota.

— Zapewne, że do panów należę—odrzekł Remy, odsuwając rękę Aurillego—ale jeszcze chcę wiedzieć, jaka będzie moja rola w wypadkach, jakie pan przygotowujesz.

— Odpowiedz najprzód na moje pytania. Czy ta pani jest kochanką pana du Bouchage, czy jego brata.

Krew wystąpiła na twarz Remego.

— Ani jednego, ani drugiego—rzecze z przymusem—ta pani nie ma kochanka.

— Nie ma kochanka!... Ah! to królewski przysmaczek. Kobieta nie mająca kochanka!... na honor, znaleźliśmy kamień filozoficzny.

— A więc—zaczął Remy—Jego Książęca Mość jest zakochany w mojej pani.

— Nieinaczej.

— I czegoż żąda?

— Chce ją mieć w zamku Thierry, gdzie pospieszonym udaje się pochodem.

— Na honor, to zanadto nagle obudzona namiętność.

— To zwyczajne u Jego Książęcej Mości.

— Jedną tylko w tem widzę niedogodność—rzekł Remy.

— Jaką?

— Że moja pani chce się udać do Anglii.

— Właśnie w tem możesz mi być użytecznym.

Skłoń ją.

— Do czego?

— Aby w przeciwną udała się drogę.

— Pan nie znasz mojej pani, to jest kobieta nadzwyczajnie uparta, i nie łatwo ją skłonić, gdy chcejechać do Anglii, aby się udawała do Francyi. Prócz tego, czy pan myślisz, że ulegnie żądom księcia?

— A dla czego nie?

— Ona nie cierpi księcia Andegaweńskiego.

— Ba! księżąt zawsze kochają.

— Lecz kiedy Jego Książęca Mość sądzi, że moja pani jest kochanką pana du Bouchage, lub pana de Joyeuse, jak może wydzierać ją temu, który ją kocha?

— Poczciwcze, strasznie ograniczone masz pojęcia i trudno nam będzie, jak widzę, porozumieć się; dla tego nie myślę wcale z tobą rozprawiać; przekładałem, to prawda, łagodność nad gwałt, a teraz, ponieważ zmuszasz mnie, zmieniam postępowanie.

— I co pan uczynisz?

— Powiedziałem ci, że mam zupełną władzę. Ubiję cię gdziekolwiek i uniosę twoją panią.

— I sądzisz pan, że ci to ujdzie bezkarnie?

— Wierzę w to wszystko, co mój pan każe. A co, czy skłonisz twoją panią, aby się udała do Francyi?

— Będę się starał, ale zareczyć nie mogę.

— A kiedy będę miał odpowiedź?

— Jak tylko pójdę do niej i poradzę się.

— Dobrze, idź, czekam cię.

— Jestem panu posłuszny.

— Jeszcze jedno słowo poczciwcze; pamiętaj, że twoje szczęście i życie w moich rękach.

— Wiem o tem.

— To dosyć, ja tymczasem zajmę się końmi.

— Nie śpiesz się pan bardzo.

— Bahl! jestem pewny odpowiedzi; alboż to kobiety są okrutne dla książąt?

— Trafiają się niekiedy.

— Tak, ale bardzo rzadko—zakończył Aurilly.

I kiedy Remy wstępował na górę, Aurilly pewny spełnienia jego życzeń, poszedł do stajni.

— A co?—zapyta Dyanna, postrzegając Remego.

— Pani, ksiązę cię widział.

— I...

— Kocha cię.

— Ksiązę mnie widział, ksiązę mnie kocha! — zawołała Dyanna—Remy, czy masz obłąkanie?

— Mówię pani, co mi powiedziano.

— A kto ci powiedział?

— Ten niegodziwiec Aurilly.

— Lecz jeżeli mnie widział, to mnie poznał.

— Gdyby cię pani ksiązę poznał, niezawodnie Aurilly przyszedłby do ciebie mówić o miłości w imieniu księcia. Nie, ksiązę cię nie poznał.

— Masz słuszność, Remy. Tyle rzeczy przeszło przez ten piekielny umysł w przeciągu lat sześciu, że zapomniał o mnie. Idźmy Remy za tym człowiekiem.

— Ale on panią pozna.

— Dla czegoż on ma mieć lepszą pamięć od swojego pana?

— Bo jego interesem jest pamiętać, jak interesem księcia zapominać. Że ksiązę zapomina swojej rozpusty, swoich miłostek, to łatwo pojąć, ale gdyby on zapomi-

nał, jakby żyć mógł?.. Aurilly nie zapomniał i kiedy ujrzy twarz twoją, zdawać mu się będzie, że widzi twarz zemsty.

— Remy, wszak ci mówiłam, że mam maskę, a ty mówiłeś, że masz nóż.

— Prawda pani—odrzekł Remy—i wierzę, że nam Bóg dopomoże do ukarania złych.

I zawołał Aurillego ze szczytu wschodów.

— Panie, panie!

— A co?—zapyta Aurilly.

— Moja pani dziękuje panu du Bouchage, że pamiętał o jej bezpieczeństwie i z wdzięcznością przyjmuje pańską ofiarę.

— A więc uprzedź twoją panią, że konie gotowe.

— Pójdź, pani — rzecze Remy, podając jej rękę.

Aurilly czekał na dole wschodów z latarką w ręce, chciwy ujżenia twarzy nieznajomej.

— Do diabła! — rzecze — w masce, ale ztąd do zamku Thierry sznurki jedwabne odpadną.

XII.

P o d r ó ż.

Puszczono się w drogę.

Aurilly przybrał z Remym ton równości, z Dyanną zaś najgłębszego uszanowania.

Lecz Remy odgadł, że to uszanowanie było wyrachowane. W rzeczy samej podawać strzemię kobiecie, gdy wsiada lub zsiada z konia; czuwać troskliwie nad każdym jej poruszeniem i nie pominąć żadnej sposobności podniesienia rękawiczki, lub podania płaszcza, jest to grać rolę kochanka, służącego, bo ciekawca.

Dotykając rękawiczki, Aurilly patrzył na rękę; podając płaszcz zaglądał pod maskę, trzymając strzemię, sądził, że ujrzy twarz, której księżę przypomnieć sobie nie mógł, ale którą on spodziewał się poznać.

Ale muzykus wielkie znalazł trudności; Remy troskliwym był o swoje obowiązki i obum nie dał się wyprzedzać.

Sama Dyanna, nie dając poznać podejrzeń życzliwości, brała w obronę tego, którego Aurilly uważał za starego sługę i prosiła, aby Rememu pozwolił dopełniać to, co do niego należy.

Aurilly więc poprzestał na tem, że zaczął pragnąć cienia i deszczu, a w czasie popasów spoczynku.

Jednak mylił się w swoim oczekiwaniu: podczas deszczu i słońca, maska zostawała na twarzy; w czasie popasów dla nieznanomej oddzielny brano pokój.

Aurilly pojął, że chociaż sam nie poznał, może być poznany; próbował patrzeć przez dziurki od zamków; lecz nieznanoma tyłem odwracała się odedrzwi; chciał zaglądać przez okno, lecz te zawsze zasłaniano frankami, albo w braku tych, płaszczem podróżnym.

Ani pytania, ani przekupstwa nie podołały z Remy; służący mówił zawsze, że taka wola pani, zatem i jego.

— Czy te ostrożności są tylko dla mnie? — pytał Aurilly.

— Bynajmniej, dla wszystkich.

— Ale kiedy ją księżę widział, nie kryła się.

— Wypadek—odpowiedział Remy;—przytem słusznie, że kiedy ją księżę widział, niech jej nikt nie zobaczy.

Pomimo, że kilka dni upłynęło i podróż zbliżała się do kresu, dzięki przezorności Remego i jego pani, ciekawość Aurillego zaspokojoną nie była.

Już Pikardya ukazywała się oczom podróżnych.

Aurilly, który ód kilku dni wszystkie wyczerpnął środki, żarty, grzeczności, nadskakiwania, podstępny, a nawet gwałty, zaczął się niecierpliwić i złe jego natury przemagało.

Przenikał, że pod zasłoną tej kobiety, wielka kryje się tajemnica.

Pewnego dnia nieco pozostał w tyle z Remym i ponowił dawne swoje pokusy, które stanowczo odpartemi zostały.

— Nakoniec—rzecze Aurilly—dzisiaj, czy jutro muszę widzieć twoją panią.

— Zapewne, ale to będzie wtedy, gdy ona zechce, a nie pan.

— A gdybym użył siły—rzecze Aurilly.

Błyskawica trysnęła z oczów Remego.

— Spróbuj pan—rzecze.

Aurilly widział błyskawicę i pojął, ile było ognia w oczach tego, którego starcem być sądził.

Zaczął się śmiać.

— Jakieżem głupi — rzecze — co mnie ona obchodzi?.. wszak ta sama, którą księżę widział.

— Zapewne.

— I którą kazał mi przyprowadzić do zamku Thierry.

— Nie inaczej.

— A więc, to wszystko, czego mi trzeba; nie ja jestem w niej zakochany i byleście mi nie chcieli uciec...

— Alboż myślimy o tem?—zapytał Remy.

— Nie zdaje się.

— Nawet, gdybyś pan nie chciał, jechalibyśmy do Chateau-Thierry i skoro księżę pragnie nas widzieć i my go także.

— Kiedy tak — rzecze Aurilly — wszystko cudownie.

Następnie jakby chciał się przekonać o myślach Remego i jego towarzyszki, zapytał:

— Czy twoja pani nie chce tu spocząć na chwilę?—i wskazał zajazd przy drodze.

— Wiesz pan, że moja pani tylko w miastach się zatrzymuje.

— Widziałem to, ale nie uważałem—odpowiedział Aurilly.

— Tak, a nie inaczej.

— Kiedy tak, to ja chwilę się zatrzymam, a wy jedźcie dalej.

I wskazawszy drogę Rememu, sam udał się do zajazdu, którego gospodarz wyszedł na przeciw niego z wielkiem uszanowaniem, jakby go znał.

Remy dogonił Dyannę.

— Co mówił z tobą?—zapytała młoda kobieta.

— Oświadczał zwyczajne swoje żądania.

— Żeby mnie widzieć?

— Tak, pani.

Dyanna uśmiechnęła się pod maską.

— Strzeż się, pani—rzecze Remy—bo wścieka się.

— Nie bój się, nie zobaczy mnie; kiedy ja nie chcę, nic nie poradzi.

— Lecz kiedy pani będziesz w zamku Thierry, czy cię nie ujrzy z odsłoniętą twarzą?

— Co mi to szkodzi, jeżeli będzie za późno dla nich; prócz tego, książę mnie nie poznał.

— Ale sługa cię pozna.

— Uważasz, że do tego czasu ani głos, ani postawa mnie nie zdradziły.

— To rzecz mało znacząca — odpowie Remy — wszystkie tajemnice, istniejące od ośmiu dni dla Aurillego, nie istniały dla księcia, nie obudziły jego ciekawości, ani nie przywołały wspomnień; tymczasem od ośmiu dni Aurilly bada, szuka, domyśla się; wzrok twój obudzi pamięć i pozna cię, jeżeli już nie poznał.

W tej chwili przybył Aurilly, jadąc boczną ścieżką i ukazał się nadspodziewanie, aby pochwycić jaki wyraz rozmowy.

Milczeniem przyjęto jego przybycie, co dowodziło, że jest natrętne; jechał więc w tyle jak dawniej.

Od tego czasu zamiar Aurillego był stały. Obawiał się czegoś, jak to mówił Remy; ale obawiał się instynktownie, albowiem umysł jego, błędząc po licznych domysłach, nie zatrzymał się na rzeczywistości.

Nie mógł wytłomaczyć sobie dla czego tak starannie ukrywano przed nim twarz, którą wcześniej czy później miał ujrzeć.

Aby mu lepiej powiódł się zamiar, udał, że go się zupełnie wyrzeka i starał się okazywać wesołym i przyjemnym.

Remy uważał niespokojnie tę zmianę.

Przybyli do miasta i nocowali jak zwykle.

Nazajutrz, pod pozorem długiej jeszcze drogi, wyjechano o świcie.

W południe potrzeba było zatrzymać się na popas koni.

O drugiej wyjechano i jechano do czwartej. Wielki las widać było w oddaleniu. Był to las de la Ferre.

Miał on postać tajemniczą i posepną, jak lasy północy; lecz widok ten uroczysty na południu, któremu przedewszystkiem potrzeba światła dziennego i opału, nie czynił wrażenia na Remym i Dyannie, przywykłych do kniei Anjou i Sologne.

Tylko spojrzeli po sobie, jakby pojmowali oboje, że tutaj czekał ich wypadek, który od chwili wyjazdu wisiał nad ich głowami.

Wjechano w las.

Było około szóstej wieczorem.

Po półgodzinnej drodze, noc zapadała.

Silny wiatr otrząsał liście i pędził je ku ogromnemu stawowi, ukrytemu w cieniu lasu, około którego przed naszymi podróżnymi ciągnęła się droga.

— Deszcz, który padał od dwóch godzin, grunt uczynił śliskim. Dyanna pewna swojego konia i mniej

dbająca o siebie, wolno puściła konia. Aurilly jechał po prawej, Remy po lewej.

Aurilly był na ścieżce od stawu, Remy na środku drogi.

Żadna żyjąca istota nie ukazywała się pod posępną zielonością na całej drodze.

Rzekłbyś, że las jest jednym z owych zaczarowanych kniei, w których nic żyć nie może, gdyby kiedy niekiedy nie odzywało się wycie wilków, oznajmiające zbliżanie nocy.

Nagle Dyanna uczuła, że siodło jej, zwyczajnie przymocowane przez Remego, chwiać się poczęło, przywołała Remego, który zeskoczył z konia i wziął się do przymocowania popręga.

W tym czasie Aurilly zbliżył się do Dyanny i sztyletem przerznął sznurek, utrzymujący maskę.

Zanim zdołała podnieść rękę do twarzy, Aurilly porwał maskę i schylił się ku niej.

Oczy tych dwóch istot spotkały się w strasznym wejrzeniu, trudno powiedzieć, które z nich było bledsze i groźniejsze zarazem.

Aurilly uczuł, jak zimny pot oblewa mu czoło, opuścił maskę i sztylet i załamał ręce z boleścią i trwożą...

— Przez Boga!.. pani de Monsoreau!

— Tego nazwiska nie powtórzysz więcej—zawołał Remy, chwytając Aurillego za pas i ściągając z konia...

Obadwa padli na drogę. Aurilly wyciągnął rękę, aby pochwycić sztylet.

— Nie, Aurilly, nie—rzecze mu Remy, schylając się i przyciskając go kolanami; nie, tutaj musisz pozostać.

Ostatnia zasłona ocieniająca pamięć Aurillego zdała się spadać.

— Haudoin!—zawoła—zginąłem!

— Jeszcze nie—rzecze Remy, zatykając mu usta ręką—ale zaraz.

I prawą ręką wy dobył nóż z pochwy.

— Teraz, kochanku, teraz masz słuszość, zginiesz.

Stal zanurzyła się w gardle muzykusa i niewyraźne odezwało się chrapanie. Dyanna z obłąkanemi oczyma, drżąca i wsparta na siodle, nie odwróciła oczów od tak okropnego widowiska. Jednak kiedy ujrzała krew, tryskającą z pod noża, przechyliła się w tył i spadła z konia, martwa jakby nieżywa. Remy nie zajmował się nią w tej strasznej chwili, zrewidował Aurillego, wziął dwa rulony złota, przywiązał kamień do szyi i wrzucił do stawu. Deszcz padał ulewny.

— Panie, zetrzyj ślady twojej sprawiedliwości—zawoła—bo jeszcze inni są do ukarania.

Następnie umył ręce, omdlałą Dyannę podniósł i wsadził na konia. Koń Aurillego przestraszony wyciem wilków, które się zbliżały, w las uciekł. Kiedy Dyanna przyszła do siebie oboje podróżni, nie mówiąc słowa, w dalszą puścili się drogę.

XIII.**Jak król Henryk III Crillon'a nie prosił na śniadanie,
a jak Chicot sam się zaprosił.**

Nazajutrz dnia, w którym opowiedziane wypadki, spełniły się w lesie de la Ferre, król francuzki wyszedł z kąpieli o dziewiątej godzinie.

Jego lokaj, owinąwszy go w cienką wełnianą kołdrę i obtarłszy dwoma obrusami, ustąpił fryzyerom i ubieraczom, którzy z kolei ustąpili wonniarzom i dworakom.

Nakoniec król przywołać kazał marszałka, mówiąc, że dziś ma apetyt i co innego jak bulion jeść będzie.

Tak pomyslna wiadomość natychmiast rozeszła się po Luwrze i zrodziła radość niezmierną, a za nią woń sosów poczęła się rozchodzić, gdy Crillon, pułkownik gwardyi wszedł do Jego Królewskiej Mości dla obebrania rozkazów.

— Na honor mój dobry Crillonie—rzecze król—czuwaj jak chcesz dzisiaj nad mojem zdrowiem, ale nie przymuszaj mnie być królem; jestem zdrów i lekki dzisiaj, żebym z wiatrem uleciał. Jeść mi się chce Crillonie, czy rozumiesz przyjacielu?

— Tem bardziej rozumiem, Najjaśniejszy Panie, że i sam łaknę—odpowiedział pułkownik.

— Czy zawsze chce ci się jeść Crillonie?—zapytał król z uśmiechem.

— Nie zawsze, Najjasniejszy panie, ale trzy razy na dzień, a Waszej Królewskiej Mości?

— Mnie tylko raz na rok i to wtedy, kiedy dobre otrzymuję wiadomości.

— Taką rzeczą, widać, że Wasza Królewska Mość dobre otrzymałaś wieści. Tem lepiej, bo jak mi się zdaje, coraz rzadziej to się przytrafia.

— Nawet najmniejszej, Crillonie; a znasz przysłowie?..

— Tak „kiedy nie ma wiadomości, to dobre“. Ja nie wierzę Najjaśniejszy Panie przysłowiom, a najbardziej temu. Czy nie ma nic z Nawarry?

— Nic.

— Nic a nic?

— Zapewne to dowód, że tam śpią.

— A z Flandryi?

— Nic.

— To dowód, że się tam biją.

— A z Paryża?

— Nic.

— To dowód, że spiski knują.

— Albo dzieci rodzą. Apropos dzieci, czy wiesz Crillonie, że będę miał dziecko.

— Ty, Najjaśniejszy panie!—zawołał Crillon zdziwiony.

— Tak, królowej dzisiaj się śniło, że jest brzemienną.

— Cóż z tego?—rzecze Crillon.

— Jakto co z tego?

— To mi usprawiedliwia dla czego Wasza Król.

Mość dzisiaj masz taki apetyt. Żegnam cię, Najjaśniejszy Panie.

— Bądź zdrow, dobry Crillonie.

— Przez Boga, Najjaśniejszy Panie—rzecze Crillon—skoro masz dobry apetyt, powinieneś mnie na śniadanie zaprosić.

— A to dla czego Crillonie?

— Ponieważ powiadają, że Wasza Królewska Mość żyje powietrzem i dla tego chudnie, że zły czas; otóż chciałbym powiedzieć: czysta potwarz, król jada jak wszyscy.

— Nie, Crillonie, nie, niech sobie sądzą jak chcą: wstyd mnie w obec poddanych, jadać jak człowiek. Uważasz Crillonie, król zawsze powinien pokazywać się poetycznie. Możemy to przykładem stwierdzić.

— Słucham cię, Najjaśniejszy Panie.

— Przypomnij sobie Alexandra.

— Którego Alexandra?

— Magnusa. Ach! prawda, ty nie umiesz po łacinie. Alexander lubił się kąpać w obec żołnierzy, bo był pięknym i dobrze zbudowanym, że go porównywano z Appolem, a nawet Antinousem.

— Ale ty, Najjaśniejszy Panie, djabelniebyś źle uczynił, gdybyś się kąpał w obec wojska, bo piekielnie jesteś chudy.

— Idź, idź, pocziwy Crillonie—rzecze król, klepiąc go po ramieniu, wyborym jesteś brutalem, nie umiesz pochlebiać i nie jesteś dworakiem, mój pocziwy stary przyjacielu.

— Dla tego też, Najjasniejszy Panie, nigdy mnie

nie zapraszasz — odrzekł Crillon śmiejąc się i żegnając króla.

Kiedy Crillon wyszedł, stół zastawiono.

Kuchmistrz wysilił się: potrawa z kuropatw z sosem z truflami i kasztanami naprzód zwróciła królewską uwagę, a następnie piękne ostrygi.

Dla tego buljon, ten wzmacniający monarchiczny posiłek, zaniedbano, napróżno biedak wyglądał ze złotej wazki i nic nie otrzymał.

Król wziął się do potrawy z kuropatw. Właśnie czwarty kawałek kładł do ust, kiedy lekki szelest dał się za nim słyszeć i znany głos cierpko zawołał:

— Jedno jeszcze nakrycie.

Król odwrócił się.

— Chicot!—zawoła.

— W mojej własnej osobie.

I według zwyczaju Chicot rozwalił się na krześle, wziął talerz i zaczął od ostryg, wybierając największe i najtłuściejsze.

— Ty tutaj, Chicot!—zawoła Henryk.

— Ciszej!—odrzekł, mając pełną gębę.

I korzystając z zadziwienia króla, przysunął przed siebie kuropatwy.

— Stój, Chicot, to moje—zawołał król, wyciągając rękę dla odebrania talerza.

Chicot przedzielił na pół i po bratersku oddał połowę.

Potem nalał sobie wina, przejadł pasztetu, nadziwianych raków, wypił buljon i dopiero po chwili ciężko westchnął.

- Już mi się jeść nie chce—rzecze.
— Spodziewam się—odparł król.
— Ah! dzień dobry, mój królu, jakże się mie-
wasz? jakoś wesołym cię znajduję.
— A co, nieprawda, Chicot?
— Jakie masz piękne kolory?
— Widzisz?
— Ale czy to własne?
— Do djabła!
— Kiedy tak, to winszuję.
— Słowem, czuję się dobrze, jak dawno nie byłem.
— Cieszy mnie to, mój królu; lecz jeszcze nies-
kończone śniadanie i zostały widzę jakieś łakocie.
— Oto wiśnie smażone przez zakonnice z Mont-
martre.
— Za nadto słodkie.
— Orzechy nadziewane rodzenkami korynckie-
mi..
— Pfel ziarna zostawiono w rodzenkach.
— Z niczegoś niezadowolony.
— Na honor, wszystko, a nawet kuchnia psuje się
na twoim dworze.
— Ja nie powiem, nie.
— A więc co za przyczyna takich zmian?
— Ah! co do tego to mówisz nieszczerze, Hen-
ryczku.
— Powiedz mi co o twojej podróży, to mnie ro-
zerwie.
— Najchętniej, po to właśnie przyszedłem. Od
czego chcesz, abym zaczął?

— Od początku, jakże drogę odbyłeś?

— Jak przechadzkę.

— A czy nie miałeś jakiej przykrości?

— Ale powiadam cudownie.

— A jakiej przygody?

— Alboż to można krzywo patrzeć na posła Jego Królewskiej Mości. Ogadujesz poddanych, mój synku.

— Mówiłem to dla tego, zaczął król uradowany, że spokojność w jego państwie panuje, że nie mając charakteru urzędowego, mogłeś się na jakie niebezpieczeństwo narazić.

— Powiadam ci Henryczku, że masz najpiękniejsze królestwo na świecie; podróżnych w niem karmią darmo, a nocują dla miłości Boga; prócz tego w twojem państwie chodzi się po kwiatach, a gdzie ich nie ma, tam aksamit ze złotemi frendzlami; to się zdaje niepodobnem, ale tak jest.

— Więc jesteś zadowolony Chicot?

— Zaczarowany.

— Tak, tak, wyborną mam policją.

— Słuszność jej oddać potrzeba.

— A drogi czy pewne?

— Jak w raj; tylko aniołków na nich spotkać można, śpiewających chwałę królowi.

— Chicot, jak widzę powracamy do Wirgiliusza.

— Do którego miejsca?

— Do Bukolik. *O fortunatos nimium!*

— Bardzo dobrze, ale na co ten wyjątek na korzyść rolników, mój synu?

— Niestety! bo tego nie ma w miastach.

— Koniec końcem, że miasta są punktem zepsucia.

— Ale sam osądź; odbyłeś pięćset mil drogi bez żadnej przygody, a ja tylko jeździłem do Vincennes, trzy ćwierci mili i...

— I co?

— O mało mnie nie zamordowali na drodze.

— Ha! ha! ha!—rozśmiał się Chicot.

— Opowiem ci to, mój przyjacielu; właśnie mam to opisać... gdyby nie moi czterdziestu pięciu, byłbym zginął.

— Czy tak... i gdzież to zaszło?

— Pytasz, gdzie zająć miało?

— Nieinaczej.

— Pod Bel-Esbat.

— Blisko klasztoru naszego przyjaciela Gorenflot'a?

— W tem samym miejscu.

— Jakże się znalazł w tej okoliczności nasz przyjaciel?..

— Cudownie, jak zawsze; nie wiem czy ze swojej strony słyszał o czemś, ale zamiast chrapać o tym cząsie, jak czynią wszystkie mnichy, stał na balkonie.

— I nic więcej nie robił?

— Kto?

— Dom Modest.

— Błogosławił mnie z powagą, sobie tylko właściwą.

— A mnichy?

— Krzyczeli na całe gardło, niech żyje król!..

— I nic więcej nie widziałeś?

— Cóż miałem widzieć?

— Że mieli jaką broń pod habitami?

— Wiem, że wszyscy byli uzbrojeni, i dla tego uwielbiam przezorność godnego przeora i powiadam: Ten człowiek wiedział o wszystkim, a jednak nic nie mówił i nic nie żądał: nie przyszedł do mnie nazajutrz, jak d'Epernon, macać po wszystkich moich kieszeniach, mówiąc: „Najjaśniejszy Panie, za ocalenie króla.“

— Oh! co do tego, on niezdolny i prócz tego jego ręce nie weszłyby w twoje kieszenie.

— Chicot! na bok żarty z dom Modestem; to jest jeden z największych ludzi, którzy uwiecznią moje panowanie i oświadczam ci, że przy pierwszej sposobności dam mu biskupstwo.

— Słusznie uczynisz, mój królu.

— Zważaj tylko Chicot, co ci powiem—rzecze król z miną głęboko myślącego—ludzie wybrani, kiedy pochodzą z ludu, są zupełnymi; z wyższej klasy wynosi się pewne skłonności rodowe, które są cechami historycznymi. I tak np. Walezyusze są dowcipni, przebiegli, waleczni, ale leniwi; Lotaryngczycy są dumni, skąpi, mają skłonność do intryg i poruszeń; Burboni są, zmysłowi, bez myśli, bez siły, bez woli. Przeciwnie, kiedy natura wyprowadza człowieka z niczego, czyni go zupełnym np. twój Gorenflot.

— Czy tak?

— Tak, uczony, skromny, waleczny i przezorny, z niego zrobić można co się podoba, ministra, wodza biskupa.

— Hej, Najjaśniejszy Panie — zawołał Chicot—
gdyby on to słyszał, skóraby na nim pękła, bo on jest
bardzo dumnym.

— Ty mu zazdrościsz, Chicot!

— Boże mnie od tego zachowaj, zazdrość to prze-
brzydła namiętność.

— Przekonaj się, jak jestem sprawiedliwy, rodo-
we szlachectwo nie zaślepia mnie. *Stemmata quid faciunt.*

— Bravo! i mówiłeś królu, że o mało cię nie za-
mordowano?

— Nie inaczej.

— Kto taki?

— A któżby jeżeli nie liga?

— Zawsze jedno.

— Jakże się ona miewa?

— Zawsze jednakowa.

— To się ma znaczyć Henryczku, że coraz bardziej
tyje.

— Mój Chicot, ciała polityczne, co z młodu żyją,
nie żyją długo, jak dzieci.

— Więc jesteś zadowolony, mój synu?

— Prawie tak.

— I jesteś w raj.

— Tak, Chicot, dziś rano i cieszy mię, że w chwila-
ch mojej radości przybywasz, przewiduję coś szczę-
śliwego.

— *Habemus consulem facetum*, jak mówił Katon.

— Widać dobre przynosisz wiadomości, moje
dziecię.

- Tak sędzę.
- I każesz mi czekać żarłoku.
- Mój królu, od czego chcesz, abym zaczął?
- Mówiłem ci, że od początku, ale ty odchodzisz od przedmiotu.
- Więc zacznę od mojego wyjazdu?
- Nie, podróż była wyborna, powiadałeś mi?
- Widzisz królu, że cały przybywam, alboż nie dosyć?
- Tak, a więc zacznijmy od przybycia do Nawarry.
- Dobrze.
- Co robił Henryk kiedy przybyłeś?
- Kochał się.
- Z Margot?
- Oh! nie.
- To mnie dziwi; więc zawsze niewierny żonie, najlepszej kobiecie; szczęściem, że mu odwetem odpłaca, a więc, kiedy przybyłeś, jakie imię było rywalki Margot?
- Fosseusse.
- To Montmorency. Dalej, to nic złego dla Bearnieńskiego niedźwiedzia. Tutaj mówiono o jakiejś wieśniaczkce, ogrodniczce, mieszczańce.
- To wszystko już stare.
- A więc Margot jest zwodzona?
- Jak tylko można.
- I gniewa się?
- Wścieka.
- I mści?

— Tak sędzę.

Henryk zatarł ręce z radości.

— I cóż uczyni?—zawoła, śmiejąc się—poburzy ziemię i niebo, poburzy Hiszpanią na Nawarrę, Artois i Flandryą na Hiszpanią?.. Kto wie, może wezwie swego braciszka Henryczka przeciwko mężowi Henryczyskowi, a co?

— Być może.

— A czy ją widziałeś?

— Widziałem.

— A w chwili, kiedy ją opuszczałeś, co robiła?

— Oh! tego królu nigdy nie zgadniesz.

— Może myślała innego wzięść kochanka.

— Bynajmniej, sposobila się na akuszerkę.

— Co znaczy to wyrażenie, albo raczej ten błąd grammatyczny *), są dwuznaczniki, z którymi igrać nie wolno.

— Mój królu, znam tyle grammatyki, że dwuznaczników mogę uniknąć i zanadto jestem delikatny, abym ich używał.

— Akuszerka *obstetrix*?

— Tak, mój królu; *Juno Lucina*, jeśli tak wolisz.

— Chicot!

— Przewracaj królu oczy jak ci się podoba, a ja ci powiadam, że twoja siostra Margot miała odbyć połóg, kiedy wyjeżdżałem z Nérac.

— Swój?—zawołał Henryk blednąc—Margot ma mieć dzieci!

— Nie swój, ale na rachunek męża. Wiesz, że

*) *Femme sage, i sage femme.*

ostatni z Walezyszów siły płodzenia nie posiadają; to nie tak jak Burbony...

— A więc Margot rodzi, słowo czynne.

— Jak może być najczynniejsze.

— I co rodzi?

— Pannę Fosseuse.

— Na honor, ja tego nic nie rozumiem — rzecze król.

— I ja także—odpowie Chicot—ale ja nie zobowiązywałem się rozumieć, tylko powiedzieć co jest.

— Ale to być nie może, aby pozwoliła na to upokorzenie.

— Zapewne, że nie chciała; ale w walce, zawsze jedna strona silniejszą; zobacz królu Herkulesa z Anteuszem, Jakóba z Aniołem i t. d., otóż w walce męża z żoną, twoja siostra była słabszą, to i wszystko.

— Oddycham.

— Ah! niegodziwy bracie.

— Muszą się nienawidzić.

— Ja myślę, że nie szaleją za sobą.

— Ale powierzchownie?

— W najlepszej są przyjaźni, Henryku.

— Tak, ale pierwszego lepszego poranku, przyjdzie jaka nowa miłośćka i pokłóci ich znowu.

— Ta miłośćka już przyszła.

— Ba!

— Tak, na honor, ale wiesz królu, czego się lękam?

— Powiedz.

— Aby ta nowa miłość zamiast pokłócić ich, nie pogodziła.

— A zatem jest nowa miłość?

— A przecież mówiłem.

— Bearneńczyka?

— Nie kogo innego.

— Dla kogo?

— Cierpliwości, wszak królu wszystko chcesz wiedzieć?

— Opowiedz mi, Chicot, opowiedz, a doskonale opowiadasz.

— Dziękuję, mój synu, ale jeżeli wszystko chcesz wiedzieć, muszę zacząć z początku.

— Zaczynij, ale prędzej.

— Pisałeś okropny list do Bearneńczyka?

— Jak wiesz o tem?

— Czytałem go.

— I cóż o nim mówisz?

— Że jeżeli było niedelikatne postąpienie, to przynajmniej zdradziecki język.

— Musiała go spalić.

— Tak, gdyby Henryk i Margot zwyczajnemi byli małżonkami.

— Co to ma znaczyć?

— To znaczy, że Bearneńczyk nie głupi.

— Ho! ho!

— I że odgadł.

— Co odgadł.

— Źeś go chciał poróżnić z żoną.

— To rzecz jasna.

— Ale w jakim celu chciałeś poróżnić.

— W jakim... w jakim...

— Przeklęty Bearneńczyk domyślił się, że dla tego chciałeś go poróżnić z żoną, aby mu nie wypłacić posagu.

— Co u licha!

— Otóż to Bearneńczykowi przyszło do głowy.

— Mów dalej, Chicot, mów — odezwał się król ponuro.

— Kiedy ta myśl mu przysła, zamyślił się, zasmucił.

— Cóż dalej?

— To go rozerwało i zapomniał o Fosseuse.

— Bah!

— Ale tak, nie inaczej; wtedy opanowała go miłość, o której mówię.

— Ale ten człowiek chyba jest persem, turkiem lub poganinem, tyle mając kobiet. A Margot co na to?

— Tym razem, zadziwi cię to, królu, ale Margot była bardzo uradowana.

— Upadkiem Fosseuse, ah! rozumiem.

— Nie, nie, ale uradowana sama dla siebie.

— Zatem zamięłowała stan akuszerki?

— Tym razem nie będzie akuszerką.

— A czemże u licha?

— Kumą, nawet podarunki są przygotowane.

— Ale zapewne kupiła je nie za swoje pieniądze.

— Czy tak sądzisz, mój królu?

— Zapewne, ponieważ nic jej nie dają. Ale jakże na imię tej nowej kochance?

— Oh! to bardzo piękna i silna osoba, która pyszną

nosi opaskę i może się dobrze bronić, gdyby ją napastowano.

— I broniła się?

— A jakże!

— Tak, że Henryczysko został odpartym?

— Najprzód.

— A potem?

— Henryk jest uparty; poszedł do szturmu.

— I...

— I wziął ją.

— Jakto?

— Siłą.

— Siłą!

— Siłą, petardami.

— Co pleciesz, Chicot?

— Prawdę mówię.

— Alboż to wdzięki petardami się bierze?

— Ale to panna Cahors.

— Panna Cahors!

— Piękna i wielka panna, którą jak Peronne, nazywano dziewicą, która jedną stopą opiera się na Lot, drugą na górze i której opiekunem jest, albo raczej był pan Vesin, jeden z twoich przyjaciół.

— Dla Boga!—zawołał Henryk—to moje miasto! on wziął moje miasto!

— Teraz rozumiesz, Henryczku; nie chciałeś mu go dać przyrzekłszy, otóż on sam wziął sobie. Ale, ale, oto list, który ci oddać polecił.

Chicot dobywszy list z kieszeni wręczył go królowi.

List ten pisany był po wzięciu Cahors i kończył się temi wyrazy:

Quod mihi dixisti profuit multum; cognosco meos devotos; nosce tuos: Chicotus coetera expedit.

(To, co mi powiedziałeś było bardzo użytecznem; znam moich przyjaciół, ty znaj twoich; Chicot powie ci resztę).

XIV.

Jak Henryk, otrzymawszy wiadomości z południa, odebrał je z północy.

Henryk w nadmiarze smutku, zaledwie mógł czytać list, który mu Chicot oddał.

Kiedy sylabizował łacinę Bearneńczyka z owemi oznakami niecierpliwości, od których trzęsła się posadzka, Chicot przed wielkiem weneckiem zwierciadłem, zawieszonem nad stołem, złotniczej roboty, podziwiał swoją postawę i nieskończone wdzięki, jakie przybrał w stroju żołnierskim.

Mówimy nieskończone, bo Chicot nigdy się tak nie wydawał wysokim; na głowie nieco łysej miał hełm ostrokągowy, w rodzaju tych, jakie niemcy wyrzynali w Trewirze i Moguncyi, w tej chwili zaś, przywdziewał, na kaftan zatłuszczony i wytarty, pół zbroję podróżną, którą, idąc do śniadania, na stole położył; przy-

wdziewając zaś zbroję, po posadzce brzęczał ostrogami, któremi możnaby brzuch koniowi rozplatać.

— Zdradzono mnie! — zawołał Henryk, kiedy skończył czytanie—Bearneńczyk miał plan, którego się nie domyślałem.

— Mój synku — odrzeczcie Chicot — wszak znasz przysłowie: „cicha woda brzegi rwie.“

— Idź do dyabła z twojemi przysłowiami.

Chicot, jakby wypełniając rozkaz, postąpił ku drzwiom.

— Nie chodź, pozostań.

Chicot zatrzymał się.

— Cahors wzięte!—mówił Henryk.

— Nawet w dobry sposób—odpowie Chicot.

— Ale on musi mieć generałów, inżynierów?

— Ale gdzie tam, Henryczku, Bearneńczyk ubogi, czemużby ich płacił? on wszystko sam robi.

— I nawet się bije — rzecze Henryk z pewnym rodzajem pogardy.

— Nie mogę powiedzieć—odparł Chicot—aby się rzucił szalenie i nierozważnie! oh! on tak robi, jak niektórzy ludzie, co pierwej wody probują, zanim w nią wejda; najprzód w złowrózbyim pocie umacza palec, kilkakroć uderzy się w piersi, czoło usposobi kilkoma filozoficznemi uwagami i dopiero w dziesięć minut potem każe grzmieć działom, wtedy, głowę wsadza w rozprawę i pływa po ogniu i roztopionym ołowiu, jak salamandra.

— Ale to dyabeł nie człowiek!

— Zareczę ci, Henryku, że tam mu było ciepło.

Król powstał raptownie i pospiesznym krokiem zaczął po sali przechodzić.

— To dla mnie przysmak—zawoła, kończąc myśl zaczęta w duchu, to dopiero będą się śmieli! Na honor, dopiero będzie piosnek! Ci hultaje gaskończycy są uszczypliwi i słyszę jak ostrzą zęby, żeby je w uśmiechu pokazywać. Szczęściem przyszła mi myśl posłania ich Franciszkowi na pomoc! Antwerpia nagrodzi Cahors; północ zatrze błędy południa.

— Amen — rzecze Chicot, zagłębiając delikatnie palce w słoikach i miseczkach królewskich, żeby wetami zakończyć śniadanie.

W tej chwili drzwi się otwarły i odzwierny zapowiedział.

— Pan hrabia du Bouchage!

— A co, nie mówiłem, Chicot, że będę miał wiadomość?.. Wejdz, wejdz, hrabio.

Odzwierny ustąpił ze drzwi i ujrzano młodzieńca, podobnego do portretów Holbeina, albo Tycyana.

Postępował wolno i zgiął kolano na środku pokoju.

— Zawsze blady—rzecze król—zawsze złowrózby. Na teraz jednak, mój przyjacielu; przybierz twarz wesolą i dobrych wieści ze smutkiem mi nie przynoś; mów prędzej du Bouchage, czekam i słucham. Wszak przybywasz z Flandryi, moje życie?

— Tak, Najjaśniejszy Panie?

— I lekko jak widzę.

— Najjaśniejszy Panie, i tak szybko jak tylko człowiek może chodzić po ziemi.

— A co się dzieje z Antwerpią?

— Antwerpia jest w rękach księcia Oranii, Najjaśniejszy Panie.

— Księcia Oranii?.. a to co znaczy.

— Wilhelma, jeżeli ci tak przyjemniej, Najjaśniejszy Panie.

— A mój brat czemu na Antwerpią nie idzie.

— Najjaśniejszy Panie, nie do Antwerpii, ale do Château-Thierry powraca.

— Jaki? wojsko opuścił?

— Nie ma już wojska, Najjaśniejszy Panie.

— Ah!—westchnął król i słabnąc padł na krzesło.—A Joyeuse?

— Najjaśniejszy Panie, mój brat, dokazując cudów waleczności i osłaniając odwrót, zebrał nieco ludzi uszłych z ogólnej klęski i utworzywszy z nich armią, przyprowadził księcia Andegaweńskiego.

— Klęska!—mówił król cicho.

Następnie, nagle, jakby błyskawica zaświeciła w jego spejrzeniu i zawołał:

— Zatem flamandzycy zupełnie dla mego brata straceni?

— Zupełnie, Najjaśniejszy Panie.

— Bez powrotu?

— Ja tak sądzę.

Czoło króla stopniowo się rozjaśniało, jakby pod wpływem wewnętrznej myśli.

— Biedny Franciszek—rzecze z uśmiechem—nie ma szczęścia do koron; Nawarska wymknęła mu się, wyciągał rękę po Angielską, ale jej dostać nie mógł;

kusił się o Batawiał i upadł. Założmy się, że on nigdy królem nie będzie, pomimo jego największych chęci.

— To zawsze tak, kiedy kto czego zanadto pragnie—uroczystym tonem odezwał się Chicot.

— A wielu jeńców?—zapytał król.

— Blisko dwóch tysięcy.

— A wielu poległych?

— Prawie tyle, pan de Saint - Aignan w ich liczbie...

— Jaktó! on zginął! biedny Saint-Aignan.

— Utonął.

— Utonął!.. więcście się rzucali w Escaut?

— Bynajmniej, ale Escaut na nas się rzuciło.

Tutaj, hrabia opisał dokładnie królowi bitwę i zatopienie.

Henryk słuchał wszystkiego z powagą, w milczeniu i z wyrazem nieugiętego charakteru.

Kiedy skończono opowiadanie, powstał i ukląkł przed obrazem, odmówiwszy zaś modlitwę, powrócił z twarzą zupełnie wypogodzoną.

— Sądzę — rzecze — że wszystko po królewsku czynię. Monarcha wspierany przez Boga jest rzeczywiście więcej niż człowiekiem. Naśladuj mnie, hrabio i ponieważ Bóg ocalił twojego brata, równie jak mego, złóżmy mu dzięki i stanowczo coś postanówmy.

— Jestem na twoje rozkazy, Najjaśniejszy Panie.

— Jakiej żądasz nagrody za twoje usługi du Bouchagé? mów.

— Najjaśniejszy Panie — odpowie młodzieniec, skłaniając głowę—żadnej nie wyświadczyłem usługi.

— Lecz zawsze brat twój wyświadczył.

— Ogromne, Najjaśniejszy Panie.

— Mówisz, że ocalił armią, albo raczej resztki armii.

— Nie ma ani jednego z pozostałych, któryby nie powiedział, że jemu winien życie.

— A zatem mój du Bouchage! moją wolą jest obudwóch was obsypać dobrodziejstwami; chcę w tem naśladować Wszehmogącego Boga, który was dotykającym wspierał sposobem, uczyniwszy wprzód pięknymi, bogatymi i walecznymi, chcę w tem naśladować wielkich polityków, którzy nagradzali zwiastunów złych wieści.

— Ja znam przykłady, że takich zwiastunów wieszano—odezwał się Chicot.

— Być może — rzekł z powagą Henryk — ale ja wiem, że senat Warronowi dziękował.

— Mości królu, stawiasz mi przykład republikanów; Walezyusza, nieszczęście cię bardzo upokarza.

— A więc du Bouchage, czego żądasz? czego pragniesz?

— Ponieważ Wasza Królewska Mość z taką życzliwością do mnie przemawia, śmiem z jego łaski korzystać. Znudzony jestem życiem, Najjaśniejszy Panie, a jednak skracać go nie chcę, bojąc się Boga obrazić; wszelkie wybiegi, jakich człowiek honorowy w podobnych zdarzeniach używa, są grzechem śmiertelnym; dać się zabić na polu bitwy, zagłodzić, utopić przebywając rzekę, są to osłony przed ludźmi, przez które Bóg jasno przegląda; bo jak wiesz, Najjaśniejszy

Panie, wszelkie myśli nasze, są przed nim jawne; nie chcę więc ginąć przed naznaczonym mi kresem, a ponieważ świat obrzydziłem, świat chcę opuścić.

— Mój przyjacielu—rzecze król.

Chicot wznosił głowę i z interesem spojrzął na młodzieńca pięknego, bogatego i walecznego, który jednak rozpaczającym odzywał się głosem.

— Najjaśniejszy Panie—mówił tak hrabia z wyrazem postanowienia—wszystko, cokolwiek mi się od niejakiemu czasu przytrafia, utwierdza we mnie tę żądzę; pragnę rzucić się na łono Boga, najwyższego pocieszyciela strapionych, jak równie najwyższego Pana szczęśliwych na tej ziemi, racz więc Najjaśniejszy Panie ułatwić mi środki wstąpienia do zakonu, bo jak mówi prorok, serce moje jest jak śmierć smutne.

Chicot wcielony kpiarz przerwał na chwilę swoją gimnastykę, aby słuchać z powagą tej nadzwyczajnej boleści, mówiącej tak szlachetnie i szczerze głosem łagodnym i przemawiającym, jakim się rzadko sama młodość i piękność zaszczyca.

Oko jego przyćmiło się odbijając w smutnem spojrzeniu brata Joyeusa, całe jego ciało wyciągnęło się i obwisło jakby przez sympatyę dla ciężkiej boleści, którą zdawał się uczuwać.

Sam król uczuł ból serca, słuchając tej smutnej mowy.

— Ah! rozumiem cię, przyjacielu—rzecze—chcesz wstąpić do zakonu, lecz jeszcze czujesz w sobie człowieka i pokus się boisz.

— Nie lękam się surowości życia, Najjaśniejszy

Panie, ale boję się czasu próby, nie dla tego, abym chciał złagodzić doświadczenia, jakie będę musiał ponosić, ale, żebym już nie mógł pomyśleć o powrocie do przeszłości, chciałbym jednym słowem, aby ta krata, która ma mnie oddzielać od ludzi, natychmiast wyskoczyła, nie zaś jak według reguł zakonu, powoli rosła jak płot tarniowy.

— Biedny chłopiec—rzecze król po pilnem wysłuchaniu mowy—biedny chłopiec. Sądzę, że dobrym będzie kaznodzieją co, nieprawda Chicot?

Chicot nie odpowiedział; du Bouchage mówił dalej:

— Pojmujesz, Najjaśniejszy Panie, że w mojej familli powstanie walka, że w najbliższych znajdę najsilniejszy opór mojej woli. Mój brat kardynał dobry i światowy zarazem, tysiące znajdzie przyczyn odwrócenia mnie od zamiaru i jeżeli nie zdoła mnie przekonać, czego jestem pewny, ucieknie się do środków materialnych i odwoła się do Rzymu, który pomiędzy każdym święceniem, zwłokę naznaczy. Lecz wola twoja, Najjaśniejszy Panie, jest wszechwładna i tej nad moją głowę przyzywam. Udzieliłeś mi to, czego żądałem, przyrzekłeś zaspokoić moje chęci, otrzymaj więc od Rzymu, aby mnie od nowicyatu uwolniono.

Król, chociaż zwyczajnie zamyślony, powstał z uśmiechem i ujmując hrabiego za rękę, rzekł:

— Uczynię, co żadasz, mój synu; chcesz służyć Bogu, masz słuszość, to lepszy pan niż ja.

— Piękny mi zrobiłeś komplement—rzecze Chicot pod nosem.

— A więc, hrabio, będą cię święcili jak żądasz, przyrzekam ci.

— Wasza Królewska Mość napelniasz mnie radością! — zawołał młodzieniec, całując rękę królewską z takim uniesieniem, jakby go mianowano księciem, albo marszałkiem francuzkim.—Lecz czy to pewno?

— Słowo królewskie—odpowiedział Henryk.

Twarz Bouchage'a zajaśniała i coś podobnego do uśmiechu przeszliźnieło się po ustach; uklonił się z uszanowaniem królowi i zniknął.

— Oto szczęśliwy młodzieniec!—zawołał Henryk.

— Jak mi się zdaje, nie masz mnie czego królu zazdrościć—odezwał się Chicot—nie więcej lamentuję od ciebie.

— Ale czy to pojmujesz, Chicot? on ma zostać zakonnikiem, on ma się dostać do nieba.

— A któż tobie uczynić to samo zabrania? on żąda dyspensy od swojego brata kardynała, ja zaś znam jednego, który ci wszystkie, jakie tylko być mogą na raz udzieli, on lepiej niż ty jest z Rzymem; może go nie znasz, ale ja powiem ci jego nazwisko: kardynał Gwizyusz.

— Chicot!

— Jeżeli zaś niepokoi cię obcięcie włosów, bo to jest delikatna operacya, jak tylko być mogą najpiękniejsze ręce i najzgrabniejsze nożyczki z ulicy Coutellerie dopełnią tego i pozostawią drugi symbol trzech koron i twojego godła: *manet ultima coelo*.

— Mówisz najpiękniejsze ręce?

— Nie inaczej, poszukajmy na traf i przekonajmy

się, cóżbyś naprzykład Henryczku powiedział o rączkach pani de Montpensier.

Król zmarszczył brwi i potarł czoło ręką, może bielszą od tej, o której mówiono, a pewnie bardziej drżąca.

— Przekonajmy się—mówił Chicot—albo dajmy temu pokój, bo widzę, że się nudzisz, Henryku; mówmy o rzeczach, które mnie osobiście obchodzą.

Król dał znak w połowie obojętny, w połowie przyzwalający.

Chicot spojrział w około siebie i nogami przysuwając krzesło, rzecze:

— Mój synku, *dla czego* ci panowie Joyeuse udali się do Flandryi?

— Najprzód powiedz mi, co znaczy twoje *dla czego?*

— Dla tego, że mi się zdają dziwnymi ludźmi; jeden zanadto się weseli, drugi zanadto płacze; ich wyjazd z Paryża daremnie narobił hałasu; mówią, że jeden wyjechał aby się bawić, drugi aby się zagłuszyć.

— Cóż z tego?

— Ponieważ jesteś jednym z najlepszych ich przyjaciół, musisz wiedzieć jak wyjechali.

— Zapewne że wiem.

— Zatem powiedz mi Henryczku, co słyszałeś?!

Chicot w środku mowy, zatrzymał się.

— Co miałem słyszeć?

— Może kogo znakomitego pobili?

— O tem nic nie wiem.

- Może porwali jaką kobietę?
— I o tem nie slyszalem.
— Może co spalili?
— Co takiego?
— Alboż ja wiem?.. ale czy to wielka rzecz spalić dom biedaka dla rozrywki, gdy kto jest wielkim panem?
— Oszalałeś, Chicot, któżby się powazył palić domy w Paryżu i to w czasie mojej obecności?
— Zatem nic nie uczynili cobyś widział albo o czem byś slyszal?
— Na honor nic nie wiem.
— Tem lepiej—rzecze Chicot, oddechając z latwością, jakiej przez cały ciąg rozmowy z królem nie doznawał.
— Wiész co Chicot?—odezwie się król.
— Nie, ja nic nie wiem—odpowie.
— Stajesz się złośliwym.
— Ja?
— Tak, ty!
— Pobyt w grobowcu, wielki królu, cierpkim mnie uczynił, ale twój widok rozwesela. *Omnia letho putrescunt.*
— To ma znaczyć, że stałem się gorszym—rzecze król.
— Troszkę, troszkę, mój synu.
— Stajesz się nieznośnym mój Chicot i muszę ci przypisać jakieś zamiary intryg i ambicyi, które sądziłem dalekimi od twojego charakteru.
— Zamiary ambicyi, ja!.. Chicot ambitny. Mój synku, dawniej byłeś nieroztropnym, a teraz rozum straciłeś, to postęp.

— A ja ci mówię, Chicot, że wszystkich oddalasz odemnie, przypisując zamiary, których nie mają i zbrodnie, o których nie myślą, mówię ci, że chcesz mnie zgubić.

— Ja ciebie zgubić!—zawoła Chicot.—Boże mnie od tego uchwaj. Ale stwierdź dowodem, królu, twoje przypuszczenie.

— Dobrze—odrzekł król.

— Przekonajmy się, z kąd ci przyszła ta dziwna myśl.

— Słuchałeś obojętnie moich pochwał twojego dawnego przyjaciela Dom Modesta, któremu wiele winienieś...

— Za wiele mu winienem? ale cóż dalej.

— Chciałeś oczernić panów Joyeuse, moich najlepszych przyjaciół.

— Tego nie przeczę.

— W ostatku, chciałeś kolnąć Gwizyuszów.

— Jak widzę, kochasz ich bardzo, to dzień taki, w którym dla wszystkich jesteś łaskawym.

— Nie; ja ich nie lubię, ale teraz siedzą cicho i nic mi złego nie czynią, a ja nie spuszczam ich z oczów; uważam ja w nich zawsze tę samą obojętność, a że się nigdy nie lękam posągów, chociażby najgroźniejszymi były, trzymam się tych, których znam z twarzy i postawy? Każde straszidło kiedy cicho siedzi, i kiedy z niem się oswoimy, może być przykrem, ale lękać się go nie trzeba. Gwizyusze, pomimo dzikich spojrzeń i długich mieczy, może ze wszystkich najmniej mi szkodzili i są podobni wiesz do czego?

— Racz mi powiedzieć, Henryczku, wiesz, że lubię dowcipne porównania.

— Podobni są do owych żerdzi w stawie, które wsadzają, aby wielkie ryby odstraszać i nie pozwalać im bardzo się utuczyć; ale przypuścimy, że ryby nie boją się żerdzi.

— Żerdzie nie mają zębów.

— Henryku, bardzo jesteś dowcipny.

— Tymczasem, twój Bearneńczyk...

— Ciekawym z czem go porównasz?

— On miauczy jak kot, a kasa jak tygrys.

— Na honor—zawoła Chicot—oto Walezyusz głośsze Gwizyuszów. Dobrze, dobrze, mój synku, na dobrej jesteś drodze i nie ma się co zatrzymywać. Rozwiódź więc i zaślub jak najprędzej panią de Montpensier; może z nią będziesz miał potomstwo, a podobno niegdyś kochała się w tobie?

Henryk się nadał.

— Tak jest — odpowie — ale wtedy, kim innym byłem zajęty; oto początek jej nienawiści. Ona ma do mnie urazę i mści się kiedy może. Szczęściem, jestem mężczyzną i śmieję się z tego.

Kończąc te słowa, Henryk z chęcią podobania się, poprawiał na sobie włoski kołnierz, gdy odzwierny Nambu odezwał się na progu.

— Posłaniec od księcia Gwizyusza do Waszej Królewskiej Mości.

— Czy kuryer, czy dworzanin?—zapytał król.

— Kapitan, Najjaśniejszy Panie.

— Niech wejdzie, przyjmę go mile.

W tej chwili kapitan od żandarmów, ubrany w mundur wojskowy, wszedł i oddał zwyczajny ukłon.

XV.

K u m o w i e.

Po tem zapowiedzeniu, Chicot rozsiadł się w krzesło i według zwyczaju, tyłem się do drzwi odwrócił; oczy jego w pół przymrużone, zapowiadały zwykłe wewnętrzne dumanie, gdy pierwsze wyrazy posłańca Gwizyuszów, poruszyły go z miejsca.

Otworzył więc oczy.

Szcęściem, czy nieszczęściem, król zajęty nowoprzybyłym, nie zważał na objawioną nieżyczliwość ze strony Chicota.

Posłaniec stanął o dziesięć kroków od krzesła, w którym Chicot się rozsiadł, że zaś jego ciało mało wychylało się z krzesła, Chicot całego widział posłańca, ten zaś mógł dojrzeć tylko oko Chicota.

— Przybywasz z Lotaryngii?—zapytał król posłańca, którego postawa była dosyć szlachetna i wojownicza.

— Nie, Najjaśniejszy panie, z Soissons, gdzie książę, który od miesiąca nie wyjeżdża z tego miasta, powierzył mi list, który u stóp Waszej Królewskiej Mości złożyć mam honor.

Oko Chicota zabłysło i nie stracił ani jednego poruszenia posłańca, ani jednego wyrazu jego mowy.

Posłaniec odpiął swój kaftan zapięty na srebrną klamrę i wydobyl ze skórzanej kieszeni, umieszczonej na sercu, nie jeden, ale dwa listy, albowiem jeden przez lak czepił się drugiego, i posłaniec wydobyl jakby jeden i dopiero później, jeden upuścił na posadzkę.

Oko Chicota ścigało w locie upadający list jak oko kota ściga ptaka w locie.

Widział także jak spadnięcie listu, wywołało rumieniec na twarz posłańca, jak pomięszany podniósł go i jak drugi podał królowi.

Lecz Henryk nic nie widział, on, wzór ufności, w tej chwili na nic nie zwracał uwagi. Otworzył list, który mu podać raczono i czytał.

Posłaniec ze swojej strony widząc króla zajętego czytaniem, zatopił wzrok w jego twarzy i szukał na niej odbicia myśli, jakie interesujące pismo mogło w jego głowie obudzić.

— Ach! panie Boromeuszu—mówił do siebie Chicot, zważając na każde poruszenie oczów wiernego posłańca Gwizyuszów. Ah! jesteś kapitanem i jeden podajesz list królowi, gdy ich masz dwa, zaczekaj, kochanku, zaczekaj!

— Dobrze, dobrze—mówił król, podwakroć czytając każdy wiersz listu Gwizyusza; idź, panie kapitanie i oświadczyć księciu, że wdzięczny mu jestem za ofiarę jaką mi czyni.

— Czy Wasza Królewska Mość nie raczysz udzielić odpowiedzi na piśmie?

— Spodziewam się za miesiąc, a najdalej za sześć tygodni widzieć księcia, zatem mu sam podziękuję. Żegnaj cię, kapitanie.

Kapitan uklonił się i wyszedł z pokoju.

— A widzisz, Chicot—rzecze król do swego towarzysza, o którym sądził, że siedzi w krzesle, przekonaj się, że Gwizyusz do żadnych nie należy intryg. Ten waleczny książę, dowiedziawszy się o sprawach w Nawarze, obawia się, aby hugonoci nie wzniesli głowy, bo słyszał, że Niemcy chcą królowi Nawarry posłać posiłki. Otóż co czyni książę, zgadnij?

Chicot nic nie odpowiedział, a król sądził, że on czeka na dalsze objaśnienia.

— Otóż—mówił dalej—ofiaruje mi armią, którą zaciągnie w Lotaryngii, aby nad Flandryą czuwała; uprzedza mnie więc, że za sześć tygodni wojsko to wraz z wodzem będzie pod moimi rozkazy. Chicot, co na to mówisz?

Nikt nie przerwał milczenia.

— Mój kochany—mówił dalej król—to jest w tobie najgłupszem, że jesteś upartym jak muł hiszpański, a kiedy cię kto przekona, to się dasasz i dasasz jak głupiec.

Nawet najmniejszy oddech nie zaprzeczył Henrykowi zdania, które tak szczerze przyjacielowi objawiał.

Henryk zaś bardziej nienawidził milczenie niż upór.

— Myślę—rzecze—że ten głupiec zasnął. Chicot!—zawoła, zbliżając się do krzesła — król mówi do ciebie, odpowiedz.

Lecz Chicot nie mógł odpowiedzieć, bo go nie było i Henryk zastał puste krzesło.

Oczy króla biegały po całym pokoju, lecz gaszący tu, równie jak w krześle nie było.

Hełm jego znikł razem z nim.

Króla przeszedł trwożliwy dreszcz pomimowoli, albowiem będąc zabobonnym, niekiedy uważał Chicota za istotę nadludzką dobrą, wprawdzie, ale zawsze szatańską.

Przywołał Nambu.

Nambu nic nie miał wspólnego z Henrykiem. Był to umysł silny, jak wszystkich tych, którzy monarchicznych przedpokojów strzegą. Wierzył on w zjawienia i zniknięcia, albowiem tyle ich widział, ale w zjawienia i zniknięcia żywych, nie zaś widziadeł.

Nambu stanowczo upewnił króla, że widział Chicota, wychodzącego na pięć minut czasu przed wyjściem posłannika księcia Gwizyusza.

Tylko że wychodził ostrożnie i cicho, aby go niewidziano.

— Zapewne—rzecze Henryk mijając swoją modlitewnię, pomiarkował się; że nie miał słuszności. — Mój Boże! jak ludzie są drobiazgowi, a nawet, można to o dowcipnych powiedzieć.

Nambu miał słuszność; albowiem Chicot, włożywszy hełm na głowę i przypasawszy miecz, cichutko przebył przedpokój, jednak pomimo wszelkiej ostrożności, nie mógł wstrzymać brzęku ostróg po wschodach, prowadzących z apartamentów do furtki Luwru, brzęku, który wywoływał mnóstwo ukłonów, bo wiedziano

o położeniu Chicota przy królu i często niżej mu się kłaniano niż księciu Andegawowskiemu.

Przy furtce, Chicot zatrzymał się, aby odpiąć ostrogi.

Kapitan księcia Gwizyusza, jakeśmy powiedzieli, w pięć minut wyszedł po Chicocie, żadnej wprzódki na niego nie zwróciwszy uwagi. Zeszedł po wschodach i przebywał dziedziniec dumny i uradowany zarazem; dumny, albowiem stopień dawał mu przewagę w obec szwajcarów i gwardyi arcy-chrześcijańskiego monarchy; uradowany, albowiem król przyjął go tak, że trudno było pomyśleć, aby miał jakie przeciwko Gwizyuszom podejrzenie. W chwili, kiedy miał przejść przez furtkę Luwru, posłyszał brzęk ostróg, który zdawał mu się tylko echem jego własnych.

Przystanął, sądząc, że król kazał go przywołać jeszcze i zadziwił się, poznając pod hełmem pocziwą twarz mieszczanina Roberta Briquet, dawnego znajomego.

Pamiętajmy, że pierwsze spojrzenie sobie w oczy tych ludzi, nie było spojrzeniem sympatyi.

Boromeusz na pół stopy kwadratowej otworzył gębę, jak mówi Robelais i sądząc, że ten, który za nim idzie, chce go zaczepić, przystanął tak, że za dwoma stapaniami, Chicot go dogonił.

Wiadomo zaś jaki krok miał Chicot.

— Co u licha!—rzecze Boromeusz.

— Do djabła!—zowoła Chicot.

— Mój zacny panie.

— Mój czcigodny ojcie.

— Co za hełm!

— Co za kaftan bawoli!

— Cieszę się, że cię oglądam.

— Cieszę się, że cię dogoniłem.

I dwaj znajomi spoglądali na siebie przez kilka sekund z nieprzyjaznym wahaniem, jak dwa koguty, które dla przestraszenia jeden drugiego, nasrożają się.

Boromeusz pierwszy przeszedł w łagodność.

Muskuły jego twarzy wyrównały się z wyrazem szczeroci żołnierskiej, rzecze:

— Przez Boga! podstępny jesteś kumożku, panie Robercie Briquet.

— Ja! zacny ojczy—odpowiedział Chicot—z jakiego, proszę, powodu?

— Z powodu klasztoru Jakobinów, gdzie kazałeś mi uważać się za prostego mieszczanina. Wprawdzie, sto razy musisz być przebieglejszy jak prokurator albo kapitan.

Chicot czuł, że ten komplement nie pochodzi z serca.

— Ah!—odpowie z dobrodusnością—cóż mówić o tobie zacny panie Boromeuszu?

— O mnie?

— Tak, o tobie.

— Dla czego?

— Dla tego, żeś przedstawiał się jako mnich, musisz być stokroć przewrotniejszy niż sam... nie ubliżam ci kochanku, bo dzisiaj...

— Pomyśl co mówisz—rzecze Boromeusz.

— Ja nigdy nie kłamię—odrzekł Chicot.

— Daj rękę.

I podał dłoń Chicotowi.

— Ah! źle się ze mną obszedłeś w klasztorze, bracie kapitanie—rzecze Chicot.

— Myślałem, żeś mieszczanin, a wiesz jaki my żołnierze z mieszczanami mamy kłopot.

— Prawda—rzecze Chicot z uśmiechem—a przecież złowiłeś mnie w łapkę.

— W łapkę?

— Zapewne; bo pod przebraniem zastawiałeś ją; waleczny żołnierz, bez ważnej przyczyny, nie mienia munduru na habit.

— Z szlachcicem—rzecze Boromeusz—nie będę miał tajemnic. — Tak, mam swoje osobiste interesa w klasztorze Jakobinów; ale ty?

— I ja także—odpowie Chicot, ale cicho.

— Czy chcesz o tem nieco pomówić?

— Na honor, pragnę.

— A lubisz dobre wino?

— Lubię, kiedy dobre.

— Słuchaj, znam tu szynczek, jakiego nie ma drugiego w Paryżu.

— I ja także—rzecze Chicot—ale jak się twój nazywa?

— *Róg Obfitości.*

— Ach!—zawołał Chicot.

— Co to znaczy?

— Nic.

— Czy masz co przeciw temu szynckowi?

— Bynajmniej, przeciwnie.

- Ale go znasz?
— Wcale nie znam.
— A czy chcesz iść tam ze mną?
— Najchętniej, nawet zaraz.
— Idźmy więc.
— Gdzież on jest?
— Od strony bramy Bourdelle. Gospodarz jest stary znawca, który doskonale umie rozróżniać podniebienie pańskie i mieszczańskie.
— Czy tam będziemy mogli mówić swobodnie?
— W piwnicy, jeżeli chcemy.
— I nikt nam nie przeszkodzi?
— Możemy drzwi zamknąć.
— Idźmy więc—rzecze Chicot—widzę, że jesteś człowiekiem przezornym i zarówno dobrze widzianym w szynkach jak w klasztorach.
— Czy sądzisz, że jestem w jakim porozumieniu z gospodarzem.
— Tak jakoś wygląda.
— Na honor, nie, i tym razem jesteś w błędzie, pan Bonhomet sprzedaje mi wino kiedy chcę, i ja mu płacę, kiedy mi się podoba. Otóż wszystko.
— Bonhomet — rzecze Chicot — na honor to nazwisko dużo obiecuje.
— I dotrzymuje, idźmy więc, idźmy.
— Ho! ho! — mówił do siebie Chicot, idąc za fałszywym mnichem. — Tutaj, potrzeba przybrać wielce odmienną postać, bracie Chicot, bo gdyby cię Bonhomet poznał, na nicby się wszystko nie zdało.
-

XVI.

Róg obfitości.

Droga, którą Boromeusz prowadził Chicota, przypominała naszemu Gaskończykowi najpiękniejsze dni jego młodości.

W rzeczy samej, wieleż to razy, z pustą głową, szczipłemi łydkami i rękami obwisłemi, jak mówi gminny język, wieleż to razy, Chicot, w czasie zimowym i letnim, pospieszał do tego domu pod *Rogiem Obfitości*, do którego teraz go obcy prowadzi.

Wtedy z kilkoma sztukami złota, lub srebra był szczęśliwszym od pana swojego; szedł sobie swobodny, nie mając ani żony w domu, ani zgłodniałych dzieci przed drzwiami, ani krewnych, co by na niego gderali.

Wtedy Chicot swobodnie zasiadał sobie na ławie, czekał na Gorenflota, albo go już znajdował wachającego przyprawy potraw.

Wtedy Gorenflot ożywał się w mgnieniu oka, a Chicot przytomny i uważający, badał każdy stopień upojenia i pod wpływem dobrego wina, gorąca i nieprzymusu, widział swą młodość tryskającą weselem i uciechą.

Chicot przechodząc koło zakrętu Bussy, wznosił się na palcach, aby ujrzeć dom, który zalecił staraniom Remego; lecz uliczka była kręta i zatrzymywać się

było niegrzecznie; szedł więc za kapitanem Boromeuszem lekkie wydawszy westchnienie.

Wkrótce wielka ulica Ś-go Jakóba ukazała się przed ich oczyma, następnie klasztor Ś-go Benedykta, a na wprost niego dom pod *Rogiem Obfitości*, nieco zabrudzony i zaniedbany, ale zawsze ocieniony na zewnątrz kasztanami, wewnątrz zaś ubrany w świecąca cynę i miedź błyszczącą, które gościom zdają się srebrem i złotem, a które gospodarzowi z kieszeni gości wyławiają te drogie metale.

Chicot po pierwszym rzucie oka na zewnątrz i wewnątrz, zgarbił się i skulił, że zniżał o ćwierć łokcia, wykrzywił jak satyr, i postanowił nie przyznawać się do znajomości pana Bonhomet sądząc, że sam nie będzie poznanym.

Prócz tego, Boromeusz szedł pierwszy, aby mu wskazywać drogę, a na widok dwóch hełmów pan Bonhomet nie zadawał sobie pracy przypatrywać się twarzom.

Jeżeli powierzchowność *Rogu Obfitości* była podszarzana, twarz pana Bonhomet także miała na sobie piętna czasu.

Oprócz zmarszczek na twarzy ludzkiej, które odpowiadają szczerbom i rysom na murach, pan Bonhomet przybrał ułożenie człowieka możnego, nie pozwalające chyba wojskowym zanadto się zbliżać i poufalić.

Lecz oręż zawsze poważał, to była jego słaba strona, nabył tego nawyknienia w części miasta odległej od czujności policyjnej pod wpływem spokojnych Benedyktynów.

W rzeczy samej, ilekroć w jego szacownym zakładzie, zdarzyła się sprzeczka, lub kłótnia, zanim zdołano przywołać patrol, albo szwajcarów, już szabelka nie jedną przecięła skórę i nie jeden brzuch zdziurawiła; tak nieszczęśliwy wypadek przytrafił się sześć czy siedm razy i za każdym razem kosztował pana Bonhomet po 100 franków, szanował więc miecz, a szanował z obawy.

Z innego rodzaju gośćmi sam sobie dawał radę i umiał spory tak godzić, że zapominano ran i skaleczeń i jego brano za arbitra kłótni.

Prócz tego, miał czyste i dobre wino, a nadto, sam go pozwalał szukać w piwnicy, a z tego względu przebaczano mu niektóre fantazyje.

Fantazyje te dawno znajomi przypisywali temu, że pan Bonhomet nie miał szczęścia w domu i bardzo często doznawał kłopotów.

Takie przynajmniej wyjaśnienia czynił Boromeusz Chicotowi co do charakteru gospodarza, którego mieli gościć sprobować.

Charakter pana Bonhomet szkodliwie wpływał na ozdobę jego zakładu; czując go wyższym w gruncie rzeczy nad inne, nie dbał o jego powierzchowność; wniosek ztąd łatwy, że żadna nie zaszła w nim zmiana i Chicot wchodząc do sali ogólnej poznał ją od razu; nie się nie zmieniło w niej, oprócz sufitu, który z szarego poczerniał.

W tym szczęśliwym czasie, traktyernie i winiarnie nie przesiąkały jak dzisiaj, obrzydłym dymem ty-

tuniowym, który odbiera prawdziwy zapach przedmiotom i czyni je mniej przyjemnemi.

Dla tego, pomimo zaniechania i pozornej smętności sala zakładu nie wpływała szkodliwie na zmianę smaku wina, a prawdziwy znawca w świątyni Bachusa znajdował rozkosz oddychając darami, temu bożkowi poświęconemi.

Chicot, jakeśmy powiedzieli, przeszedł za Boromeuszem i dla tego od gospodarza poznanym nie był.

Wiedział, który najciemniejszy kątek sali i znalazłszy go miał się w nim usadowić, gdy Boromeusz go zatrzymał.

— Wszystko to bardzo dobrze, mój przyjacielu—rzecze—lecz za tem przepierzeniem jest mały gabinecik, gdzie dwóch przyjaciół swobodnie może popijać i mówić zarazem.

— Zatem tam idźmy—rzecze Chicot.

Boromeusz dał znak gospodarzowi, jakby go zapotywał.

— A co kumie, czy gabinet wolny?

Bonhomet dał znak, który miał mówić:

— Tak jest.

— Pójdźmy—rzecze Boromeusz.

I prowadził Chicota, który udawał, że się co chwila potyka w małym kurytarzyku, który znają ci, którzy raczyli czytać panią de Monsoreau.

— Tutaj—rzecze Boromeusz—czekaj mnie, a ja pójdę korzystać z przywileju, udzielanego zaufanym zakładu, którego i ty z czasem, więcej znajomy, będziesz mógł użyć.

— Coż za przywilej?—zapytał Chicot.

— Że sam pójdę do piwnicy wybrać wino, które pić mamy.

— Śliczny przywilej—odpowiedział Chicot. Idź. Boromeusz wyszedł.

Chicot ścigał go okiem; jak tylko Boromeusz drzwi zamknął za sobą, Chicot poszedł uchylić obraz, przedstawiający morderstwo kredytu, zabitego przez złych płatników; obraz ten oprawiony w czarne ramy, zasłaniał otwór do wielkiej sali, gdzie można było patrzeć, nie będąc widzianym.

Otwór ten Chicot znał doskonale, bo nawet był jego wynalazkiem.

— Ah!—rzecze—kochanku, ty mnie prowadzisz w miejsce, w którym jesteś zaufany, pakujesz w ką, w którym myślisz, że mnie nikt nie dojrzy, a nie wiesz kochanku, że tu jest dziura, przez którą ja wszystko widzieć mogę. Zobaczymy panie kapitanie, kto z nas mocniejszy.

I wymawiając te słowa, z wyrazem pogardy sobie właściwym, przyłożył oko do szpary, zręcznie wyrobionej w sęku.

Przez tę szparę ujrzał najprzód Boromeusza, ostrożnie kładącego palec na ustach i mówiącego po cichu z gospodarzem, który kiwnięciem głowy na jego żądania przystawał.

Z poruszeń ust kapitana, Chicot wprawny w podobnych razach, odgadł zdanie wymówione, które było tej treści:

— Podaj nam wszystko do gabinetu i chociaż jaki hałas posłyszysz, nie wchodź.

Potem Boromeusz wziął lampkę, wiecznie się palącą na murku, podniósł drzwi w podłodze i zeszedł do piwnicy, korzystając z drugiego przywileju, przyznanego zaufanym zakładowi.

Chicot szczególnym sposobem uderzył w przepięczenie. Słyszając znajome sobie kołatanie, Bonhomet podskoczył na krzesło i nadstawił uszów.

Chicot powtórnie zapukał, a w pukaniu poznać było człowieka, gniewającego się, że go za pierwszym razem nie usłuchano.

Bonhomet pospieszył do gabinetu i znalazł Chicota na nogach z groźnem obliczem.

Na ten widok, Bonhomet krzyk wydał; jak wszyscy, sądził, że Chicot nie żyje i myślał, że widzi przed sobą upiora.

— Co to znaczy, mój panie—rzecze Chicot—od jakiego to czasu ludziom mojego stanu dwa razy wołać pozwalasz?

— Ah! kochany panie Chicot, najprzód mi powiedz czy to ty, czy tylko twój cień.

— Czy ja, czy mój cień — odpowie Chicot — od chwili, jak mnie poznajesz, mój panie, sądzę, że mię powinienes słuchać.

— Zapewne, że nie inaczej, zatem pan rozkazuj.

— Jakikolwiek krzyk posłyszysz w tym gabinecie, panie Bonhomet, nie wchodź, aż chyba cię zawołam.

— To tem będzie dla mnie łatwiejszem—odpowie gospodarz — że to samo zlecenie dał mi pański towarzysz.

— Ale nie on zawoła, rozumiesz mnie, panie Bonhomet; a jeżeli zawoła, to jakby nie wołał.

— Zgoda, panie Chicot.

— A teraz, oddal od siebie wszystkich gości pod jakim bądź pozorem, abyśmy w dziesięć minut byli u ciebie wolni i samotni jak w wielki piątek.

— Za dziesięć minut, panie Chicot, kota nie będzie w moim zakładzie, wyjąwszy twego najniższego sługi.

— Idź, idź Bonhomet, zachowałeś cały mój szacunek—rzecze z powagą Chicot.

— Ah! mój Boże, mój Boże — mówił do siebie wdychając Bonhomet—co się to będzie działo w moim domu?

A ponieważ szedł powoli, spotkał Boromeusza, wychodzącego z piwnicy z sześciu butelkami wina.

— Słyszysz—rzecze do gospodarza—za dziesięć minut żeby nikogo nie było u ciebie.

Bonhomet skłonił pogardliwą zazwyczaj głową i oddalił się do kuchni, myśląc o wykonaniu podwójnych rozkazów swych gości.

Boromeusz przyszedłszy do gabinetu, zastał czekającego Chicota z nogą, wystawioną naprzód i uśmiechem na ustach.

Nie wiemy jak sobie pan Bonhomet poradził, ale w dziesięć minut ostatni chłopiec wyprowadzał kuchcika mówiąc:

— Oh! u naszego pana na burzę się zanosi, uciekajmy, gdzie kto może.

XVII.

Co się działo w gabinecie pana Bonhomet.

Kiedy kapitan wszedł do gabinetu z koszykiem wina w ręku, Chicot przyjął go tak otwarcie i uprzejmie, że Boromeusz miał go za głupca.

Boromeusz spiesznie odkorkowywał butelki, które przyniósł z piwnicy, ale pośpiech jego był niczem, w porównaniu z pośpiechem Chicot'a.

Przygotowania więc nie długo trwały. Obadwaj towarzysze, jak doświadczeni pijacy, zażądali jakiej wędliny, dla podniecenia żądy picia. Wędliny te przyniósł sam Bonhomet, któremu każdy z towarzyszów oddzielne dał znaki.

Bonhomet każdemu z nich odpowiedział; lecz gdyby kto bacznie patrzył na jego znaki oczyma, znalazłby różnicę między odpowiedzią Chicotowi, a Boromeuszowi..

Kiedy Bonhomet wyszedł, towarzysze pić zaczęli. Pewni, że nikt spokoju przerwać nie może, pijący wychylili kilka kieliszków, nie nie mówiąc do siebie. Chicot był doskonały, kiedy niekiedy odzywał się tylko:

— Wyborny Burgond! albo: doskonała szynka!—
i wychylił dwie butelki.

— Na honor—mówił do siebie Boromeusz—szczególniejsze powodzenie spaść na takiego pijanicę.

Za trzecią butelką Chicot wznosił oczy w górę.

— Prawdę mówiąc—rzecze — pijemy, jakbyśmy chcieli jak najprędzej się upić.

— Ah! bo też szynka tak słona—odpowiedział Boromeusz.

— Ale smaczna; nie bój się, przyjacielu, ja mam mocną głowę.

I każdy z nich, znowu wychylił butelkę.

Wino na każdym z dwóch towarzyszy inny sprawiało skutek; rozwiązywało język Chicot'a, a wiązało Boromeusza.

— Ah!—mówił do siebie Chicot—milczysz przyjacielu, nie jesteś pewnym siebie.

— A!—mówił do siebie Boromeusz, gawędzisz, zatem podpiłeś. Wiele potrzebujesz butelek przyjacielu—zapytał Boromeusz.

— Na co?—rzecze Chicot.

— Aby być wesołym.

— Ja dosyć będę miał cztery.

— Ażeby podpić?

— Będzie sześć.

— Ażeby się upić?

— Dwanaście.

— Gaskończyk — pomyślił Boromeusz — papele, a dopiero cztery wypił, kiedy tak, mamy jeszcze zapas—rzecze dobywając z kosza dla siebie i Chicot'a piątą butelkę.

Tylko Chicot uważał, że z pięciu butelek stojących

po prawej stronie Boromeusza, jedne były w pół, drugie w trzeciej części wypróznione, żadna zaś pustą.

To utwierdziło go w myśli, która mu najprzód przyszła, że kapitan złe względem niego miał zamiary.

Powstał, aby wziąć piątą butelkę, którą mu Boromeusz podawał i zachwiał się na nogach.

— Dobrze—rzecze—czy czułeś?

— Co takiego?

— Trzęsienie ziemi.

— Ba!

— Tak czuję.

— Ah! do licha! szczęściem, że dom pod *Rogiem obfitości* mocno zbudowany, chociaż na palach.

— Jakto, na palach?—zapytał Boromeusz.

— Zapewne, bo się obraca.

— Prawda—rzecze Boromeusz—wychylając kieliszek do ostatniej kropelki—czułem skutek, a nie odgadywałem przyczyny.

— Bo nie jesteś łacinnikiem—odpowie Chicot—bo nie czytałeś traktatu, de *Natura rerum*; gdybyś był czytał, byłbyś wiedział, że nie ma skutku bez przyczyny.

— A więc, mój kolego—rzecze Boromeusz—ponieważ jesteś równie jak ja kapitanem, nieprawdaż?

— Kapitanem, od stóp do głowy — odpowiedział Chicot.

— A więc, mój kochany kapitanie—zaczął znowu Boromeusz—ponieważ jak mówisz, nie ma skutku bez przyczyny, powiedz mi, dla czego się przebrałeś?

— Jakto przebrałem?

— Z odzieży, którą nosiłeś, gdyś był u Dom Modesta.

— A jakże tam byłem ubrany?

— Jak mieszczanin.

— Ah! prawda.

— Powiedz mi to naprzód, a potem dalszą naukę filozofii poprowadzisz.

— Chętnie, ale i ty powiesz mi z kolei, dla czego przebierałeś się za mnicha?.. Zaufanie za zaufanie.

— Dobrze.

— Podaj rękę.

I sam podał dłoń kapitanowi.

Ten uderzył w dłoń Chicota.

— Na mnie kolej—rzecze Chicot.

I uderzył w dłoń Boromeusza.

— Dobrze—rzecze Boromeusz.

— Chcesz koniecznie wiedzieć, dla czego byłem za mieszczanina przebrany?—zapytał Chicot, mięszając się w mowie.

— Tak, to mnie obchodzi.

— Ale i ty powiesz z kolei?

— Słowo honoru.

— Kapitańskie słowo? Prócz tego, to rzecz umówiona.

— Prawda, zapomniałem o tem.

— Zatem powiedz.

— We dwóch wyrazach będziesz wiedział o wszystkim.

— Słucham.

— Ja szpiegowałem.

- Jakto, ty szpiegujesz?
- Nie inaczej.
- Więc twoim stanem jest szpiegostwo?
- Broń Boże! ja szpieguję jako amator.
- I cóż szpiegujesz u Dom Modesta?
- Wszystko, najprzód szpiegowałem Dom Modesta, potem brata Boromeusza, potem Jakóba, potem cały klasztor.
- I cóż odkryłeś, godny przyjacielu?
- Odkryłem najprzód, że Dom Modest jest głupiec.
- Tego i szpiegować nie trzeba.
- Za pozwoleniem, bo Jego Królewska Mość Henryk III inaczej utrzymuje, nawet go myśli zrobić biskupem.
- Nic nie mam przeciwko temu; a dalej co odkryłeś?
- Następnie, że niejaki brat Boromeusz nie jest mnichem, ale kapitanem.
- I na prawdę to odkryłeś?
- Na pierwszy rzut oka.
- A dalej co?
- Odkryłem, że brat Jakób uczył się robić rapirem, za nim będzie robił mieczem.
- I to także odkryłeś — rzecze Boromeusz, brwi marszcząc — a cóż więcej?
- Daj mi pić, bo nic więcej sobie nieprzypomnę.
- Czy pamiętasz, że szóstą już zaczynasz butelkę? — rzecze Boromeusz śmiejąc się.

— To też podchmieliłem sobie — odpowie Chicot—czy już mogę rozpocząć wykład filozofii?

— Daj pokój; myśmy tutaj pić przyszli.

— Pijmy więc.

I Chicot napełnił swoją szklanicę.

— A co teraz przypominasz sobie? — zapytał Boromeusz.

— O czym?

— Coś jeszcze widział w klasztorze?

— Do dyabła!

— Cóżś widział?

— Widziałem mnichów, którzy zamiast paciorków mieli miecze i którzy zamiast Dom Modestowi, tobie byli posłuszni.

— Prawda, ale to jeszcze nie wszystko.

— Nie wszystko? ale pić, pić! bo wszystko zapomnę.

A ponieważ butelka Chicota była pustą, podał szklankę Boromeuszowi, aby mu ją ze swojej napełnił.

Chicot duszkiem wychylił.

— A co, przypominasz sobie?—zapytał Boromeusz.

— Tak sędę.

— I cóżś jeszcze widział?

— Widziałem tam spisek.

— Spisek?—powtórzył Boromeusz bledniejąc.

— Tak, spisek—odpowiedział Chicot.

— Przeciwno komu?

— Przeciw królowi.

— W jakim celu?

— W celu porwania go.

- Kiedy?
- Kiedy będzie z Vincennes powracał?
- Do licha!
- Co takiego?
- Nic—aleś to widział?
- Widziałem.
- I uprzedziłeś króla?
- Po to przyszedłem.
- Zatem ty jesteś powodem, że się nie udało?
- Ja sam—odpowie Chicot.
- Ah! do pioruna—rzecze Boromeusz pod nosem.
- Co mówisz?—zapytał Chicot.
- Mówię, że dobry masz wzrok.
- Ba! — odpowie Chicot jękając się — ja jeszcze i coś więcej widziałem, podaj mi jeszcze jedną butelkę wina, a zadziwię cię, mówiąc, co widziałem.
- Boromeusz zadosyć uczynił żądaniu Chicot'a.
- Dobrze, zadziw mnie.
- Naprzód—rzecze—widziałem pana de Mayenne ranionego.
- Co u licha!
- Dalej widziałem wzięcie Cahors.
- Jaktło! wzięcie Cahors!.. więc ztamtąd przybywasz?
- Nie inaczej. Ah! kapitanie, jakież byłby to widok patrzeć na ciebie w czasie rozprawy.
- Nie wątpię o tem; więc byłeś przy królu Nawarry?
- Przy nim samym, jak my jesteśmy.
- I opuściłeś go?

— Aby donieść tę wiadomość królowi francuzkiemu.

— A teraz z Luwru przybywasz?

— Kwandrans przed tobą.

— Ponieważ nie rozdzielaliśmy się od tego czasu, nie mam potrzeby pytać, coś widział od naszego spotkania się w Luwrze.

— I owszem, pytaj, pytaj, bo na honor, to bardzo ciekawe.

— Powiedz więc.

— Powiedz, powiedz—odrzecze Chicot—to łatwo bardzo mówić: powiedz!

— Spróbuj.

— Jeszcze szklanke wina, żeby mi się język rozwiązał, tylko pełną. Otóż widziałem koleżko, że wydobywając list do Jego Królewskiej Mości, drugi upuściłeś na ziemię.

— Drugi?—zawoła Boromeusz podskakując.

— Tak—odpowie Chicot—który tu jest.

I kilka razy machnąwszy ręką, palcem dotknął kaftana Boromeusza, w miejscu, w którym się list znajdował.

Boromeusz zadrżał, jakby go kto rozpalonem dotknął żelazem.

— Ah!—rzecze—tylko tego brakowało!

— Czego?

— Żebyś to widział?

— Co?

— Do kogo ten list adresowany?

— Otóż ci powiem — rzecze Chicot, obudwoma

rękami opierając się na stole — adresowany jest do księżnej de Montpensier.

— Na rany Chrystusa!—zawołał Boromeusz—ale sądzę, nic o tem nie mówiłeś królowi?

— Nie mówiłem, ale powiem.

— Kiedy?

— Jak się prześpię.

I na ręce, skłonił głowę.

— I wiesz, że ja mam list do księżnej Montpensier—zapytał kapitan głosem stłumionym.

— Wiem doskonale—przebąknął Chicot.

— I gdybyś mógł utrzymać się na nogach, poszedłbyś do Luwru?

— Poszedłbym do Luwru.

— Wydać mnie?

— Tak, wydać cię.

— I ty nie żartujesz?

— W czym?

— Że jak się tylko przespisz...

— Cóż dalej?

— Że król będzie wiedział o wszystkim?

— Kochany przyjacielu—odpowie Chicot, wznosząc głowę i wpatrując się w Boromeusza — ty jesteś spiskowym, a ja szpiegiem; ty knujesz spisek, ja o tem donoszę. Każdy wypełnia swoje rzemiosło. Do widzenia, kapitanie; dobra-noc.

I mówiąc te słowa, Chicot nie tylko dawniejszą przybrał postawę, ale tak się usadowił przy stole, że oparłszy głowę na rękach, grzbiet tylko widzieć dawał.

— Ah!—rzecze Boromeusz, z zapłonionemi oczyma patrząc na towarzysza — ty mnie chcesz wydać kochanku?

— Jak się tylko przebudzę przyjacielu—odpowie Chicot.

— Ale czy się przebudzisz, pytanie! — zawołał Boromeusz.

I w tym samym czasie silnie uderzył w krzyż Chicota szyjką od butelki, sądząc, że go na wylot przebije.

Lecz Boromeusz sądził, że Chicot nie ma na sobie koszulki żelaznej, której od Dom Modesta pożyczył.

Szyjka pękła o kółka żelazne koszulki, której Chicot powtórnie winien był życie. Prócz tego, zanim morderca przyszedł do siebie ze zdumienia, prawa ręka Chicot'a wyciągając się jak sprężyna, opisała półkole i uderzyła pięścią w twarz Boromeusza, który potoczył się i krwią obłany na mur upadł.

Lecz podniósł się natychmiast i dobył miecza.

Ten sam czas dostatecznym był dla Chicota, aby powstał i uzbroił się.

Upojenie od wina znikło jakby cudem. Chicot trzymał się wsparty na lewej nodze, patrzył wprost i rękę wyprężył, będąc gotowym na odparcie wroga.

Stół, jakby pole bitwy na którym stały próżne butelki, przedzielał dwóch nieprzyjaciół i był dla nich niejako szańcem.

Widok krwi, płynącej z nosa na twarz i z twarzy na ziemię, rozjątrzył Boromeusza, że tracąc przytom-

ność, rzucił się na nieprzyjaciela tak blisko, jak stół pozwalał.

— Przekłete bydlę—mówił Chicot—przekonaj się jak jesteś pijany, kiedy z jednego końca stołu na drugi dostać nie możesz, moja zaś ręka o sześć cali dłuższa od twojej i miecz dłuższy tem samem od twego, przekonaj się.

I Chicot z szybkością błyskawicy wyciągnął rękę i Boromeusza ukłół w czoło.

Boromeusz krzyknął więcej z gniewu jak z bólu, że zaś był junak niepospolity, natarł zapalczywie.

Chicot po drugiej stronie stołu wziął krzesło i usiadł spokojnie.

— Mój Boże, jak ci wojacy są głupi!—rzecze, wznosząc ramiona — powiadają, że umieją bronią robić, a każdy mieszczanin, gdyby tylko chciał, mógłby ich zabijać jak muchy! Dalej, bo mnie widzę chce oslepić. Ah! kochanku, na stół włączysz, tego tylko brakowało. Ale ostrożnie, bo straszne są pchnięcia z dołu, i żebym cię przekonał, nadzieję jak królika.

I ukłół go w brzuch jak dawniej w czoło.

Boromeusz ryknął wściekle i ze stołu zeskoczył.

— Dobrze—rzecze Chicot—teraz jesteśmy na równinie i możemy ścierając się mówić: Ah! kapitanie, to oprócz spisków i mordować umiesz?

— Czynię to dla mojej sprawy, co ty dla twojej—odrzecze Boromeusz, zbierając myśli i pomimowoli patrzając na siejące iskry oczy Chicota.

— Otóż tak się mówi kochanku. Ale pomimo tego widzę, żeś więcej wart od ciebie.

Boromeusz zadał raz Chicotowi, który go w piersi ugodził.

— Oh! znam to pchnięcie kochanku, to to samo, któregoś uczył Jakóba. Ale powiadam ci, że więcej jestem wart od ciebie, bo ja nie zaczynałem walki, chociaż serdeczną miałem ochotę, zo więcej pozwoliłem ci spełnić twój zamiar, nadając mojemu ciału stosowną do tego postawę, teraz nawet zasłaniam się tylko i chcę z tobą wejść w układy.

— Żadnych!—wykrzyknął Boromeusz, rozjuszony spokojnością Chicot'a.

I dał pchnięcie, któreby gaskończyka na wylot przebiło gdyby ten, przy pomocy długich nóg, w bok nie zrobił kroku.

— Zawsze jednak powiem ci mój projekt — rzecze—żebym nie miał sobie do wyrzucenia.

— Milcz—rzecze Boromeusz—to nadaremnie.

— Słuchaj—rzecze Chicot—to dla mojego sumienia, nie pragnę krwi twojej, rozumiesz? I nie chcę cię zabijać, chyba w ostateczności.

— Zabij, jeśli możesz—odpowie wściekły Boromeusz.

— Już raz w mojem życiu zabiłem tobie podobnego zucha, nawet powiem, że większego od ciebie. Ty go znasz pewnie, bo do Gwizyuszów należał i był adwokatem.

— Ah! Mikołaj Dawid—mruknął Boromeusz, biorąc się odpornie.

— Nieinaczej.

— I ty go zabiłeś?

— Ja, i tylko ślicznem pchnięciem, które tobie pokażę, jeżeli na układ nie przystaniesz.

— Jakiż to układ? zobaczymy.

— Przejdiesz ze służby księcia Gwizyusza do służby królewskiej, nie opuszczając jednak Gwizyusza.

— To jest zostanę szpiegiem jak ty?

— Bynajmniej, jest w tem różnica: mnie nie płacą, a ty będziesz płacony, pokażesz mi list Gwizyusza do księżnej Montpensier; pozwolisz go skopjować, a ja cię aż do nowej sposobności, spokojnym zostawię. A co? czy zgoda?

— Masz—rzecze Boromeusz—oto moja odpowiedź.

Odpowiedzią Boromeusza było pchnięcie, tak szybko wykonane, że koniec miecza zadrasnął ramię Chicota.

— Hola! hola!—rzecze Chicot—widzę, że chcesz koniecznie, żebym ci pokazał pchnięcie Mikołaja Dawida! To rzecz piękna i bardzo prosta.

I Chicot, do tej pory trzymający się odpornie, postąpił naprzód i zaczął nacierać.

— Oto pchnięcie—mówił Chicot—robię fałszywe natarcie w czterech poruszeniach.

I zrobił je. Boromeusz osłaniał się odpierając natarcia, lecz widząc się na nowo zagrożonym, cofnął się w tył i musiał zatrzymać, albowiem za nim było przepierzenie.

— To źle, że opisujesz koło, moja pięść lepsza od twojej; oto nacieram, pilnuj się, bo cię dotknę, albo raczej zabiję.

W rzeczy samej, poruszenie było tak spieszne, że

pchnięcie ugodziło w pierś Boromeusza, prześliznęło się jak igła pomiędzy bokami i utkwilo z łoskotem w tarcicę przepierzenia.

Boromeusz wyciągnął ręce i miecz opuścił, oczy jego krwią nabiegły, gęba otwarta i czerwona piana ukazała się na ustach: pochylił głowę na ramię z jękiem do harkania podobnym, nogi się pod nim zachwiały i ciało spadając ku ziemi powiększało ranę nie odrywając się od przepierzenia tak, że nieszczęśliwy wyglądał jak ogromny nietoperz, trzepoczący nogami.

Chicot zimny i obojętny, jakim był zazwyczaj w ważnych okolicznościach, nadewszystko, kiedy w głębi serca był przekonany, że dopełnił tego, co mu sumienie kazało, wyjął miecz utkwiony horyzontalnie w desce, odparował kapitana, odpiął jego kaftan i wydobył z niego list z tym adresem:

Do Księżnej Montpensier.

Tymczasem krew strumieniem płynęła z rany i boleść konania objawiała się na twarzy ranionego.

— Umieram—jęknął.—Panie miej litość nademną.

To ostatnie odwołanie się do miłosierdzia Boskiego, dokonane przez człowieka, który może w ostatniej dopiero chwili o niem pomyślał, rozczuliło Chicot'a.

— Miejmy litość—rzecze—a ponieważ ten człowiek ma umrzeć, niech przynajmniej jak najlepiej umiera.

I zbliżając się do przepierzenia, wydobył z niego

miecz, podtrzymując ciało Boromeusza, aby się nie rozbiło o ziemię.

Ale ta przezorność była zbyt czułą; spieszna i lodowata śmierć już oświadczyła członkami pokonanego, nogi zachwiały się pod nim; ześliznął się po rękach Chicota i ciężko upadł na ziemię.

Po tem wstrząśnieniu strumień krwi wypłynął z rany, a z nim reszta życia Boromeusza uciekła.

Wtedy Chicot otworzył drzwi i pana Bonhomet przywołał.

Wołać nie było potrzeba dwa razy; zacny gospodarz słuchał za drzwiami i słyszał z kolei łoskot stołu i ławek, szcęk mieczy i upadanie ciężkiego ciała: prócz tego ten czcigodny człowiek zanadto dobrze znał wojskowych, a mianowicie charakter Chicota, aby się nie domyślił, co się tam dzieje.

Tego tylko nie widział, który z dwóch przeciwników powalonym został.

Trzeba powiedzieć na pochwałę pana Bonhomet, że jego twarz przybrała wyraz prawdziwej radości, kiedy usłyszał głos Chicota i kiedy ujrzał, że zdrów i cały drzwi mu otwiera.

Chicot, przed którym nic nie uszło, spostrzegł ten wyraz i był wdzięcznym za niego.

Bonhomet drżący wszedł do gabinetu.

— Ah! Jezus Marya! — zawołał, widząc kapitana we własnej krwi pływającego.

— Mój Boże — rzecze Chicot — patrzaj co się to z ludźmi dzieje; poczciwy kapitan jest chory.

— Ha! ha! ha! panie Chicot!—zawołał pan Bonhomet, zanosząc się od śmiechu.

— No i cóż?—zapyta Chicot.

— Na co sobie było mój dom obierać do podobnej egzekucyi?.. taki piękny kapitan!

— Tobys wolał, żebym ja leżał na ziemi?

— Oh! nie, nie, nigdy—zawołał gospodarz z głębi serca.

— A jednak stać się to mogło, gdyby nie Boska opatrność.

— Czy tak?

I zniżył się przed gospodarzem, tak, aby ten mógł widzieć jego ramiona.

Na krzyżu kaftan Chicota był przedziurawiony i plama czerwona, okrągła, wielkości talara brzegi dziury zaczerwieniła.

— Krew!—zawołał Bonhomet — krew! pan jesteś raniony!

— Zaczekaj, zaczekaj.

I Chicot zdjął kaftan, a następnie koszulę.

— Teraz patrz—rzecze.

— Ah! jakie szczęście, żeś pan miał zbroję na sobie; widać, że ten zbrodniarz chciał pana zamordować?

— Zapewne, że nie ja zrobiłem sobie ranę pomiędzy ramionami; teraz co widzisz?

— Kółka połamane.

— Silny był pan kapitan. A pod zbroją co się dzieje?

— Ciało skrwawione.

— Kiedy tak, to zdejmij broń—rzecze Chicot.

Chicot zdjął broń i obnażył krzyż, składający się z kości, na których skóra była powleczoneą.

— Ah! panie Chicot—zawołał Bonhomet — masz ranę wielką jak talerz.

— To krwią nabiegło; ale mniejsza o to, daj mi białą koszulę, nalej w szklankę wina i oliwy i obmyj mi przyjacielu ranę.

— Ale to ciało, panie Chicot, co z niem zrobimy?

— Niech cię to nie obchodzi.

— Jak mnie nie ma obchodzić?

— Bynajmniej, daj mi pióra i papieru.

— Zaraz, kochany panie Chicot.

I Bonhomet wybiegł z gabinetu.

Tymczasem Chicot, który widać nie miał czasu do stracenia, koniec noża rozgrzewał przy lampce i odejmował nim pieczętkę listu.

Następnie, gdy go nic nie zatrzymywało, wyjął list z koperty i odczytał z widocznym zadowoleniem.

Kiedy skończył czytanie pan Bonhomet wracał z winem, oliwą, papierem i piórem.

Chicot postawił przed sobą kałamarz, położył papier i usiadł tyłem do Bonhometa.

Bonhomet zrozumiał dany znak i wziął się do obmywania rany.

Kiedy Bonhomet obmywał ranę, Chicot przepisywał list Gwizyusza do siostry i każdy wyraz rozbrajał.

List był tej treści:

„Kochana siostro! wyprawa do Antwerpii dla

wszystkich się powiodła, wyjąwszy dla nas; będą ci mówić, że książę Andegaweński zginął, nie wierz temu, bo żyje.

„Żyje, rozumiesz? i w tem cała jest kwestya.

„Cała dynastya w tych dwóch wyrazach; te dwa wyrazy oddzielają dom Lotaryngski od tronu francuzkiego, a oddzielają niezglębioną przepaść.

„Jednakże nie troszcz się tem bardzo, odkryłem, że dwie osoby, które sądzono, że umarły, żyją i jest wielka nadzieja zgonu księcia w tych dwóch osobach.

„Myśl więc tylko o Paryżu, za sześć tygodni przyjdzie czas, że liga działać pocznie; niechaj więc sprzymierzeni wiedzą, że chwila się zbliża i niech będą gotowi.

„Wojsko jest na stopie; liczymy dwanaście tysięcy ludzi pewnych i dobrze uzbrojonych; wejdę z nimi do Francyi pod pozorem pobicia hugonotów niemieckich, którzy mają dać pomoc Henrykowi Nawarry; pobije hugonotów i wszedłszy do Francyi jak pan, będę nią rządził.“

— Ho! ho!—rzecze Chicot.

— Może cię panie uraziłem?—zapytał Bonhomet, przestając opatrywać ranę.

— Trochę, mój pocziwcze.

— To będę lżej smarował, bądź pan spokojny.

Chicot czytał dalej:

P. S. „Zupełnie potwierdzam twój plan co do Czterdziestu pięciu; tylko pozwól sobie powiedzieć, kochana siostrzo, że więcej tym głupcom czynisz honoru, niż na to zasługują.

— Do diabła!—rzecze Chicot—to za ciemno.

I powtórnie odczytał.

„Zupełnie potwierdzam twój plan co do Czterdziestu pięciu...

— Jaki plan?—zapytał siebie Chicot.

„Tylko pozwól sobie powiedzieć, kochano siostrze, że więcej tym głupcom czynisz honoru, niż na to zasługują.“

„Twój przywiązany brat,

H. Lotaryngski.

— Nakoniec—rzecze Chicot—wszystko się wyjaśniło oprócz post-scriptum. Dobrze, będziemy nad tem czuwać.

— Panie Chicot — odważył się odezwać Bonhommet, sądząc, że Chicot pisać przestał—nie raczyłeś mi powiedzieć, co mam z tym trupem uczynić.

— To rzecz bardzo prosta.

— Dla pana, który tak wiele masz imaginacyj, ale nie dla mnie.

— A więc, przypuśmy na przykład, że ten nieszczęśliwy kapitan pokłócił się na ulicy ze szwajcarami albo rajcarami i że go tutaj przyniesiono rannego, czybyś odmówił przyjęcia go?

— Zapewne że nie, byleś mi tego panie Chicot nie bronił.

— Przypuśmy, że przyniesiony tutaj, pomimo danego mu ratunku na twoich rękach umarł? Czy twoja w tem wina?

— Zapewne, że nie.

— I zamiast wyrzutów, godzieneś pochwał za

twoją ludzkość i gościnność, przypuścemy jeszcze, że umierając, biedny kapitan wymówił imię znajome tobie, imię przeora Jakobinów.

— Imię Dom Modesta Gorenflot?—zawołał Bonhomet z podziwieniem.

— Tak, Modesta Gorenflot. A więc, pójdę uprzedzić Dom Modesta, Dom Modest przybiegnie i znajdzie w kieszeniach umarłego kieskę, rozumiesz? znajdując zaś kieskę i list, nikt najmniejszego podejrzenia mieć nie może.

— Rozumiem, panie Chicot.

— Prócz tego, zamiast kary, otrzymasz nagrodę.

— Wielkim jesteś człowiekiem, panie Chicot, biegnę do przeorstwa Ś-go Antoniego.

— Zaczekaj, wszak mówiłem o kiesce i o liście.

— Ah, list, pan go masz w ręce.

— Nieinaczej.

— Nie trzeba mówić, że go przeczytano i przepisano?

— Właśnie za to, że ten list będzie nietknięty, otrzymasz nagrodę.

— Więc jest tajemnica w tym liście?

— W dzisiejszym czasie wszędzie są tajemnice, panie Bonhomet.

I Chicot po tej treściwej odpowiedzi przykleił na list pieczętkę, tak, że najbystrzejsze oko śladu jej ruszenia dojrzeć nie mogło.

Poczem włożył list w kieszeń umarłego, kazał sobie na ranę przyłożyć płaty, umaczane w winie i oli-

wie, wdział koszulę, na nią zbroję, podniósł miecz, obtarł go, włożył do pochwy i oddalił się.

Później powracając dodał:

— Jeżeli bajka, jaką wymyśliłem, nie dobrą ci się wydaje, można oskarżyć kapitana, że się sam przebił.

— Sam?

— To nie obwinia nikogo, rozumiesz.

— Ale biedaka nie pochowają na cmentarzu.

— Albo to będzie krzywda dla niego?

— Ja tak sądzę.

— Rób więc, jak ci się podoba. Bądź zdrow.

I jeszcze raz powrócił.

— Zapomniałem; ja muszę zapłacić, bo on nie żyje.

I rzucił trzy talary na stół.

Poczem wskazujący palec położył na ustach na znak milczenia i wyszedł.

XVIII.

M ą ż i K o c h a n e k.

Nie bez silnego wzruszenia Chicot ujrzał ulicę Augustyanów spokojną i pustą, kąt uformowany przez gromadę domów, wyprzedzających jego mieszkanie, a nakoniec jego ukochany domek z trójkątnym dachem, spróchniałym balkonem i rynnami, ozdobionymi w smoki.

Tak lękał się, aby pustego placu na miejscu tego domu nie zastał, tak obawiał się, aby całej ulicy kiedykolwiek pożar nie strawił, bo ulica i dom zdawały mu się wzorem czystości, wdzięku i przepychu.

Chicot ukrył w wydrążeniu kamienia, służącego za podstawę jednej z kolumn jego balkonu, klucz od ulubionego domku. W owym czasie klucze od kufrów, szaf lub innych sprzętów w wadze wyrównywały kluczom od bram domów; biorąc zaś stosunek, klucze od domów były tak wielkie, jak dziś klucze od miast.

Obliczył więc, ile by go utrudzało nosić w kieszeni klucz tak ogromnej wagi i objętości i dla tego postanowił go ukryć w miejscu o którym mówiliśmy.

Klucz był w miejscu gdzie go Chicot zostawił.

Toż samo było ze sprzętami w pierwszym pokoju, z deską przybitą do podłogi i tysiącem talarów spokojnie spoczywających w dębowej szkatulce.

Chicot nie był skąpy, ale nawet rozrzutny; często obiema rękami rozrzuczał złoto, poświęcał materializm idei ducha, co zawsze jest filozofią człowieka jakiej takiej wartości; lecz duchowość na chwilę przestała władać materyą, czyli nie potrzebowała pieniędzy, to jest, kiedy zawieszenie broni panowało w duszy Chicota, a ta dusza pozwalała ciału żyć i używać złota, ten pierwszy nieustanny i wieczny źródło rozkoszy zwierzęcych odzyskiwał wartość w oczach naszego filozofa i nikt lepiej od niego nie wiedział na ile smacznych kąsek da się podzielić całość nazwana talarem.

— Na honor—mówił Chicot schylony na środku

pokoju, mając przy sobie odbitą z podłogi tarcicę i skarb przed oczyma—na honor godnego mam sąsiada, który i sam mój skarb szanował i drugim szanować kazał; prawdę mówiąc, jest to w dzisiejszym czasie rzadka zaleta. Winienem podziękować temu grzecznemu człowiekowi i dziś w wieczór jeszcze tego dopełnię.

I ukrywszy pieniądze, i przybiwszy deskę, zbliżył się do okna i spojrział wprost przed siebie.

Dom miał jak zawsze barwę szarą i posępną, którą imaginacja udziela jako zwyczajną gmachom, których znamy charakter.

— Sądzę, że nie musi być godzina snu — rzecze Chicot—a prócz tego ci ludzie nie bardzo muszą być do snu usposobieni. Zobaczmy.

I zeszedł na dół przygotowując wdzięczny uśmiech na twarzy, zanim do drzwi sąsiada zapuka. Zauważył szelest na schodach i szybkie stąpanie, zaczął przeto dość długo, nim powtórnie zapukał.

Tym razem drzwi się otworzyły i jakiś mężczyzna ukazał się w cieniu.

— Dobry wieczór—rzecze Chicot wyciągając rękę—powróciłem i przychodzę powitać cię, mój zacny sąsiedzie.

— Co takiego?—odpowie głos niepewny, którego akcent zadziwił Chicota.

Jednocześnie mężczyzna, który drzwi otwierał, w tył się cofnął.

— Przepraszam—rzecze Chicot—to nie pan by-

Łeś moim sąsiadem, kiedym wyjeżdżał, ale pomimo tego, zdaje się, że znam pana.

— I ja także—odpowie młodzieniec.

— Pan jesteś vice - hrabia Ernauton de Carmainges.

— A pan jesteś chyba widmem.

— Prawda, jakby z obłoków spadam.

— Koniec końcem, czego pan żądasz? — zapytał młodzieniec z niejaką cierpkością.

— Przepraszam, może panu przeszkadzam?

— Bynajmniej, tylko proszę mi powiedzieć, czego żądasz?

— Nic, tylko chciałem mówić z panem domu?

— A więc pan mów.

— Jakto?

— Bo panem domu ja jestem.

— Pan? i od jakiego czasu?

— Od trzech dni.

— Dom więc był do sprzedania.

— Zapewne, skoro go kupilem.

— A dawny właściciel?

— Jak pan widzisz, już tu nie mieszka.

— A gdzie się znajduje?

— Zupełnie nie wiem.

— Lepiej się porozumiejmy—rzecze Chicot.

— Ja lepiej nie potrzebuję—odpowiedział Ernauton z wyraźną niecierpliwością — ale mówmy przed zj.

— Dawny właściciel był człowiekiem, mającym lat dwadzieścia pięć do trzydziestu.

— Bynajmniej, był to starzec siedmdziesięcioletni.

— Łysy?

— I owszem, miał gęste siwe włosy.

— Miał ogromną bliznę po lewej stronie twarzy.

— Nie widziałem blizny, ale bardzo wiele zmarszczek.

— Nic z tego nie pojmuję—rzecze Chicot.

— Nakoniec — odezwie się Ernauton po chwili milczenia—czegóż pan żadasz od tego człowieka?

Chicot chciał szczerze powiedzieć po co przyszedł, lecz tajemnicze zjawienie się Ernautona przypomniało mu pewne przysłowie.

— Chciałem go odwiedzić jak sąsiada—rzecze.

Tym sposobem, Chicot nie kłamał i nic nie powiedział.

— Mój kochany panie—rzecze Ernauton z grzecznością, lecz znacznie zmniejszając otwór drzwi, które trzymał na wpół przymknięte—bardzo mi przykro, że nie mogę dać dokładniejszych objaśnień.

— Dziękuję panu — rzecze Chicot — dowiem się gdzieindziej.

— Lecz — mówił dalej Ernauton coraz bardziej drzwi przymykając—to jednak przyjemnie jest dla mnie, że zbliżyłem się z tobą.

— Wolalbyś, żebyś mnie nigdy nie widział—pomruknął sobie Chicot, oddając ukłon za ukłon.

Jednak, pomimo tej odpowiedzi, Chicot roztagoniony zapomniał oddalić się, Ernauton zaś zamykał drzwi, mówiąc:

— Do widzenia.

— Jeszcze chwilę panie de Carmainges — rzecze Chicot.

— Żałuję mocno — odrzekł Ernauton — że czekać nie mogę; czekam tu na pewną osobę, która byłaby obrażoną, gdyby ją przyjmowano publicznie.

— Ah! rozumiem — odpowiedział Chicot — oddalam się i przepraszam, żem był natrętny.

— Żegnam pana.

— Do widzenia.

I Chicot, zwolna się cofając, widział, jak mu drzwi przed nosem zamknięto.

Słuchał czy podejrzliwy młodzieniec czatuje na jego odejście; lecz Ernauton wchodził na wschody; Chicot więc udał się do swego domu i w nim się zamknął z postanowieniem szanowania spokojności nowego sąsiada, ale zarazem według swojego zwyczaju nie się uszczania go z oka.

W rzeczy samej Chicot nie był człowiekiem, który usypia, kiedy mu się coś ważnego przytrafi, bez rozważenia i rozebrania wypadku; pomimowoli, a może było to skutkiem jego organizmu, doznane wypadki ustawicznie snuły mu się przed oczyma i przedstawiały jak trupy do anatomicznego rozbioru.

Do tego czasu głównie go zajmowało wyrażenie w liście Gwizyusza: „Zupełnie zatwierdzam twój plan co do Czterdziestu pięciu“, lecz nie mogąc go zrozumieć, odłożył na stronę i nową myśl wziął pod rozwagę.

Chicot zaczął myśleć, dla czego Ernauton zajął tajemniczy domek, którego mieszkańcy nagle zniknęli.

Tem bardziej że do pierwotnych mieszkańców mogło się stosować wyrażenie Gwizyusza względem księcia Andegaweńskiego.

Był to wypadek godny uwagi, a Chicot wierzył w wypadki, będące dziełem Opatrzności.

Rozwijał nawet w tym względzie dosyć dowcipną teorią.

Zasadą tej teorii była myśl, która, naszym zdaniem, warta była innej.

Otóż ta myśl:

— Wypadek jest środkiem Boga.

Wszechmocny tylko w ważnych okolicznościach tego środka używa: nadewszystko, kiedy widzi, że ludzie są dosyć przezorni i umiejętni, że umieją obliczyć następstwa z porządku rzeczy wynikające.

Bóg zaś lubi, albo raczej lubić musi niszczyć dumne zamiary, które raz ukarał, topiąc ludzi, a które może ukarze paląc ich.

Bóg więc, mówimy, albo raczej tak mówił Chicot, Bóg lubi mięsząc dumne zamiary za pomocą żywiołów ludziom nieznanym, których siły nie są w stanie obliczyć.

Ta teoria, jak widzimy, obejmuje obszerne argumenta i może dostarczyć świetnych zadań do rozwiązania; lecz zapewne czytelnik woli równie jak Chicot, zamiast badań filozoficznych dowiedzieć się, co robi Ernauton w swoim domku. Chicot więc rozważał dla czego znajduje Ernautona tam, gdzie dawniej widział Remego.

Rozważał to z dwóch przyczyn: najprzód że ci

dwaj ludzie nie znali się i dla tego musiał być pomiędzy niemi pośrednik, nieznanym Chicot'owi.

Powtóre, że dom został kupiony przez Ernautona, który nie miał pieniędzy.

— Prawda — rzecze Chicot, siadając jak tylko może najwygodniej na rynnicy, zwyczajnem swoim stanowisku — prawda, że młodzieniec powiada o odwiedzinach, i że te odwiedziny mogą być od kobiety, bo dziś bogate panie wiele sobie pozwalają. Ernauton jest młody, piękny i wytworny; Ernauton mógł się podobać i dla schadzek kazano mu kupić ten domek; kupił więc i przyjął schadzkę. Ernauton — mówił dalej Chicot — żyje na dworze i jakaś dama dworu kocha go. Biedny chłopiec, czy tylko jest kochany? wszystko mi się zdaje, że wpadnie w przepaść. Gdybym mu wyciął moralną prawdę? ale moralność w tym razie bywa bezużyteczną i głupią — bezużyteczną, bo jej nie będzie słuchał, głupią, bo lepiej poszedłbym spać i pomyślał o tym biednym Boromeuszu. Właśnie — mówił dalej Chicot zasepiając się, jedną rzecz widzę: że nie ma wyrzutów sumienia i że to uczucie jest względne; dowód, że zabicie Boromeusza nic mi nie wyrzuca, a zajmuje mnie położenie pana de Carmainges; myślę nawet, że gdyby Boromeusz przybił mnie do stołu, jak ja przybiłem go do ściany, równie nie miałby nic sobie do wyrzucenia.

Właśnie w tym punkcie rozumowania był Chicot, gdy z zamyślenia wyrwało go przybycie lektyki ze strony zajazdu pod *Pięknym Rycerzem*.

Lektykę postawiono na progu tajemniczego domu.

Dama, cała zasłonięta, wysiadła z niej i znikła we drzwiach, które Ernauton na wpół otworzył.

— Biedny chłopiec—rzecze Chicot—wcale się nie myliłem, on oczekiwał kobiety. Kedy tak, to idę spać.

I mówiąc to, powstał, ale nieruchomym przez jakiś czas pozostał.

— Mylę się — rzecze—ja wcale nie będę spał i utrzymuję co dawniej powiedziałem: jeżeli nie śpię, to nie dla tego abym doznawał wyrzutów sumienia, ale ze mnie ciekawość pali i jeżeli pozostanę na swoim stanowisku, to tylko dla tego, abym się dowiedział, co to za piękność zaszczyca mojego Ernautona. Lepiej uczynię, gdy się nie będę kładł, bo gdybym się położył, znowu bym wstawał.

I znowu usiadł.

Prawie godzina upłynęła, a trudno było powiedzieć czy Chicot myślał o nieznajomej piękności, czy o Boromeuszu, tak był zajęty myślami, gdy naraz posłyszał na końcu ulicy tentent pędzącego jeźdźca.

W rzeczy samej ukazał się jeździec okryty płaszczem.

Zatrzymał się na środku ulicy i zdawał się rozpastrywać.

Spostrzegłszy niosących lektykę, zbliżył się do nich, a wtedy miecz mu zabrzączał u boku.

Tragarze chcieli go zatrzymać; lecz on szepnął im kilka wyrazów i nie tylko przepuścili go, ale nawet jeden z nich odebrał lejce od niego.

Nieznajomy postąpił ku drzwiom i mocno do nich zapukał.

— Przez Bogal—rzecze Chicot—jakżem dobrze uczynił, żem tu pozostał. Moje przeczucia, które mi mówiły, że tu zajdzie coś ważnego, wcale mnie nie omyliły. Biedny Ernautonie, otóż i mąż. Będziemy świadkami niepospolitej bójki! Jednak, jeżeli mąż, to dobrze robi, że tak mocno puka.

Pomimo urzędowego pukania, nie otwierano wcale.

— Otworzyć!—wołał pukający!

— Otworzyć!—wołali tragarze.

— To mąż zapewne—mówił do siebie Chicot—zagroził widać tragarzom, że ich oćwicy albo powiesi i oni są za nim. Biedny Ernauton, żywcem go chyba ze skóry obedrą! Oh! na to nigdy nie pozwolę; bo kiedy on mi niósł pomoc i ja o nim zapomnieć nie mogę.

Chicot był wspaniałym, z pewnem postanowieniem a do tego, ciekawy; odpasał więc długi miecz, wziął go pod pachę i spiesznie zeszedł ze schodów.

Chicot umiał otwierać drzwi bez skrzypienia, co jest koniecznem dla każdego, kto chce podsłuchiwać z korzyścią.

Staął pod kolumną balkonu i czekał.

Zaledwie stanął, aliści drzwi domku otwarły się na jeden wyraz, który nieznajomy cicho, przez dziurkę od klucza wymówił; jednak pozostał na progu, a po chwili i nieznajoma pani się ukazała.

Jeździec wziął ją pod rękę i odprowadził do le-
ktyki, zamknął ją i wsiadł na konia.

— Nie ma co wątpić, to mąż—rzecze Chicot—je-

dnak poczciwa dusza, że nie szuka pana Ernautona, aby go żywcem rozszarpał.

Lektyka puściła się w drogę a za nią jeździec.

— Na Boga, muszę iść za nimi—rzecze Chicot — muszę wiedzieć, co to za jedni i gdzie się udają, zawsze z tego wyciągnę radę dla mojego przyjaciela pana de Carmainges.

W rzeczy samej Chicot udał się za orszakiem, uważając na to, aby się trzymać ścian murów i stąpieniem nie sprawić łoskotu.

Wielkie było zadziwienie Chicota, kiedy ujrzał lektykę, zatrzymującą się przed zajazdem pod *Pięknym Rycerzem*.

Prawie zaraz, jakby kto czuwał tam, brama się otworzyła.

Nieznajoma wysiadła z lektyki i weszła na wieżyczkę, której okno było oświetlone.

Mąż szedł za nią.

Przed nimi szła pani Fournichon ze świecą w ręce.

— Teraz—rzecze Chicot, krzyżując ręce—nic nie rozumiem.

XIX.**Jak Chicot jaśniej zaczął przeglądać w liście księcia Gwizyusza.**

Chicot'owi zdawało się, że gdzieś widział już przyjemny układ nieznanego, lecz ponieważ w czasie podróży do Nawarry widział ludzi z rozmaitemi ułożeniami, pamięć więc nie podsuwała mu ze zwyczajną łatwością nazwiska, które chciał wymówić.

Kiedy ukryty w cieniu, z oczami zwróconemi na oświetlone okno, badał co to za mężczyzna i kobieta zeszli się na schadzkę pod *Pięknego Rycerza*, nasz godny Gaskończyk ujrzał, że brama zajazdu roztwiera się i w promieniu światła postrzegł jakby cień mnicha.

Ten cień zatrzymał się na chwilę, aby patrzeć na to samo okno, które Chicot miał na uwadze.

— Ah!—rzecze—zdaje mi się, że jakobińska suknia; jak widać pan Gorenflot zwalnia karność zakonną, kiedy pozwala o tej godzinie i w miejscu tak odległym włóczyć się zakonnikom.

Chicot ścigał oczyma zakonnika, kiedy ten schodził z ulicy augustyańskiej i jakieś przeczucie mówiło mu, że w mnichu znajdzie rozwiązanie zagadki, nad którą próżno się męczył.

Prócz tego Chicot jak w nieznanym jeźdźcu zdawał się poznawać znajomego, tak w mnichu widział ułożenie ludzi przywykłych do fechtowania.

— Niech zginę—rzecze—jeżeli pod tą odzieżą nie ukrywa się ten mały łotr, którego chciano mi dać za towarzysza podróży, a który tak doskonale robi rapirem.

Zaledwie myśl ta przyszła Chicotowi, przyspieszył kroku i wkrótce dogonił malca, który biegł, podkasawszy sukni.

Nie była to rzecz trudna, zważywszy, że mnich zatrzymywał się co chwila i w tył oglądał, jakby od-
dałał się z trudnością i żalem.

Spojrzenia jego skierowanemi były ku oknu oświetlonemu zajazdu.

Chicot był pewny, że się nie zawiedzie w domysłach.

— Hola! kumeczku — zawoła; — Kubusiu, Clement stój!

I wymówił te wyrazy głosem tak wojskowym, że mnich aż zadrżał.

— Kto mnie woła?—zapytał młodzieniec głosem więcej wyzywającym, niż grzecznym.

— Ja!—odpowiedział Chicot, stając przed Jakobinem;—a co, poznajesz mnie mój synku?

— Ah! pan Robert Briquet!—zawołał mnich.

— Ja sam, kochanku. Gdzie idziesz tak późno, moje dziecię?

— Do opactwa, panie Briquet.

— Dobrze, ale skąd wracasz?

— Ja?

— Zapewne, że ty, włóczęgo.

Młodzieniec zadrżał.

— Nie wiem, co mówisz panie Briquet, — odpowie—byłem wysłany w ważnym interesie przez Dom Modesta i on sam może ci to powiedzieć, jeżeli zechcesz.

— Wszystko to dobrze, mój ty świętoszku, ale bierzemy knot za świecę.

— Bynajmniej; wszakże się dobrze rozumiemy.

— Ale bo widzisz, to nie zwyczajne, aby suknia, twojej podobna, wychodziła z szynku.

— Z szynku, ja?

— Alboż dom, z którego wyszedłeś, nie jest zajazdem pod *Pięknym Rycerzem*? Ach! widzisz kochanku, że cię złapałem.

— Wyszedłem z tego domu—odpowie Clement—lecz nie wyszedłem z szynku.

— Jakto! — rzecze Chicot — alboż dom pod *Pięknym Rycerzem* nie jest szynkiem?

— Szynk jest domem, w którym się pije, a że nie piłem w tym domu, dla mnie nie był szynkiem.

— Djabelnie subtelne tłumaczenie i jak z niego mogę sądzić, kiedyś wielkim będziesz teologiem; lecz jeżeli nie piłeś w tym domu, cóż tam robiłeś?

Clement nie odpowiedział, a Chicot pomimo ciemności, mógł wyczytać na jego twarzy stałe postanowienie nie wyrzeczenia i słowa więcej.

To postanowienie nie podobało się naszemu przyjacielowi, który wszystko wiedzieć pragnął.

Przecież w milczeniu Clementa nie było nic cierpkiego; przeciwnie zdawał się być uradowanym, że spotkał swojego nauczyciela broni, mistrza Roberta Briquet-

t'a i dawał mu przystęp jakiego tylko spodziewać się było można od skrytego człowieka.

Rozmowa zupełnie ucieła. Chicot, aby ją na nowo rozpocząć, miał już wymówić imię Boromeusza, lecz chociaż Chicot nie doznawał wyrzutów sumienia, imię to skonało mu na ustach.

Młodzieniec milcząc, zdawał się na coś oczekiwać; rzecby można, że pragnie jak najdłużej w okolicy zjazdu pod *Pięknym Rycerzem* pozostać.

Robert Briquet spróbował mówić z nim o podróży, którą miał nadzieję chwilowo wspólnie odbyć.

Oczy Jakóba Clement zabłysły na wyrazy przestrzeń i swoboda.

Robert Briquet mówił, że w krajach, które zwiedził, sztuka robienia bronią wielce jest ceniona i, dodał z niechęcia, że kilka cudownych pchnięć tam okazał.

Jakób pragnął poznać te pchnięcia, a Chicot swoją długą ręką odrysował je w powietrzu.

Lecz wszystkie te zabiegi Chicot'a nie zmięczyły uporu Jakóba; poznając nieznaną sobie cięcia, które mu pokazywał Robert Briquet, milczał zacięcie.

Rozgniewany ale panujący nad sobą, Chicot postanowił spróbować niesprawiedliwości; niesprawiedliwość jest jednym z najsilniejszych wyzwania, które wynaleziono, aby się odzywali ludzie, jakiegokolwiek bądź natury.

— Nic to nie szkodzi — rzecze, jakby powracając do pierwszej myśli — nic nie szkodzi: pięknym jesteś mniszkiem i uczęszczasz do szynków i do jakich jeszcze! do takich gdzie są piękne kobiety i zatrzymujesz

się przed oknami, w których ich cień widać. Dobrze, dobrze, powiem o tem Dom Modestowi.

Pocisk trafił doskonale, lepiej nawet niż się Chicot spodziewał; bo nie sądził, zaczynając, aby rana była tak głęboką.

Jakób odwrócił się podobnie jak wąż, którego udeptano.

— Nieprawda—rzecze zarumieniony od wstydu i gniewu—ja wcale nie patrzę na kobiety.

— Jakkolwiek bądź—mówił dalej Chicot,—śliczna kobieta znajduje się w zajeździe pod *Pięknym Rycerzem* i kiedyś ztamtąd wychodził, odwracałeś się, aby ją jeszcze widzieć. Wiem, że na nią czekałeś i że z nią mówiłeś.

Jakób nie mógł się powstrzymać.

— Tak, mówiłem z nią—odpowie,—alboż to grzechem mówić z kobietami?!

— Nie, kiedy się z niemi rozmawia bez żądy i bez pokusy szatańskiej.

— Szatan nie miał udziału w tem wszystkim, albowiem potrzeba było, abym mówił z tą kobietą i list jej oddał.

— List od dom Modesta?—zawołał Chicot.

— Tak, od niego samego; teraz idź pan skarżyć. Chicot do tej chwili napróżno usiłując zbadać tajemnicę, uczuł, że jakby błyskawica mózg jego rozjaśniła.

— Ah!—rzecze—ja sam o tem wiedziałem.

— Co pan wiedziałeś?

— To, czegoś mi nie chciał powiedzieć.

— Nigdy nie zwykłem wyjawiać moich tajemnic, a tem bardziej cudzych!

— Tak; lecz mnie...

— Dla czegoż panu?

— Bo jestem przyjacielem Dom Modesta, a pot:m...

— Cóż dalej?

— Potem, ja najprzód wiem wszystko, co mi możesz powiedzieć.

Jakób spojrział na Chicota, kiwając głową i uśmiechając się z niedowierzaniem.

— Kiedy tak, to ja ci powiem, czego ty nie chcesz mi powiedzieć.

— Bardzo dobrze—rzecze Jakób.

Chicot uczynił wysilenie.

— Najprzód—rzecze—ten biedny Boromeusz...

Twarz Jakóba zachmurzyła się.

— Ah!—rzecze—gdybym tam był...

— Gdybyś tam był?..

— Nie byłoby do tego przyszło.

— Byłbyś go bronił przeciw Szwajcarom, z którymi się pokłócił?

— Byłbym go bronił przeciwko wszystkim.

— Tak, żeby nie poległ?

— Albo jabym był z nim zginął.

— Koniec końcem nie byłeś tam i hultaj zginął w nędznym szynku, a konając wymówił imię Dom Modesta.

— Tak jest.

— I uwiadomiono Dom Modesta.

— Przybiegł człowiek, który narobił hałasu w całym klasztorze.

— I Dom Modest przywołał swoją lektykę, aby się udać do domu pod *Rogiem obfitości*.

— A pan zkąd wiesz o tem?

— Oh! kochanku, ty jeszcze mnie nie znasz, ale ja jestem czarnoksiężnikiem.

Jakób cofnął się o dwa kroki.

— To nie wszystko—mówił dalej Chicot, który oświecał się w miarę, jak mówił—znaleziono list w kieszeni umarłego,

— Tak jest, list.

— I Dom Modest polecił małemu Kubusiowi, aby go odniósł stosownie do adresu.

— Nieinaczej.

— I mały Kubuś natychmiast pobiegł do pałacu Gwizyuszów.

— Tak jest.

— I tam nie znalazł nikogo.

— Ah! mój Boże!

— Tylko pana de Mayneville.

— Przez miłosierdzie.

— A pan Mayneville poprowadził Kubusia do zajazdu pod *Pięknym Rycerzem*.

— Panie Briquet—zawołał Jakób—czybyś miał wiedzieć!..

— Co u licha! widzisz, że wiem wszystko—zawołał Chicot tryumfująco, że rozwiązał zagadkę tak mu z początku niepojętą.

— Kiedy tak — odezwie się Jakób — widzisz, panie Briquet, że winnym nie jestem.

— Nie — odpowie Chicot — nie jesteś winnym ani przez czyn, ani przez opuszczenie, ale przez myśl.

— Ja!

— Zapewne księżnę uważasz jako bardzo piękną?

— Ja!

— I oglądasz się, abyś ją jeszcze widział przez okno.

— Ja!

Mnich zarumienił się i wyjąkał:

— Prawda, ona jest bardzo piękną i podobna do obrazu, który wisi nad łóżkiem mojej matki.

— Ah! — pomruknął Chicot — wiele tracą ci, którzy nie są ciekawi!

I kazał opowiedzieć młodemu mnichowi to, co sam przed chwilą powiadał; lecz tym razem dowiedział się szczegółów, których nie znał.

— Widzisz — rzecze Chicot, kiedy Jakób skończył opowiadanie — jakiego nędznego nauczyciela broni miałeś w Boromeuszu.

— Panie Briquet — odpowie mnich — nie mówmy źle o umarłych.

— Dobrze, ale przyznaj jedną rzecz.

— Jaką?..

— Że Boromeusz gorzej bronią robił niż ten, który go zabił.

— Prawda.

— Otóż wszystko co ci miałem powiedzieć. Do

widzenia Kubusiu. Może chcesz, to ja cię bronią robić nauczę.

— Najchętniej.

— Teraz powracaj kochanku, bo pewnie niecierpliwie na ciebie czekają.

— Prawda panie, dziękuję za pamięć.

I znikł, biegnąc spiesźnie.

Nie bez przyczyny Chicot pożegnał mnicha; dowiedział się od niego co żądał, a prócz tego miał jeszcze coś do wyjaśnienia.

Spiesźnie pobiegł do swojego domu. Lektyka i tragarze stali jeszcze przed domem pod *Pięknym Rycerzem*.

Bez najmniejszego szmeru zajął swoje stanowisko.

Dom będący wprost jego domu, wciąż był oświetlony.

Odtąd tylko na ten dom patrzył.

Widział najprzód, przez szczeliny firanki, przechodzącego po pokoju Ernautona, który zdawał się oczekiwać niecierpliwie.

Potem widział przybywającą lektykę, odjeżdżającego pana Mayneville, w końcu wchodzącą księżnę do pokoju, w którym czekał Ernauton.

Ernauton ukląkł przed księżną, która mu dała rękę do pocałowania.

Potem księżna podniosła młodzieńca i kazała mu usiąść obok siebie przy stole suto zastawionym.

— To szczególniejsza—rzecze Chicot, — początek był jakby spisku, a koniec jakby schadzka miłosna.

Tak—mówił dalej—ale kto naznaczył schadzkę?.. Czy pani de Montpensier?

Później, jakby nowe rozjaśniło go światło.

— Ah!—rzecze—„zatwierdzam twój plan co do Czterdziestu pięciu; tylko pozwól sobie powiedzieć, że tym głupcom za wiele czynimy zaszczytu.“ Aha! mam—zawoła Chicot — to nie miłość lecz spisek; ponieważ księżna de Montpensier kocha Ernautona de Carmainges, czuwajmy nad miłośkami księżnej pani.

I czuwał Chicot aż do wpół do pierwszej z północy, dopóki Ernauton, odziany płaszczem, nie uciekł i księżna pani do lektyki nie weszła.

— Teraz—rzecze Chicot, schodząc ze swojego stanowiska, wiem jakie są nadzieje w śmierci, która miała uwolnić Gwizyusza od domyślnego następcy. Jacy są żywi, a jacy umarli, powinienem odgadnąć.

XX.

Wiadomość o Aurillem.

Nazajutrz tego dnia król pracował w Luwrze z intendentem finansów, kiedy dano mu znać, że starszy pan de Joyeuse przybył z Chateau-Thierry z poselstwem od księcia Andegaweńskiego i czeka w wielkim posłuchalnym gabinecie.

Król spiesznie porzucił swoje zatrudnienie i pobiął na spotkanie drogiego przyjaciela.

Wielu oficerów i dworzan zajmowało gabinet; królowa matka przysła także tego wieczora w towarzystwie dam honorowych, za któremi inne poprzychodziły, jak za słońcem liczne satelity.

Król podał panu de Joyeuse rękę do pocałowania i z zadowoleniem spojrział po zgromadzonych.

We drzwiach wchodowych na zwyczajnem miejscu stał Henryk du Bouchage, ściśle pełniący swoje obowiązki.

Król podziękował mu skinieniem głowy przyjaznem, a Henryk odpowiedział na nie niskim ukłonem.

Joyeuse patrzył na to z ukontentowaniem i uśmiechał się do brata, nie śmiejąc go powitać, aby nie uchybić etykecie.

— Najjaśniejszy panie—rzecze Joyeuse—przysłany jestem do Waszej Królewskiej Mości od księcia Andegaweńskiego, który świeżo powrócił z wyprawy do Flandryi.

— Jakże się mój brat miewa, panie admirale? — zapytał król.

— Tak, dobrze, Najjaśniejszy panie, jak mu stan umysłu pozwala; jednak nie taję przed Waszą Królewską Mością, że Jego Wysokość zdaje się być cierpiącym.

— Potrzebuje rozrywki po doznanem nieszczęściu — rzecze król uradowany, że może przypomnieć klęskę poniesioną przez brata i udać politowanie.

— Zapewne, Najjaśniejszy Panie.

— Mówiono nam, admirale, że klęska była okropna.

— Najjaśniejszy Panie...

— Ale, że dzięki tobie, część armii została ocaloną. Dziękuję ci, admirale. Czy książę nie pragnie mnie zobaczyć?

— I owszem, bardzo gorąco.

— A więc go odwiedzimy. Czy pani zgadzasz się na to?—zapytał Henryk, zwracając się do Katarzyny, której serce odczuwało to wszystko, co twarz starała się ukryć.

— Najjaśniejszy panie—odpowiedziała—byłabym sama się udała do mego syna; lecz, że chcesz połączyć się ze mną, podróż będzie mi tem przyjemniejszą.

— I panowie udacie się z nami — rzecze król do dworzan—jutro wyjeżdżamy i w Meaux będziemy nocowali.

— Czy mam donieść, Najjaśniejszy panie, Jego Książęcej mości tę wiadomość?

— Nie, admirale, tak prędko mnie nie opuścisz; pojmuję, że Joyeuse jest lubiany i pożądanym od mego brata, ale Bogu dzięki, mamy ich dwóch!.. du Bouchage, ty pojedziesz do Chateau-Thierry.

— Najjaśniejszy panie—zapyta Henryk—czy wolno mi będzie doniósłszy księciu o przybyciu Waszej Królewskiej Mości, powrócić do Paryża?

— Uczyn jak ci się podoba—odpowie król.

Henryk uklonił się i postąpił ku drzwiom; szczęściem, że Joyeuse czatował na niego.

— Czy mi pozwolisz, Najjaśniejszy Panie, pomóc z bratem?—zapyta.

— Pomów, lecz o co chodzi? — cicho król rzecze.

— Pragnie jak najprędzej powracać do Paryża, co sprzeciwia się moim i brata kardynała zamiarom.

— Idź więc i wstrzymaj tego szaleńca rozkochanego.

Admirał pobiegł za bratem i dogonił w przedpokojach.

— A co—rzecze Joyeuse—wyjeżdżasz z pośpiechem?

— Tak, mój bracie.

— Ponieważ pragniesz prędzej powrócić?

— I to prawda.

— Myślisz więc jakiś czas tylko zabawić w Chateau-Thierry?

— Jak najkrócej.

— Dla czego?

— Tam gdzie się bawią, nie dla mnie miejsce.

— Właśnie przeciwnie, Henryku; ponieważ księżę Andegaweński ma zamiar dawać zabawy przy dworze, powinieneś pozostać w Chateau-Thierry.

— Ale to dla mnie niepodobna, mój bracie.

— Z przyczyny twoich zamiarów oddzielenia się od świata.

— Tak, mój bracie.

— Byłeś u króla żądać dyspensy?

— Kto ci o tem powiedział?

— Ja wiem.

— Prawda, że byłem.

— Ale jej nie otrzymasz.

— A to dla czego mój bracie?

— Bo król nie chce się pozbawić takiego jak ty sługi.

— Zatem brat mój kardynał uczyni to, co Jego Królewska Mość odmówi.

— Wszystko dla jednej kobiety!

— Bracie, błagam, nie nalegaj więcej.

— Bądź spokojny, więcej o tem nie wspomnę, ale raz trafny do celu. Ponieważ udajesz się do Chateau-Thierry, zamiast powracać spieszenie jak żądasz, pragnę, abyś na mnie w moim appartamencie zaczekał; dawno nie byliśmy razem i potrzebuję, rozumiesz, razem być z tobą.

— Mój bracie—odpowie Henryk—ty udajesz się do Chateau-Thierry, abyś się bawił; jeżeli zaś ja tam będę, zatruję wszystkie twoje przyjemności.

— Ja trwam w mojem uporze, i mam szczęśliwy temperament, zdolny rozproszyć twoją melancholią.

— Mój bracie..

— Pozwól hrabio — rzecze admirał z rozkazującym naleganiem—ja zastępuję tutaj miejsce ojca i proszę, abyś na mnie czekał w Chateau-Thierry. Znajdziesz tam mój appartament, który będzie twoim, jest on na dole i okna jego na park wychodzą.

— Jeżeli tak każesz, mój bracie—odpowie Henryk z poddaniem się.

— Nazywaj to jak ci się podoba, ale zaczekaj na mnie.

— Będę ci posłusznym mój bracie.

— I jestem pewny, że o to na mnie nie będziesz się gniewał—dodał Joyeuse, ściskając młodzieńca.

Ten, wyrwawszy się z objęć braterskich, zażądał koni i bezzwłocznie udał się do Château-Thierry.

Pędził, jak człowiek gniewający się na przeciwności, to jest pochłaniał przestrzeń.

Tego samego wieczora, przed nocą wjeżdżał na wzgórze; na którym rozpościera się Château-Thierry, kąpiąc nogi swoje w Marnie.

Jego nazwisko otworzyło mu bramy zamku, który zamieszkiwał książę; na pozyskanie jednak posłuchania więcej jak godzinę czekać było potrzeba.

— Książę—mówili jedni, był w swoich apartamentach; drudzy powiadali, że spał, inni, że się bawił muzyką.

Nikt jednak z domowników nie umiał nic pewnego powiedzieć.

Henryk nalegał, aby prędzej uwolnić się od myśli o obowiązku i cały oddać się smutkowi.

Skutkiem nalegania, ponieważ wiadano, jak brat jego poufały jest z księciem, wprowadzono go do jednego z salonów na pierwszym piętrze, gdzie książę raczył go przyjąć.

W pół godziny noc zapadła.

Ciężki i wlokący się chód księcia andegawńskiego dał się słyszeć na galeryi. Henryk, który go poznał, gotował się do ceremoniału.

Lecz książę, który zdawało się, że się spieszy, uwolnił go od formalności, biorąc za rękę i ściskając.

— Jak się masz, hrabio—rzecze — po co się kłopotcesz, abyś odwiedzał nieszczęśliwego pokonanego?

— Król przysłał mnie do Waszej Księżęcej Mości z oświadczeniem, że pragnie widzieć Waszą Wysokość i nie chcąc go trudzić, sam uda się do Château-Thierry, najpóźniej jutro.

— Król jutro przybędzie, — zawołał Franciszek z widocznym nieukontentowaniem.

I spiesznie dodał:

— Jutro! jutro! a w zamku niema nic gotowego na przyjęcie Jego Królewskiej Mości.

Henryk skłonił się jak ten, który przywozi rozkaz, ale nie ma polecenia objaśniać go.

— Pośpiech — rzecze — z jakim ich Królewskie Mości pragną widzieć Waszą Wysokość, nie pozwolili im myśleć o ambarasie.

— Dobrze więc — odpowie księżę — dziękuję ci Henryku za pośpiech, bo widzę żeś strudzony, i potrzebujesz spoczynku.

— Czy Wasza Wysokość nie ma co mi polecić?— zapytał Henryk z uszanowaniem.

— Nic, możesz iść spać. Nie potrzebuję dzisiaj; jestem cierpiący, niespokojny; straciłem sen i apetyt i dla tego nie chcę, aby ktokolwiek w moich przykrościach brał udział. A czy wiesz?..

— O czym Mości Księżę?

— Aurillego wilki zjadły.

— Aurillego!—zawołał Henryk z podziwieniem.

— Tak, zjadły. Szczególniejsza, że wszystko co

mi, przychylne, źle kończy. Dobra noc hrabio, śpij smacznie.

I książkę spiesznym oddalił się krokiem.

XXI.

W ą t p l i w o ś ć.

Henryk zeszedł na dół i przebywając przedpokoje, znalazł wielu znajomych oficerów, którzy przybiegli go witać i chcieli prowadzić do apartamentu brata, położonego w jednym z rogów zamku.

Była to biblioteka, którą książkę na mieszkanie przeznaczył admirałowi, w czasie jego pobytu w Château-Thierry.

Dwa umeblowane salony z czasów Franciszka I-go stykały się jeden z drugim i kończyły bibliotekę; ostatnia wychodziła na ogród.

W bibliotece, Joyeuse kazał postawić swoje łóżko, albowiem był to umysł leniwy i oświecony zarazem; wyciągnąwszy rękę, dotykał wiedzy, otworzywszy okno, poił się naturą; wyższe organizmy potrzebują zupełnych uciech i piękny poranek, śpiew ptasząt i woń kwiatów nowego dodawały wdzięku tryoletom Marota odom Ronsard'a.

Henryk postanowił zachować wszystko jak było,

nie żeby mu pochlebiał sybarytyzm brata, ale dla tego, że wszystko było mu obojętnem.

Ale ponieważ, jakkolwiek był stan umysłu hrabiego, przyzwyczajony był niezaniebować obowiązków względem króla i książąt krwi królewskiej, starannie dowiedział się, którą część zamku książę zamieszkuje.

Przypadek zdarzył Henrykowi wybornego przewodnika pod tym względem: był to młody wachmistrz, którego nieogłędność we Flandryi odkryła księciu tajemnicę hrabiego co do nieznanego; ten nieopuszczał księcia od jego przyjazdu i mógł we wszystkim dokładnie objaśnić Henryka.

Przytwarzając do Château-Thierry, książę szukał najprzód roztargnienia i zabaw; wtedy zajął wielkie apartamenta, przyjmował gości rano i w wieczór, a przez dzień cały biegał za jeleniem po lesie, albo za ptakami po parku; dopiero jak otrzymał wiadomość o śmierci Aurillego, wiadomość, którą otrzymał nieznaną sobie drogą, książę wyprowadził się do pawilonu, położonego w środku parku. Pawilon ten, pewien rodzaj schronienia nieprzystępnego, oprócz dla zaufanych księcia, ginał w cieniu drzew i zaledwie ukazywał się z pośrodku olbrzymich akacyj.

Do tego pawilonu książę od dwóch dni się przeżył. Nieznający go dobrze, mówili, że śmierć Aurillego wprawiała go w ogromny smutek i wtrącała w samotność; lepiej go znający otrzymywali, że coś knuje pikielnego, co kiedyś wyjdzie na jaw.

Jedno i drugie przypuszczenie zdawało się prawdopodobnem, albowiem książę z największą niechęcią

udawał się do zamku, ilekroć go interes przyzywał i jak tylko go skończył, wracał do swojej samotności, w której dwóch starych usługiwało mu lokai.

— Kiedy tak—rzecze Henryk—to zabawy nie bardzo będą wesołe.

— Zapewne — odpowiedział wachmistrz, każdy bowiem musi boleść księcia dzielić.

Henryk pomimowoli ciągle zadawał pytania i szczególniejszy w nich znajdował interes: śmierć Aurillego, o której wiedział na dworze; obojętność z jaką księżę o niej mu mówił; odosobnienie w jakim żył od tego czasu: wszystko to, nie wiedząc dla czego, wiązało się do tajemniczego wątku, z którego wypadki jego życia się snuły.

— A czy nie wiadomo — zapyta wachmistrza — z kąd księżę dowiedział się o śmierci Aurillego?

— Nie wiadomo.

— Ale zawsze mówią coś w tym przedmiocie.

— Prawda, czy fałsz, to nie wiem, ale mówią.

— Powiedz więc, co słyszałeś?

— Mówią, że księżę polował pod wierzbami nad rzeką i że się zabłąkał, albowiem we wszystkim ma wyskoki i jest gwałtowny równie na polowaniu jak w grze, w ogniu, jak w boleści; otóż nagle ujrzano go powracającego z zasmuconą twarzą. Dworzanie pytali go, sądząc, że przytrafiła mu się jaka myśliwska przygoda. Trzymał w ręce dwa rulony złota i mówił: „Czy wiecie panowie, Aurilly nie żyje, wilki go zjadły.“ „Ale to być nie może,“ mówiono mu. „Tak jest a nie inaczej, niech mię dyabli wezmą!“ Biedny lutnista za ró-

wno był wielkim muzykiem jak dobrym jeźdźcem; zdaje mi się, że koń go poniósł i spadł w parów, gdzie się na śmierć zabił; nazajutrz, dwaj podróżni, jadący blisko parowu, znaleźli jego ciało nawpół przez wilki zjedzone, a dowodem tego jest to, że złodzieje w morderstwie nie mieli udziału, albowiem dwa rulony złota wiernie odniesiono. Że zaś nie widziano nikogo, coby odnosił to złoto, wnioskują, że ci dwaj podróżni oddali je księciu, spotkawszy go zabłąkanego na polowaniu.

— To szczególniejsza!—mówił Henryk.

— Tem szczególniejsza—odrzekł wachmistrz—że widziano, powiadają jeszcze, ale czy to prawda, że książę sam otworzył bramę parku od strony kasztanów i przez tę bramę dwa widziano wchodzące cienie. Zapewne byli to ci sami podróżni; a od tego czasu książę oddalił się do pawilonu i rzadko go teraz widzujemy.

— I nikt nie widział tych podróżnych? — zapytał Henryk.

— Ja—odpowie wachmistrz.—Idąc do księcia wieczorem po hasło, spotkałem człowieka, który mi się obcym wydawał; lecz nie widziałem jego twarzy, albowiem odwrócił się odemnie i miał na oczu zapuszczony kaptur.

— Kaptur, powiadasz?

— Tak, ten człowiek zdawał się być flamandzkim wieśniakiem i przypomniał mi, nie wiem dla czego, tego mężczyznę, który panu towarzyszył, gdyśmy się spotkali.

Henryk zadrzał; ta uwaga mocno go zainteresowała, tem bardziej, gdy sobie przypomniał, że Dyanę

i jej towarzysza powierzono Aurillemu. Wszystko mówiło mu, że dwaj podróżni, którzy księciu wręczyli złoto, byli mu znajomi.

Henryk z uwagą spojrział na wachmistrza.

— A kiedyś poznał tego człowieka jaka, myśl ci przyszła?

— Powiedziałem panu, co myślę w tym względzie, lecz ręczyć za to nie mogę; ksiązę zapewne nie wyrzekł się swoich co do Flandryi zamiarów, utrzymuje więc szpiegów; człowiek w guni z kapturem jest zapewne szpiegiem, który doniósł mu o śmierci Aurillego i zarazem inne przyniósł wiadomości.

— To jest prawdopodobnem — rzecze zamysłony Henryk;—ale co ten człowiek robił, kiedyś go spotkał?

— Szedł wzdłuż płotu, który z okien twoich, hrabio, możesz widzieć i dążył ku cieplarni.

— Mówisz, że dwaj podróżni, bo dwóch ich było?

— Mówią, że widziano wchodzące dwie osoby. Ja widziałem tylko jedną, mężczyznę w guni.

— Zatem według twojego zdania, człowiek ten mieszka w cieplarni?

— Być może.

— A cieplarnia ma wyjście?

— Ma wyjście na miasto.

Henryk milczał przez chwilę, a serce jego biło gwałtownie; szczegóły nie nieznaczące z pozoru, dla niego miały wielką wagę.

Gdy noc zapadła, dwaj młodzi ludzie rozmawiali po ciemku w apartamencie admirała.

Henryk, strudzony drogą, zmęczony dziwnymi wy-

padkami, które mu opowiedziano, nie mając siły oparcia się coraz nowym wzruszeniom, położył się na łóżku brata i machinalnie wzrok wlepił w lazury nieba, które zdawały się zasiane dyamentami.

Młody wachmistrz usiadł przy oknie i dał wolny popęd myślom, owej poezji młodości, owemu upojeniu, w jakie wprawia świeżość wieczoru.

Uroczyste milczenie zalegało park i miasto, którego bramy zamykano i w którym rozjaśniały się światła i słychać było psów szczekanie. Nagle, wachmistrz podniósł się, ręką dał znak i wychyliwszy się z okna, cicho przywołał hrabiego, leżącego na łóżku.

— Pójdź pan, pójdź pan—rzecze.

— Co tam takiego?—zapytał Henryk, nagle budząc się z marzenia.

— Ten człowiek...

— Co za człowiek?

— Człowiek w guni, szpieg.

— Ha!—rzecze Henryk, zrywając się i stając obok wachmistrza w oknie.

— Patrzaj pan—mówił wachmistrz — widzisz go tam? Idzie około plotu; zaczekaj pan, znowu się покаże. Patrzaj pan w tę przestrzeń, oświetloną księżycem, oto on, oto on!

— Widzę go.

— Czy nie prawda, że coś złowróbnego?

— Tak, w istocie—odpowie du Bouchage — zachmurzając się.

— Czy pan sądzisz, że to szpieg?

— Ja o niczem nie sądzę i wierzę we wszystko.

— Patrzaj pan, idzie z pawilonu księcia do cieplarni.

— Więc pawilon księcia jest tam?—zapytał Henryk, wskazując palcem punkt, z którego zdawało się, że wyszedł nieznajomy.

— Patrzaj pan na to światełko, drżące wśród liści.

— I cóż?

— Tam jest pokój jadalny.

— Ah!—zawołał Henryk—otóż znowu go widać.

— Zapewne idzie do cieplarni połączyć się ze swoim towarzyszem. Czy słyszysz pan?

— Co takiego?

— Skrzywienie klucza w zamku.

— To dziwna—rzecze du Bouchage—wszystko to jest zwyczajnem, a jednakże...

— A jednak pan drżysz, nieprawdaż?

— Tak—odpowie hrabia—ale co to jeszcze?

Dał się słyszeć pewien rodzaj dzwonienia.

— To znak wieczery w domu księcia, czy pójdziesz wieczerzać z nami, panie hrabio?

— Dziękuję; jeżeli jeść mi się zachce, zażadam.

— Nie czekaj pan tego i pójdz rozweselić się w naszym towarzystwie.

— Oh! nie, to niepodobna.

— A to dla czego?

— Jego Królewska Mość prawie mi zalecił, abym jadał u siebie, nie zabieram ci czasu.

— Dobranoc, panie hrabio, a czuwaj nad naszym widziadłem.

— Oh! ręczę ci za to—odpowiedział Henryk i lekając się, żeby nadto nie powiedział, dodał:—chyba że mnie sen opanuje. A to nawet zdaje mi się pożyteczniejszym i zdrowszym jest, niż śledzić widma i szpiegów.

— Zapewne—odpowiedział wachmistrz z uśmiechem.

I pożegnał pana du Bouchage.

Zaledwie wyszedł z biblioteki, aliści Henryk wybiegł do ogrodu.

— To Remy!—mówił do siebie — poznałbym go w ciemnościach piekła.

I czując drżące pod sobą nogi, wilgotnemi rękami dotknął rozpalonego czoła.

— Mój Boże—rzecze—nie jestże to choroba mojego biednego mózgu i czyż nie jest przeznaczeniem mojem, abym dzień i noc widział przed sobą te dwie postacie, które tak dziwnie wplotły się w wątek mojego żywota?.. W rzeczy samej—mówił dalej, chcąc wytłumaczyć sobie dziwne zjawisko — co Remy robiły w zamku księcia Andegawęńskiego?.. Jakie stosunki książę miałby mieć z Remym? Nakoniec, jakby mógł opuścić Dyanne? Nie, to nie on.

Następnie, jakieś instyktowne przekonanie w niem przeważyło!

— To on! to on! — rzecze z rozpaczą i oparł się o mur, żeby nie upaść.

Kiedy wykształcał tę myśl niepokonaną, władającą wszystkimi innemi, skrzypienie klucza w zamku znowu się dało słyszeć, a chociaż zaledwie dosłyszane, wszystkie jego pomięszało zmysły.

Dreszcz przebiegł po całym ciele młodzieńca.
I znowu słuchał.

Okolo niego panowało milczenie, że mógł bicie własnego serca posłyszeć.

Przez kilka minut nie widział, na co czekał.

Jednak słuch mówił mu, że ktoś się zbliża.

Usłyszał skrzypienie piasku pod nogami.

Nagle czarna linia płotu przesuwawała po sobie cień i na ciemnym tle widać było ciemniejszą jeszcze grupę.

— Oto idzie—mówił Henryk do siebie,—czy sam, czy z kim?

Grupa posuwała się ku miejscu, które księżyc oświetlał.

Kiedy człowiek w guni przebywał tę przestrzeń, Henryk zdawał się poznawać w nim Remego.

Tym razem widział dwa wyraźne cienie i mylić się nie mógł.

Dreszcz śmiertelny przeszedł go aż do serca i zdawał się martwym go czynić.

Dwa cienie postępowały śpiesznie, chociaż pewnym krokiem; pierwszy miał na sobie wełnianą gunię i tym razem równie jak pierwszym, hrabia zdawał się w nim poznawać Remego.

Drugi odziany wielkim męzkim płaszczem nie mógł być dostrzeżonym.

A jednak pod tym płaszczem Henryk odgadywał to, co nikt nie mógł wiedzieć.

Jęknął boleśnie i kiedy dwie tajemnicze osoby zniknęły, młodzieniec przesunął się pomiędzy drzewami, goniąc tych, których chciał poznać.

— Oh!—mówił do siebie—czy ja się nie mylę, mój Boże? czy to podobna?

XXII.**P e w n o ś ć.**

Henryk przesuwiał się wśród krzewów z wszelką ostrożnością, aby nie sprawiać szelestu i nie być postrzeżonym.

Przymuszony iść i idąc pamiętać o sobie, nie wiele mógł widzieć. Jednakże z postawy, ubioru i chodu zdawało mu się, że w człowieku w guni poznaje Remego.

Proste domysły, straszniejsze niż rzeczywistość powstawały w jego umyśle na widok towarzysza tego człowieka.

Droga kończyła się przy żywym płocie i przy topolach, oddzielających od reszty parku pawilon księcia Andegawęńskiego, ukrywający się, jakęśmy powiedzieli, w zieloności drzew. Były tam wodotryski, klomby, kręte ścieżki i odwieczne drzewa, po których księżyc igrał swojemi srebrnemi promieniami, zostawiając dół ciemny i nieprzenikniony okiem.

Henryk, zbliżając się do tego płotu, czuł, że mu serca nie staje.

— W rzeczy samej, przestąpić zuchwale rozkazy księcia i popęlniać tak lekkomyślną niegrzeczność, było czynem niegodnym szlachcica, ale raczej szpiega, lub zazdrośnika, gotowego na wszelkie szaleństwa.

Lecz kiedy otwierając furtkę, rozdzielając wielki park od małego, mężczyzna w guni zrobił poruszenie, które odsłoniło twarz jego, a twarz ta była zupełnie do Remego podobną, hrabia nie miał siły powstrzymać się, ale nie bacząc na to, co z tego może wyniknąć, postąpił dalej.

Ponieważ furtka była napowrót zamknięta, Henryk przeskoczył ją i udał się za szczególniejszymi gośćmi księcia.

Ci pospieszali.

W szpalerze kasztanowym, na końcu którego widać było pawilon słabo oświetlony, Henryk nie mógł tak łatwo postępować z obawy, aby go nie postrzeżono.

Prócz tego, nowa zaskoczyła go trwoga.

Książę wyszedł z pawilonu, posłyszawszy chód Remego i jego towarzysza.

Henryk rzucił się na bok, stanął za wielkiem drzewem i czekał.

Tyle tylko widział, że Remy bardzo się nisko uklonił, że towarzysz Remego zrobił ukłon kobiecie i że książę ostatniemu podał rękę, jakby kobiecie.

Następnie, wszyscy troje idąc ku pawilonowi, znikli w przedsionku, którego drzwi za nimi zamknięto.

— Raz z tem skończyć potrzeba,—rzecze Henryk—i muszę znaleźć miejsce, z którego bym wszystko mógł widzieć, sam nie będąc widzianym.

Wybrał więc klomb położony pomiędzy pawilonem a kasztanami, klomb w pośród którego była fontanna, klomb, mogący być niedostrzeżonem ukryciem nawet w dzień, albowiem książę lekceważył zieloność, wodę i świeże powietrze.

Ukryty za posągiem, zdobiącym fontannę, wznieiony o całą wysokość piedestału, Henryk mógł widzieć co się dzieje w pawilonie, którego główne okno było przed nim otwarte.

Ponieważ nikt nie mógł, albo raczej nie powinien tu przebywać, żadnej nie używano ostrożności.

W środku sali stał stół zbytkownie zastawiony, obładowany kosztownymi winami w weneckich kryształach.

Dwa miejsca były tylko przy stole.

Książę skierował się ku jednemu i puszczając rękę towarzysza Remego i wskazując mu drugie miejsce, zachęcał do zdjęcia płaszcza, który dogodny do nocnych wycieczek, stawał na przeszkodzie, gdy się stanęło u celu podróży.

Osoba, której zrobiono to zaproszenie, odwróciła twarz w stronę krzesła, a światło pochodni rozjaśniło bladą i cudownie piękną twarz kobiety, którą oczy Henryka od razu poznały.

Była to kobieta z tajemniczego domu z ulicy Augustyańskiej, podróżująca we Flandryi, była to jednym wyrazem, Dyanna, której widok był dla Henryka razem śmiertelnym.

Tym razem, miała na sobie suknie kobiece, dya-

menty błyszczały na jej szyi, a w włosach inne kamienie.

W tym stroju, bladość twarzy więcej się jeszcze odznaczała i gdyby nie płomień tryskający z jej oczów, rzecby można, że ksiązę wywołał cień tylko kobiety, a nie ją samą.

Gdyby nie opierał się o posąg, Henryk spadłby był w miednicę fontanny.

Książę zdawał się upojony radością; pożerał oczyma tę cudowną istotę, która siedziała wprost niego i zaledwie kosztowała zastawionych potraw. Franciszek często przechylał się, aby całować białą rękę kobiety, która zdawała się być na to nieczułą, jakby ręka wyrobiona była z alabastru, do którego z białości i przezroczystości była podobną.

Henryk kiedy niekiedy ręką pocierał czoło, po którym pot spływał kroplami i zapytywał siebie:—Czy żywa, czy umarła?

Książę wysilał się i rozwijał całą wymowę, aby rozweselić posępne czoło nieznajomej.

Remy, jedyny sługa, albowiem książę wszystkich oddalił, usługiwał obojgu i ilekroć przechodził około swojej pani, trącał ją łokciem, aby ją ożywiać.

Wtedy czerwoność występowała na czoło młodej kobiety, oczy rzucały błyskawice i uśmiechała się, jakby czarownik dotknął jakiejś ukrytej sprężyny tego automatu i wywoływał rumieniec i uśmiech.

Następnie znowu wpadała w osłupienie.

Książę zbliżał się do niej i namiętą mową nową zdobył rozgrzewać usiłował.

Wtedy, Dyanna, która często spoglądała na pyszny zegar, nad głową księcia wprost niej na murze zawieszony, zdawała się zadawać sobie przymus, zachowując uśmiech na ustach i utrzymując rozmowę.

Henryk, ukryty w cieniu drzew, drapał piersi i wyklinał wszystkie kobiety.

Zdawało mu się niegodziwem i potwornem, że kobieta tak czysta i nieprzystępna, poświęca się człowiekowi, który jest księciem i mieszka w złoconym pałacu.

Jego wstręt dla Remego był tak wielki, że pragnął szarpać jego wnętrzności, aby się przekonać, czy ma serce i krew człowieka.

Wśród wściekłości i pogardy, które grały w Henryku, upływał czas wieczery, rozkoszny dla księcia Andegaweńskiego.

Dyanna zadzwoniła.

Książę rozgrzany winien i grzecznymi słówkami, wstał od stołu, aby uściskać Dyannę.

Cała krew Henryka zastygła w jego żyłach. Szukał u boku miecza, u pasa sztyletu.

Dyanna z dziwnym uśmiechem, któremu równego na żadnej nie było twarzy, na drodze go zatrzymała.

— Mości książę, — rzecze — pozwól, abym przed powstaniem od stołu, podzielała z tobą owoc, który mi się podoba.

To mówiąc, wyciągnęła rękę ku złotemu koszykowi filigranowej roboty, na którym było ze dwadzieścia przepysznych brzoskwiń i wzięła z nich jedną.

Następnie, wyjmując z za pasa piękny nożyk ma-

jący głównie srebrną a rękojeść malachitową, przedzieliła nim brzoskwinę na dwie części i jedną podała księciu, który chciwie zaniósł ją do ust, jakby całował Dyannę.

Ta namiętna czynność sprawiła na nim samym takie wrażenie, że jakaś mgła wzrok mu zakryła, kiedy ukąsał owoc.

Dyanna patrzyła na niego osłupiałem okiem z nieruchomym uśmiechem.

Remy oparty o krzesło ponuro także spoglądał.

Książę potarł ręką czoło, po którym krople potu spływały i połknął ukąszony kawałek.

Pot ten był zapewne symptomatem nagłego zasłabnięcia, bo kiedy Dyanna jadła drugą połowę brzoskwinii, ta która jej została na talerzu, książę upuścił swoją i podnosząc się z trudnością, prosił piękną biesiadniczkę, aby z nim udała się do ogrodu.

Dyanna powstała i nie mówiąc słowa, podała rękę księciu.

Remy patrzył na nich, osobliwie na księcia, którego powietrze natychmiast ożywiło.

Idąc Dyanna obtarła chustką nożyk i włożyła do pochwy.

Przybyli pod klomb, gdzie się ukrywał Henryk.

Książę miłośnie przycisnął do serca rękę młodej kobiety.

— Lepiej mi,—rzecze— a jednak czuję jakąś ociężałość na głowie; przekonaj się pani, jak kocham.

Dyanna urwała kilka kwiatów jaśminu, i dwie pię-

kne róże, rosnące obok posągu, za którym ukrywał się Henryk.

— Co pani robisz?—zapytał księżę.

— Zapewniano mnie, mości księżę, — odpowie— że zapach kwiatów jest najlepszym na omdlenie srodkiem. Zbieram bukiet w nadziei, że przezemnie podany będzie miał wpływ magiczny, jakiego pragnę.

Ale zbierając do bukietu kwiaty, jedną upuściła różę, którą księżę podniósł z grzecznością.

Jakkolwiek poruszenie Franciszka było pospieszne, nie przeszkodziło jednak Dyannie, wylać na drugą różę kilku kropel płynu zawartego w fiaszeczce, którą miała za gorsem.

Odbierając różę, którą księżę podniósł i kładąc ją za pas, rzekła:

— Ta dla mnie, pomieniajmy się.

I w zamian za odebraną różę, podała mu bubiet.

Księżę przyjął go z radością, powąchał z rokoszą i ręką objął postać Dyanny. Lecz ten uścisk skończył się nowem omdleniem Franciszka, albowiem zachwiał się na nogach i musiał usiąść na darniowej ławce, tam się znajdującej.

Henryk tych dwóch osób nie spuszczał z oczów, a przecież jednocześnie patrzył na Remego, który pozostawszy w salonie, czekał końca tej sceny, albo raczej każdy jej szczegół pożerał.

Kiedy widział, że księżę się chwieje, zbliżył się aż do progu—Dyanna zaś w tym samym czasie usiadła przy Franciszku na ławie.

Oslabienie Franciszka tym razem dłużej trwało.

niż pierwszym; książe pochylił głowę na piersi; zdawało się, że utracił przytomność i prawie czucie; pomimo tego konwulsyjne drganie palców po ręce Dyanny oznaczało, że o miłości nie zapomniał.

Nakoniec, powoli wznosił głowę i mając usta wprost twarzy Dyanny, wysilił się, aby jej dotknąć; lecz kobieta, jakby nie widziała tego poruszenia, podniosła się.

— Mości książe, ty cierpisz?—rzecze,—lepiej powróć do mieszkania.

— Tak, powróćmy — odpowiedział książe — tak pójdźmy.

I powstał drżący cały. Wtedy, zamiast żeby Dyanna opierała się na jego ręce, on wsparł się na ramieniu Dyanny i dzięki temu wsparciu, szedł lepiej, a nawet jego usta dotknęły szyi Dyanny.

Ta zadrżała, jakby nie pocałunek, ale rozpalone żelazo dotknęło jej ciała.

— Remy, pochodni!—zawołała—pochodni!

Wtedy Remy wszedł do sali jadalnej i u świec stołowych zapalił pochodnię; następnie wychodząc do przedsionka, rzekł:

— Oto jest, pani.

— Gdzie chcesz iść Mości książe—zapyta Dyanna, chwytając pochodnię i odwracając głowę.

— Do siebie! do siebie!.. ale ty pani odprowadzisz mnie, wszak prawda?—odrzekł książe w upojeniu.

— Chętnie Mości książe,—odpowiedziała Dyanna.

Remy otworzył jedno z okien w pawilonie, przez które powietrze tak ciągnęło, że pochodnia niesiona

przez Dyannę, dym i płomień rzuciła na twarz Franciszka.

Tak przebyli galeryą aż do pokoju księcia i znikli za malowidłem lilii, które mu za drzwi służyło.

Henryk widział to wszystko ze wzrastającą wściekłością, a jednak nie miał siły poruszyć się.

Rzeczy można, że nie miał siły nawet złorzeczyć losowi, który go na tak ciężką wskazał próbę.

Wyszedł ze swojego ukrycia i z obwisłemi rękoma, oczyma nieruchomemi, prawie na pół umarły, zamierzył udać się do swojego mieszkania w zanku, kiedy nagle drzwi za któremi znikła Dyanna i księżę otwarły się i młoda kobieta wybiegła do sali jadalnej i pociągnęła za sobą Remego, który nieruchomy na nią tylko zdawał się oczekiwać.

— Pójdź,—rzecze—pójdź, wszystko skończone.

I oboje jakby pijani, lub obłąkani wybiegli.

Na ich widok Henryk odzyskał siły; wybiegł na przeciw nich, tak że spotkali go w środku alei stojącego z założonemi rękami, tak strasznego swoim milczeniem, jak nigdy nie był w groźbie.—W rzeczy samej, Henryk doszedł do tego zobojętnienia, że zabiłby każdego, ktokolwiek mógłby utrzymać, że kobiety nie są potworami, zesłanemi z piekła, na udręczenie ziemi.

Pochwycił Dyannę za rękę pomimo krzyku jaki wydała i pomimo szyletu, który mu Remy przyłożył do piersi.

— Ah! zapewne mnie pani nie poznajesz,—rzecze z okropnem zębów zgrzytaniem.—Jestem owym młodym człowiekiem, który cię kochał, a któremu wzaje-

mną nie chciałaś odplacać miłością dla tego, że nie miałem przyszości, ale samą przeszłość za sobą.—Ah! piękna obłudnico i ty nikczemny kłamco, poznałem was oboje i mówię:—Tobą pogardzam, a tobą się brzydę.

— Szaleńcze, puszczaj! — zawołał Remy — albo nie...

— Dobrze, — odpowiedział Henryk — dokończ twój dzieła i zabij ciało, jak zabiłeś duszę.

— Ciszej!—zawołał Remy, grożąc sztyletem i ten przykładając do piersi młodzieńca.

Lecz Dyanna odepechnęła rękę Remego i chwytając Bouchage'a przyciągnęła wprost siebie.

Była nadzwyczaj blada, włosy w nieładzie spadały jej na ramiona, a dotknięcie jej rąk było podobne do dotknięcia trupa.

— Panie,—rzecze—nie sądź lekkomyślnie o rzeczach, których pojąć nie możesz. — Jestem Dyanna de Mesidor, kochanka pana de Bussy, którego księżę Andegaweński pozwolił zabić niemilosiernie.—Ośm dni temu, Remy zabił Aurillego, współnika księcia, jego zaś samego dopiero co otrulałam owocem, kwiatem i pochodnią.—Puszczaj pan Dyannę de Mesidor, która udaje się do klasztoru pokutniczek.

Rzekła i puszczając rękę hrabiego, wsparła się na Remego ramieniu.

Henryk padł na kolana, a potem w tył się przewrócił ścigając obłąkanemi oczyma zabójców znikających w cieniu drzew, jak piekielne widziadło.

W godzinę potem młodzieniec osłabiony nadzwycy-

czaj, zdołał zaczłgać się do swojego apartamentu; pomimo tego, długo jeszcze patrzył przez okno.

Potem przeszedł kilka razy po pokoju i padł na łóżko.

Wszystko zasypiało w zamku.

XXIII.

Przeznaczenie.

Nazajutrz kóło dziewiętej godziny, pogodne słońce ozłacało piaskiem wysypane ulice ogrodu Château-Thierry.

Liczni robotnicy, zamówieni wczoraj, o świcie przybyli upiękniać park i apartamenta przeznaczone na przyjęcie króla, którego czekano.

W pawilonie, w którym spoczywał książę, żadnego ruchu widać nie było, albowiem dwóm starym lokajom zabroniono go budzić. Czekano aż kogo zawoła.

O w pół do dziesiątej, dwóch kuryerów, pędząc co sił, przyjechało do miasta donosząc o bliskim przybyciu Jego królewskiej mości.

Mieszkańcy i wojsko oczekiwali.

O dziesiątej król ukazał się u spodu wzgórza. Od ostatniej stacyi jechał konno. Tej sposobności nigdy

nie opuszczał, osobliwie do miast wjeżdżając, albowiem dobrze jeździł.

Królowa matka postępowała za nim w lektyce; pięćdziesięciu szlachty konno i bogato ubranych składało orszak.

Kompania gwardyi pod dowództwem samego Crillon'a, stu dwudziestu Szwajcarów i tyleż Szkotów, pod dowództwem Larchanta, cały dom królewski z mułami, kuframi, służbą i psiarnią składały armią, której łańcuch ciągnął się po drodze, idącej od rzeki na szczyt pagórka.

Nareszcie, orszak wszedł do miasta przy odgłosie dzwonów, biciu z dział i rozlicznej muzyce.

Okrzyki mieszkańców były radosne, ówczesnie król, rzadko jeszcze widywany, uważany był za pewien rodzaj bóstwa.

Król postępując wśród tłumu, daremnie upatrywał brata. Tylko Henryka du Bouchage spotkał przy kracie zamkowej.

Wjehawszy w zamek zapytał o zdrowie księcia andegawskiego oficera, który go przyjmował.

— Najjaśniejszy panie, — odpowie tenże — Jego wysokość od kilku dni, zamieszkuje pawilon parkowy i jeszcze dziś rano nie był widziany. Jednakże, ponieważ wczoraj był zdrowym i dzisiaj chorym być nie musi.

— Jakkolwiek to miejsce jest oddalonym, — rzecze król niezadowolniony — jednak strzały armatnie słyszeć w niem można.

— Najjaśniejszy panie, — odważył się przemówić

jeden z dwóch zaufanych lokai księcia. — Jego wysokość może się nie spodziewał przybycia waszej królewskiej mości.

— Stary głupcze, — przez zęby odpowie Henryk, — czy myślisz, że król przybywa do kogo nie uprzedziwszy go o tem. Książę andegaweński od wczoraj wie o mojem przybyciu.

Następnie Henryk, nie chcąc zasmucać ludu swoją posepnością i pragnąc okazywać się dobrym i łagodnym kosztem Franciszka, rzecze:

— Ponieważ nie przybywa na nasze spotkanie, przeto my udajmy się do niego.

— Wskaż nam drogę, — odezwała się Katarzyna z głębi swojej lektyki.

Cały orszak ruszył do starego parku.

W chwili, kiedy pierwsze straże dochodziły alei, przeraźliwy krzyk dał się słyszeć.

— Co tam takiego? — rzecze król, zwracając się do matki.

— Mój Boże, — odpowie Katarzyna, usiłując czytać na twarzach obecnych, — jest to krzyk klęski, albo rozpacz.

— Mój książę, mój biedny pan! — krzyczał stary służący Franciszka, ukazując się w oknie z wyrazem największej boleści.

Wszyscy pobiegli ku pawilonowi z królem, pociągnionym przez innych.

Przybył w chwili, kiedy podnoszono ciało księcia andegaweńskiego, które jego lokaj wszedłszy bez roz-

— Najjaśniejszy panie czy wasza królewska mość pozwoli mi o jedną rzecz zapytać?

— Nawet o dwadzieścia; piekielnie się tutaj nudzę
za twoje pytania rozerwą mnie.

ust 1 — Najjaśniejszy Panie, wszak znasz wszystkie za-
Królestwa?

— Tak mój herb, kochanku.

— Ode to jest za zakon pokutnic, racz mi powie-

— Biedn

dowany, że unik... ale, bardzo ściśle i znakomite zgro-
Tlum cały ode się z dwudziestu kanoniczek od

— Okropność! —

przy księciu, albo raczej śluby?

dwóch starych lokai, którzy stawienie królowej.

po mieście szukano lekarza księ... pytać, gdzie leży to
leciał do Paryża po królewskiego le

dała może z mniejszą znajomością ale w ulicy Cheval-
nikliwością niż Miron, symptomata tej dziwnej Panny.

by, której uległ jej syn.

Jako Florentka wiele miała doświadczenia i prze-
dewszystkiem badała dwóch służących, którzy wyry-
wali sobie włosy i twarz drapali z rozpaczny.

Obadwaj opowiedzieli, że księżę wczoraj w nocy
powrócił po przyjęciu Henryka du Bouchage przysła-
nego od króla.

Później dodali, że po posłuchaniu, udzielonem
w zamku, księżę polecił zastawić pyszną wieszczkę
i zabronił komukolwiek wchodzić do siebie, oraz
aby nie budzono go rano, aż sam zawoła.

jeden z dwóch zaufanych lokai księcia. — Jego wysokość może się nie spodziewał przybycia waszej królewskiej mości.

— Stary głupcze, — przez zęby odpowie Henryk, — czy myślisz, że król przybywa do kogo nie, że przedziwisy go o tem. Książę andegawęński odmaraj wie o mojem przybyciu.

Następnie Henryk, nie chcąc zasmucać ją posępnnością i pragnąc okazywać się doktorem względnie: dnym kosztem Franciszka, rzecze:

— Ponieważ nie przybywa na królewskiej mości, przeto my udajmy się do niego.

— Wskaż nam drogę, — pytała Katarzyna po z głębi swojej lektyki.

Cały orszak ruszył odpowiedziami szczerze.

W chwili, kiedy za królewska mość zapytała raczy. przeraźliwy krzyk: czy syn umrze Mironie?

— Co to, w wieczór.

do matki — Tak prędko!?

— Ach! pani, — odpowie doktor — doza była za nadto silna.

Katarzyna położyła palce na ustach, spojrziała na umierającego i powtórzyła cicho swoje złowrogie wyrażenie:

— Przeznaczenie! —

— Najjaśniejszy panie czy wasza królewska mość pozwoli mi o jedną rzecz zapytać?

— Nawet o dwadzieścia; piekielnie się tutaj nudzę i twoje pytania rozerwą mnie.

— Najjaśniejszy Panie, wszak znasz wszystkie zakony królestwa?

— Jak mój herb, kochanku.

— Co to jest za zakon pokutnic, racz mi powiedzieć?

— Jest to małe, bardzo ściśle i znakomite zgromadzenie, składające się z dwudziestu kanoniczek od Ś-go Józefa.

— Czy czynią tam śluby?

— Czynią, ale na przedstawienie królowej.

— Może niegrzeczne jest pytać, gdzie leży to zgromadzenie?

— I owszem; położone ono przy ulicy Cheval-Saint-Landru w Cité, za klasztorem Najświętszej Panny.

— W Paryżu?

— W Paryżu.

— Dzięki ci, Najjaśniejszy panie.

— Lecz dla czegoż u licha pytasz mnie o to? Czy brat zmienił chęci i zamiast kapucynem, chce zostać pokutnicą?

— Nie, Najjaśniejszy panie, jeszcze do tego stopnia nie zgłupiał; lecz sądzę, że w głowę mu weszła jakaś dama z tego zgromadzenia, którą dla tego chciałbym wynaleść i mówić z nią.

— Na Boga!—rzecze król,—przed siedmią laty znałem tam bardzo piękną przeoryszkę.

— Wątpię, żeby to była ta sama.

— I ja nie wiem.

— Najjaśniejszy panie,—rzecze Joyeuse,—racz mi na wszelki wypadek dać list do owej przeoryszy i pozwolenie oddalenia się na dwa dni.

— Opuszczasz mnie!—zawoła król,—samego mnie tutaj zostawiasz?

— Niewdzięcznik,—zawoła Chicot, wznosząc ramiona,—alboż mnie tutaj nie ma?

— A cóż list, Najjaśniejszy panie?—mówił Joyeuse. Król westchnął ale napisał.

— Nie masz co robić w Paryżu—rzecze król do admirała, list mu oddając.

— Przebacz Najjaśniejszy panie, muszę eskortować mojego brata, albo przynajmniej czuwać nad nim.

— Słuszna, idź więc, a prędzej powracaj.

Joyeuse nie kazał sobie powtarzać tego pozwolenia: rozkazał dać konie i przekonawszy się, że Henryk już odjechał, galopem pędził na miejsce przeznaczenia.

Nie spoczywając na drodze, kazał się prowadzić na ulicę Chever-Saint-Landry.

Ulica ta stykała się z ulicą d'Enfer i z jej równoległą ulicę Marmousets.

Czarny i poważny dom, za którego murami widać było wierzchołki wysokich drzew, okna małe i okratowane, mała furтка, oto taką miał powierzchowność klasztor pokutnic.

Nad furtką w murze, jakiś niezgrabny rzeźbiarz wyrył dwa wyrazy:

MATKI POKUTNICE.

Czas naruszył napis i kamień.

Joyeuse zapukał do furtki, kazawszy wprzód na ulicę Marmousets odprowadzić swoje konie, aby przed klasztorem wielkiego nie robić hałasu.

Następnie, zapukał do klasztornej kraty.

— Proszę uprzedzić przeoryszę, — rzecze, — że księżę de Joyeuse, wielki admirał Francyi, pragnie z nią mówić z rozkazu króla.

Postać zakonniczy, która ukazała się za kratą, zarumieniła się pod zasłoną i odeszła.

W pięć minut potem drzwi się otwarły i poproszono admirała do pokoju, przeznaczonego na rozmowę z zakonnicami.

Piękna i wysoka kobieta, niski oddała ukłon admirałowi, który go oddał jak człowiek światowy i religijny zarazem.

— Pani, — rzecze, — król wie żeś przyjęła, lub przyjmujesz do twojego zakonu osobę, z którą mam potrzebę mówienia. Racz więc pozwolić, abym się widział z tą osobą.

— Jakie nazwisko tej damy, proszę?

— Ja go nie wiem pani.

— Jakżeż zadosyć uczynię pańskiemu żądaniu?

— Jak najłatwiej. Kogoś pani do klasztoru przyjechała od miesiąca.

— Bardzo wątpliwie wskazujesz mi pan tę osobę, rzecze przełożona i dla tego nie będę mogła przychylić się do jego żądania.

— Dla czego?

— Bo od miesiąca nie przyjąłam nikogo wyjąwszy dziś rano.

— Dziś rano?

— Tak, mości książe, i pojmujesz zapewne, że twój przyjazd we dwie godzin po jej przybyciu, wygląda jakby pogoń i mówić z nią dla tego pozwolić nie mogę.

— Proszę cię, pani.

— Niepodobna, panie.

— Pokaż mi ją tylko.

— Niepodobna, powiadam... Prócz tego, twoje nazwisko dostateczne, aby ci dom mój otworzono; ale by mówić z kimkolwiek oprócz zemną, na to potrzeba pozwolenia królewskiego.

— Otóż to pozwolenie,—odpowiedział Joyeuse,—wydobywając list króla.

Przeorysza przeczytała go i skłoniła się.

— Niech się spełni wola Jego Królewskiej Mości,—rzecze,—nawet choćby się sprzeciwiała regułom zakonu.

I skierowała się ku dziedzincowi klasztoru.

— Teraz pani,—rzecze Joyeuse, zatrzymując ją z grzecznością,—widzisz, że mam prawo, lecz lękam się nadużycia lub błędu: może ta kobieta nie jest tą, której szukam; racz mi więc wprzód powiedzieć: kiedy przybyła, jak przybyła i kto jej towarzyszył.

— Wszystko to zbyteczne, mości książe,—odpowie przeorysza,—nie mylisz się wcale i ta pani, która dopiero co dziś rano przybyła, a na którą czekaliśmy dni piętnaście, ta pani, którą mi poleciła mająca nademną

władzę osoba, jest tą, z którą książe de Joyeuse potrzebuje mówić.

To mówiąc, przeorysza znów się ukloniła i znikła.

W dziesięć minut potem wróciła w towarzystwie jednej pokutnicy, której zasłona całą twarz zakrywała.

Była to Dyanna, która już przyjęła suknię zakonną.

Książe podziękował przeoryszy, przybyłej wskazał, aby usiadła i kiedy przeorysza zamknęła drzwi za sobą, rzekł:

— Pani jesteś ową tajemniczą osobą z ulicy Augustyańskiej, którą mój brat, hrabia du Bouchage, szalenie i śmiertelnie pokochał?

Pokutnica zamiast odpowiedzi, tylko skłoniła głowę.

Milczenie to źle usposobiło Joyeuse'a dla przybyłej i mówił dalej:

— Sądziłaś pani, że dosyć być piękną lub uchodzić za piękną, a nie mieć serca; sądziłaś pani, że dosyć obudzić namiętność w sercu młodzieńca mojego nazwiska i później mu powiedzieć: „tem gorzej dla ciebie, bo ja nie mam i nie chcę mieć serca.“

— Ja nie to odpowiedziałam, panie i źle jesteś zawiadomiony,—odrzekła pokutnica głosem tak szlachetnym i czułym, że gniew admirała w moment ochłodnął.

— Odepchnęłaś, — rzecze, — mojego brata i przywiodłaś do rozpacz.

— Niewinnie, panie, bo zawsze starałam się oddać od siebie pana du Bouchage.

— To nazywa się wybiegiem kokieteryi i rezultat to wskazuje.

— Nikt nie ma prawa obwiniać mnie, panie, bo jestem niewiną; ponieważ zaś gniewasz się pan na mnie, nic nie odpowiem.

— Ho! ho!—rzecze Joyeuse, zapalając się stopniowo,—zgubiłaś mojego brata i sądzisz, że się usprawiedliwiasz tą wyzywającą powagą? Oh! nie pani, krok jaki zrobiłem, ma cię objaśnić o moich zamiarach. Jestem człowiek z postanowieniem, przysięgam, a z drżenia ust i rąk widzieć to możesz, że dobrych potrzebujesz dowodów, aby mnie ułagodzić.

Pokutnica powstała.

— Jeżeli przyszedłeś, aby ubliżyć kobiecie,—rzecze z powagą,—ubliżaj; jeżeli przybyłeś, aby mnie od zamiarów odwrócić, daremnie czas trawisz.

— Ale pani nie jesteś ludzką istotą, ale szatanem.

— Powiedziałam, że więcej panu nie odpowiem, teraz już dosyć, oddalam się.

I zrobiła krok ku drzwiom.

Joyeuse zatrzymał ją.

— Chwilę jeszcze,—rzecze,—za nadto dawno cię szukam, abym ci tak odejść pozwolił; a ponieważ znalazłem cię, ponieważ twoja nieczułość utwierdziła mnie w mojem przekonaniu, że jesteś istotą piekielną, zesłaną przez wroga ludzi dla zgubienia mojego brata, chcę widzieć tę twarz, na której piekło wyryło swoje groźby; chcę widzieć ogień owego spojrzenia, które rozum odbiera.

I czyniąc znak krzyża jedną ręką, drugą zerwał zasłonę z twarzy pokutnicy; lecz ona mileżąca i nieczu-

ła bez gniewu i wyrzutów spoglądając łagodnie na tego, co ją tak ciężko obrażał, rzekła:

— Ah! mości księżę, to, co czynisz, niegodnem jest szlachcica.

Joyeuse trafiony był w serce; tyle łagodności zmiękczyło gniew jego, tyle piękności pomięszało rozum.

— Zapewne,—rzecze po chwili milczenia,—jesteś piękną; Henryk musiał cię kochać; lecz Bóg na to ci dał piękność, abys ją jak woń rozlewała na tego, kto cię ukocha.

— Panie, zapewne nie mówiłeś z twoim bratem, albo jeżeli mówiłeś, nie obrał cię swoim powiernikiem, bo byłby ci to powiedział, co teraz powtarzam: kochałam i nie będę kochała; żyłam i muszę umrzeć.

Joyeuse nie przestawał spoglądać na Dyanne, ogień jej spojrzeń wkradł się do jego serca, podobnie jak ogień wulkaniczny, który topi spiż posągów, tylko ich dotykając.

— Tak,—rzecze raz jeszcze, głosem cichym spoglądając na nią,—tak, Henryk musiał cię kochać.—Ah! pani, na kolanach cię błagam, miej litość i Kochaj mojego brata.

Dyanna pozostała zimną i milczącą.

— Nie przyprowadzaj pani całej rodziny do rozpaczy, nie niszcź całej jej przyszłości, każąc jednemu umierać, a drugim płakać.

Dyanna nic nie odpowiadała, tylko smutnie na błagającego patrzyła.

— Ah!—zawoła nakoniec Joyeuse,—ah! miej li-

tość nademną samym.... to spojrzenie mnie pali. Bądź zdrowa pani, żegnam cię!

Powstał jak szalony, zatrząsł kratami i uciekł aż pomiędzy swoich ludzi, którzy go przy ulicy d'Enfer czekali.

XXV.

Jego Wysokość Księżę Gwizyusz.

W niedzielę 10 czerwca około jedenastej godziny cały dwór zgromadził się w pokoju poprzedzającym gabinet, w którym od spotkania się z Dyanną de Me-sidor, księżę Andegaweński powolnie konał.

Ani nauka lekarzy, ani rozpacz matki, ani modlitwy nakazane przez króla nie cofnęły przeznaczenia.

Miron tego rana oświadczył królowi, że choroba jest bez ratunku i że Franciszek dnia nie przeżyje.

Król wielką objawił boleść i odwracając się do obecnych, rzekł:

— To wesprze nadzieje moich nieprzyjaciół.

Na co królowa matka odpowiedziała:

— Nasze przeznaczenie jest w rękach Boga mój synu.

Chicot stojąc pokorny blisko Henryka III-go dodał cicho:

— Pomagajmy Bogu, kiedy możemy Najjaśniejszy panie.

Około w pół do dwunastej, chory utracił kolory i wzrok; usta aż do tego czasu otwarte zamknęły się; krew która od kilku dni była zatamowana, nagle krążyć przestała i zimno całe opanowało ciało.

Henryk siedział przy łóżku swojego brata, Katarzyna zaś trzymała zimną rękę umierającego.

Biskup z Château-Thierry i kardynał Joyeuse, odmawiali modlitwy przy konających, które obecni klęcząc ze złożonymi rękami, powtarzali.

Około południa chory otworzył oczy; słońce wychyliło się z zachmury i morzem światła oblało łożo konającego.

Franciszek, który do tego czasu palcem nie mógł ruszyć i którego umysł, równie jak słońce był zakrytym, wznosił rękę ku niebu z poruszeniem przestachu.

Spojrzał około siebie, słyszał modlitwy, czuł chorobę i słabość, odgadł położenie i widać przeglądał ten świat ciemny i ponury, do którego udają się niektóre dusze, gdy ziemię opuszczają.

Wtedy wydał krzyk wielki i silnie uderzył się w czoło, że aż zgromadzeni zadrżeli.

Następnie zmarszczył brwi, jakby w pamięci jedną tajemnicę swojego życia odczytał.

— Bussy!—rzecze,—Dyanna!

Ten ostatni wyraz tylko Katarzyna posłyszała, tak osłabionym głosem wymówił go konający.

Z ostatnią sylabą tego imienia, Franciszek Andegaweński wyzionął ducha.

W tej samej chwili przez szczególny zbieg okoliczności, słońce, pozłacające herb Francyi i złote lilie, za

chmurę zaszło tak, że lilie jasne i lśniące przez chwilę, stały się posępne na jasnym lazurze.

Katarzyna wypuściła rękę syna.

Henryk III zadrżał i oparł się na ramieniu Chicot'a, który był milczącym przez uszanowanie, należące umarłym.

Miron złotą patynę zbliżył do ust Franciszka, a odjąwszy ją i obejrzawszy, rzekł:

— Jego Książęca Mość umarł.

Poczem długie westchnienie rozlegało się po przedpokojach, jakby towarzyszące psalmowi, który kardynał śpiewał:

Cedant iniquitates meae ad vocem deprecationis meae.

— Umarł!—powtórzył król;—mój brat! mój brat!

— Jedyne następcą tronu francuskiego,—dodała Katarzyna, która opuściwszy łoże umarłego, zbliżyła się do żyjącego syna.

— Oh!—rzecze Henryk,—ten tron za obszerny dla bezpotomnego króla; korona za wielka na jedną głowę... Nie ma dzieci, nie ma następców, któż ją posiedzie?

Kiedy kończył te wyrazy, hałas rozległ się po salach i wschodach.

Nambu wpadł do pokoju donosząc:

— Jego Wysokość Książę Gwizyusz.

Król zmieszany tą odpowiedzią na pytanie jakie zadał, zbladł, powstał i spojrzał na matkę.

Katarzyna była bledszą od syna. Na wiadomość strasznego nieszczęścia, jakie traf zapowiadał jej plemienowi, pochwyciła króla za rękę i rzekła.

— Oto niebezpieczeństwo, ale nie obawiaj się niczego, bo jestem przy tobie.

Syn i matka pojęli i w trwodze i w groźbie.

Książę wszedł ze swojemi wodzami.—Wszedł ze wzniesionem czołem, a jego oczy szukały czy Króla, czy umarłego Księcia z pewnem pomięszaniem.

Henryk III stojąc z ową powagą, która w pewnych chwilach była mu wrodzoną, zatrzymał księcia w pochodzie, monarchicznym skinieniem wskazując umarłego na łożu śmiertelnem.

Książę pochylił się i padł na kolana.

W około niego wszystko schyliło głowy.

Henryk III sam tylko stał z matką, a jego spojrzenie ostatni raz dumnie błyskało.

Ghicot dojrzał to spojrzenie i cicho przytoczył ten wiersz z psalmów:

Dejiciet potentes de sede et exaltabit humiles!

Koniec.



SPIS RZECZY

zawartych w tomie trzecim.

	Str.
I. Francuzi i Flamandzcy	3
II. Podróźni	18
III. Wyjaśnienie.	27
IV. Woda.	37
V. Uciezka	47
VI. Przemiana	60
VII. Dwaj bracia	67
VIII. Wyprawa.	77
IX. Paweł Emiliusz	86
X. Jedno ze wspomnień księcia Andegawęńskiego	96
XI. Uwiedzenie	114
XII. Podróź	125
XIII. Jak król Henryk III Crillon'a nie prosił na śniadanie, a jak Chicot sam się zaprosił.	133
XIV. Jak Henryk, otrzymawszy wiadomości z południa, odebrał je z północy	148
XV. Kumowie.	161
XVI. Róg obfitości	169
XVII. Co się działo w gabinecie pana Bonhometa	176
XVIII. Mąż i Kochanek	196

	Str.
XIX. Jak Chicot zaczął jaśniej przeglądać w liście księcia Gwizyzusa	207
XX. Wiadomość o Aurilly'm	216
XXI. Wątpliwość	223
XXII. Pewność	232
XXIII. Przeznaczenie	242
XXIV. Pokutnice	251
XXV. Jego Wysokość Książę Gwizyzus	262

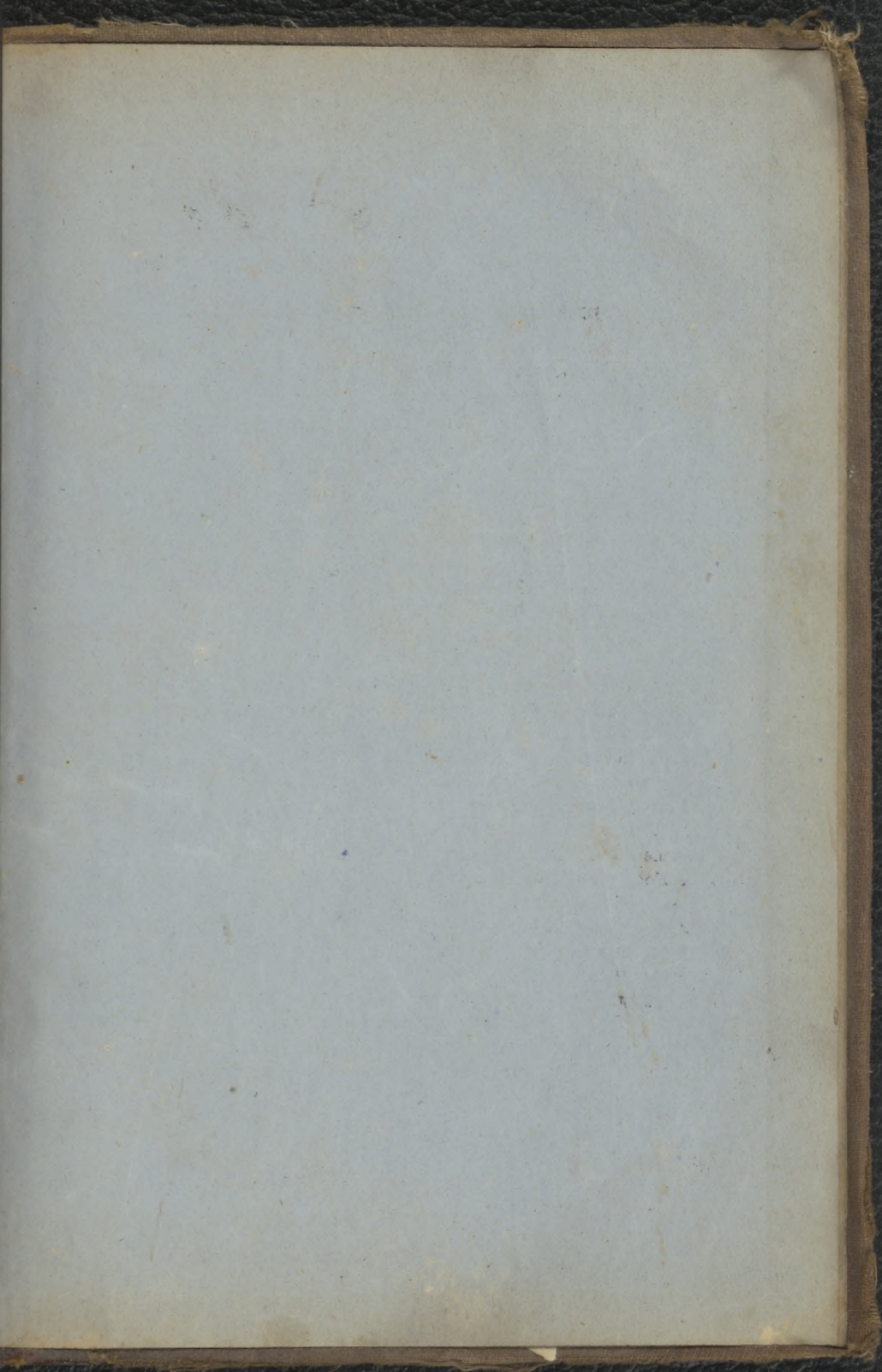
BIBLIOTEKA ROMANSÓW I POWIEŚCI

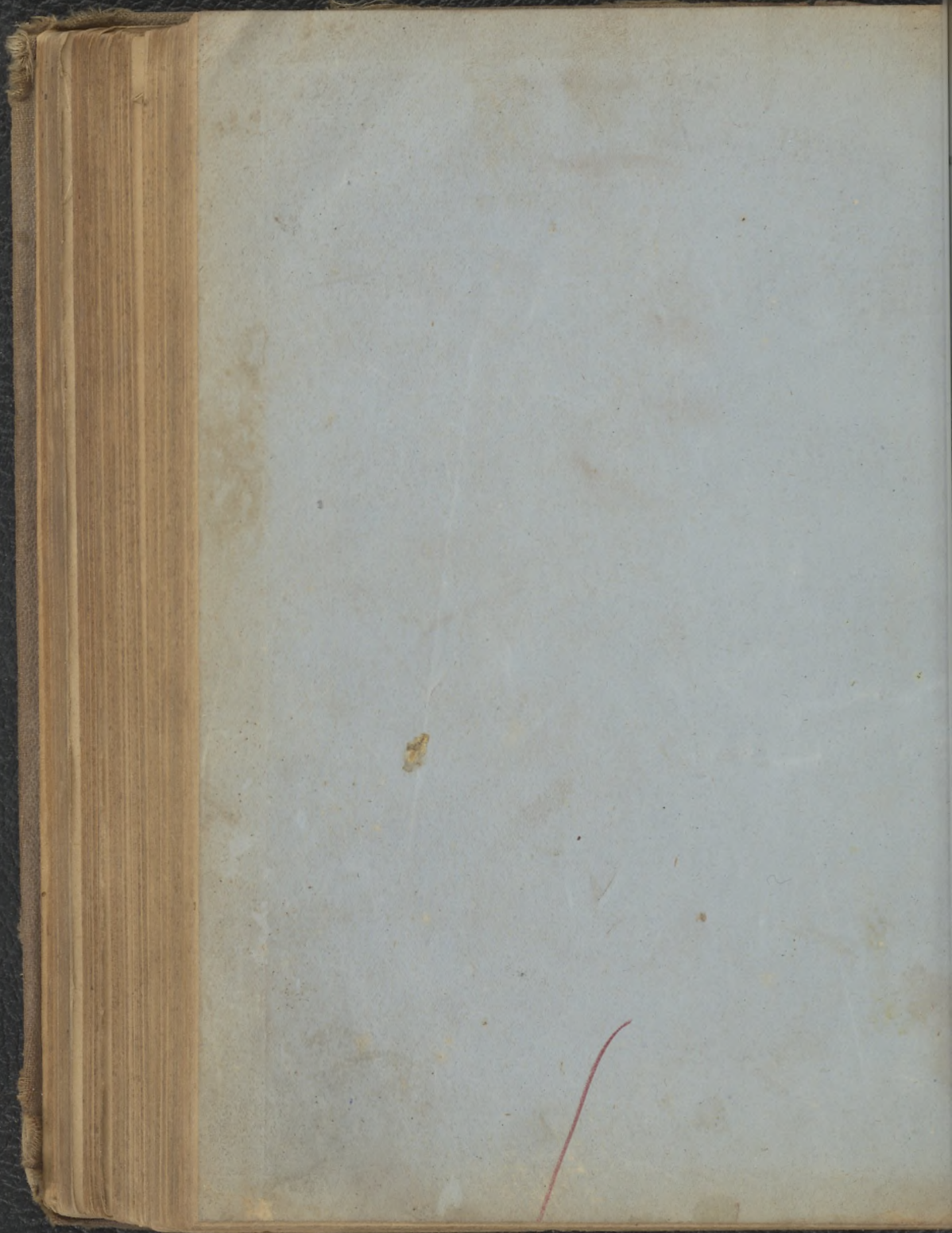
W FORMACIE KSIĄŻKOWYM

zamieściła prace następujących autorów:

	Rs.	k.
Aleksander Dumas (syn) Sprawa Clemenceau	—	75
Tissot i Amero Konst., Trzech zbiegów czyli podróż po Syberii	—	50
Petőfi, Oko za oko ząb za ząb, z węgierskiego	—	50
Ksawery Montepin, Mąż Małgorzaty	—	50
— Hrabina de Nancey } trylogja	—	60
— Kochanek Alicyi }	—	60
— Tajemnica Tytana, 2 tomy.	1	50
Synoradzki Michał, Czarny Rok, z podań szlach. XVIII w. (orygin.) —	—	60
Jerzy Ohnet, Walka życia—kował	—	75
Eug. Moret, Taniec Miljardów	—	90
Henryk Gréville, Dzielnica Pracy	—	75
— Ludwik Breuil	—	50
— Zgubiona	—	60
Juljusz Claretie, Noris, romans współczesny	1	—
Woiowski Michał, W drodze za chlebem, powieść oryginalna.	1	—
G. de Cherville, Serce i honor, szkic z wojny 1870—71 r.	—	70
Edmund Chojecki (Charles Edmond), Drwalka.	—	60
Ponson du Terrail, Wdowa z Sologne.	—	30
Fryderyk Spielhagen, Slinks	—	60
Emil Zola, Tajemnice Marsylii, 2 tomy	1	25
Kudasiewicz Antoni, Finansista, 2 tomy, powieść oryginalna.	1	50
Theuriet, Grzechy młodości	—	25
— Ondyna.	—	30
Emil Pouvillon, Czarownica	—	30
Gyp, Tajemnice małżeństwa	—	75
Warring, Na leśnictwie.	—	50
Różnych autorów, Trębacz z pod Berezyny, z czasów Napoleona I-go. —	—	30
— Niewolnice igły, z angielskiego.	—	60
— Nowelle. Komedje serja I i II po kop.	—	75
— Nowelle. Powiastki oryginalne, ze tłmi o	—	50







dar. p. Teveny Lanchote
16.07.93



15 12763

t. 2-3